

Kryptonim POSEN

Piotr Bojarski

Kryptonim POSEN
MEDIA RODZINA

_M

text copyright © 2011 by Piotr Bojarski copyright © 20n for this edition by Media Rodzina
projekt okładki i stron tytułowych Agata Wodzińska

opracowanie typograficzne Ziemowit Cabanek

Słowa i zwroty z gwary poznańskiej opracowano na podstawie Słownika gwary miejskiej
Poznania pod red. M. Gruchmanowej i B. Walczaka, Wydawnictwo Naukowe PWN,
Warszawa - Poznań 1997

Fragment mapy oraz fotografie nr 1-9 pochodzą ze zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej w
Poznaniu

Fotografie nr 10-13 pochodzą ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego w Warszawie
Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki - z
wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych - możliwe jest tylko na podstawie
pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-7278-506-0

Harbor Point Sp. z o.o.

Media Rodzina

ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 60, faks 61 827 08 66

www.mediarodzina.com.pl

mediarodzina@mediarodzina.com.pl

łamanie

C/" Cromalin

druk i oprawa

Abedik

wm m

PROLOG

Na wschód od Warszawy, lato 1944

Po ściernisku łaskotanym promieniami wschodzącego słońca niósł się gromki grzmot kilkuset
silników. Zachodni wiatr uderzył w nozdrza ukrytych w snopach siana chłopców ostrym
smrodem spalonej benzyny. Od fetoru szybko rozboleły ich głowy, ale niewiele sobie z tego
robili. Widowisko godne było czegoś więcej niż tylko lekkiego podtrucia spalinami. Przed
nimi, na ładnym kilometrze odkrytej przestrzeni, ciągnął się żelazny sznur pancernych
maszyn, błyszczących w letnim słońcu.

Potężne, masywne lufy przydawały czołgom majestatu i budziły w chłopcach respekt.

— To tygrysy! I to najlepsze! — wyrwało się piegowatemu Pietrkowi.

Piwnie oczy świeciły mu się z podniecenia i radości.

— Skąd wiesz, że najlepsze? — gruby, spocony pod pachami Jędrak skarcił go
powątpiewającym spojrzeniem.

PROLOG

Na wschód od Warszawy, lato 1944

Po ściernisku łaskotanym promieniami wschodzącego słońca niósł się gromki grzmot kilkuset
silników. Zachodni wiatr uderzył w nozdrza ukrytych w snopach siana chłopców ostrym
smrodem spalonej benzyny. Od fetoru szybko rozboleły ich głowy, ale niewiele sobie z tego

robili. Widowisko godne było czegoś więcej niż tylko lekkiego podtrucia spalinami. Przed nimi, na ładnym kilometrze odkrytej przestrzeni, ciągnął się żelazny sznur pancernych maszyn, błyszczących w letnim słońcu.

Potężne, masywne lufy przydawały czołgom majestatu i budziły w chłopcach respekt.

— To tygrysy! I to najlepsze! — wyrwało się piegowatemu Pietrkowi.

Piwnie oczy świeciły mu się z podniecenia i radości.

— Skąd wiesz, że najlepsze? — gruby, spocony pod pachami Jędrak skarcił go powątpiewającym spojrzeniem.

7

r
mi.,*-

— To tygrysy królewskie, tak na nie mówią. — Pietrek nie dał się zbić z tropu.

Takie maszyny widział już raz, gdy kilka miesięcy temu przejechały przez wioskę, pędząc w zwartej kolumnie na wschód. Wtedy miały na panczerze wyłącznie czarne krzyże. Ale dzisiaj sprawa wyglądała inaczej. Na czele pancernejszej kawalkady zauważył czołgi ze swojskim, białoczerwonym prostokątem na wieżyczkach. Nie było ich wiele. Może kilkanaście, a tych niemieckich chyba ze dwie setki. Ale były!

Pietrek poczuł rozpierającą go dumę.

— Z takimi czołgami to nikt nam nie podskoczy — orzekł fachowym tonem.

Jędrak podrapał się w rudą głowę.

— A niby kto by spróbował? — zapytał przytomnie. — Ruskie przecie pobite.

— Prawda — przyznał Pietrek. — Teraz my są potęgą. Ojciec mówi, że ani chybi, jak za niedługo defilada w Warszawie będzie.

Jędrak skinął aprobująco głową. Też o tym słyszał, dziadek coś w gazecie o wielkiej defiladzie zwycięstwa czytali. Tylko się dziadunio nadziwić nie mógł, jak się ten świat zmienił. Bo to teraz nasze dzielne wojaki noga w nogę ze Szwabami maszerować paradnie będą — a przecie dziadzius wspominać przy piwie lubi, jak w dziewiętnastym Niemiaszków aż pod Bydgoszcz pogonił. „A tu proszę: rach--ciach i wojna z Niemcami pod rękę wygrana” — dźwięczały Jędrkowi w uszach pełne niedowierzania słowa dziadka.

— Pietrek — zagadnął kolegę — a ty co myślisz?

— Że co niby?

— Że to Niemce zawsze pomagać nam będą?

8

Pietrek westchnął głęboko i opadł na plecy, zapadając się głęboko w siano. Polskie czołgi już dawno przejechały, a na niemieckie nie chciało mu się patrzeć.

— Ksiądz Zygmunt powiedział wczoraj w kościele, że Bogu dziękować trzeba za pobicie bolszewików. A ja tak sobie myślę, że Niemce nie takie złe. Jak do wsi zajadą, to cukierki zawsze rozdają. I karabiny niezłe mają. Ojciec powiada, że i my takie mieć będziemy. A jak tak, to chyba źle nie będzie...

Jędrak wychylił ostrożnie głowę z kopy siana. Na polną drogę z wolna opadał kurz wzniecony przez gąsienice ostatnich maszyn. Pancerna kolumna wspinała się teraz na łagodne wzniesienie po zachodniej stronie pola. Stalowe giganty sunęły mozolnie w górę. Z daleka wyglądały niczym kompania ciężkich, pobłyskujących metalicznie żuków. Łomot silników słabł miarowo, przechodząc w cichy pomruk.

— Pietrek, już wiem! — Jędrak wyskoczył ze słomy i puknął się odkrytą dłonią w czoło.

— Przecie tam jest Warszawa! Przecie oni jadą na defiladę!

— Też mi odkrycie — prychnął Pietrek.

Wstawał nowy dzień, i sierpnia 1944 roku.

ŚLAD

Poznań, wtorek i sierpnia 1944, wczesny ranek

Z bramy jednej z odrapanych kamienic na Kantaka wyszedł wysoki, szczupły mężczyzna w szarym prochowcu. Czujnym spojrzeniem omiół pustą ulicę w poblasku wschodzącego słońca. Kiedy stwierdził, że nie ma żadnych świadków, wyjął z ust ledwo żarzącego się papierosa i zdecydowanym gestem rzucił go pod nogi.

Gdy rozgniał niedopałek twardym obcasem buta, na jego wychudłej twarzy pojawił się grymas zwierzęcej satysfakcji.

Strzepnął kurz ze skórzanych rękawiczek, raz jeszcze obejrzał się za siebie, a potem ruszył dynamicznym krokiem w stronę Teatru Polskiego.

Z ciemnej bramy opuszczonej przez mężczyznę dobiegały coraz słabsze jęki.

Pet na ulicy tlił się jeszcze przez chwilę anemicznym siwym dymkiem, aż w końcu dogasł na zimnym bruku.

Warszawa, wtorek i sierpnia 1944, dziewięta piętnaście

Kapitan Jan Krzepki z radością zeskoczył ze stopnia wagonu, zarzucił plecak na ramię i spojrzeniem pełnym nostalgii rozejrzał się dookoła. Nareszcie! Po trzech latach wojny i zaledwie dwóch dłuższych urlopach na tyłach frontu mógł wrócić do kraju. Ba — mógł też wreszcie nacieszyć się ze zwycięstwa!

Nie zauważył na peronie nikogo bliskiego, ale nie zdziwił się, bo nie spodziewał się żadnej wzruszającej chwili. Jego rodzina przywita go dopiero jutro w Poznaniu. Na razie musi spędzić ten dzień w stolicy. Nie będzie to nudne, wszak w Alejach Jerozolimskich Naczelnym Wódz, następca marszałka Piłsudskiego, odbiera dziś defiladę zwycięstwa.

Warszawski dworzec kolejowy przybrany był w gigantyczne biało-czerwone szarfy.

„Ojczyzna wita swoich bohaterów” — głosił potężny, wymalowany czerwoną farbą napis nad wejściem głównym do gmachu dworca. Tak samo musiało to wyglądać w 1920 roku, kiedy Piłsudski zatrzymał bolszewików pod Warszawą. Tyle że „Dziadek” odrzucił ich na wschód na dwadzieścia lat. Oni osiągnęli to, co Piłsudskiemu nawet się nie marzyło...

Na samo to porównanie łza zakręciła mu się w oku. Byłby z nich na pewno dumny!

Krzepki zawiesił na chwilę oko na potężnej, modernistycznej sylwetce Dworca Głównego.

Od kiedy dwa lata temu ostatecznie oddano go do użytku, nowoczesny gmach stał się symbolem stolicy. Symbolem nowej Polski, rozpostartej od morza do morza.

12

Czuł radość z rozwoju swego kraju. Zwycięska wojna na wschodzie, uporanie się z gospodarczym kryzysem... Po wielu latach stagnacji kraj wreszcie wychodził na prostą. Nareszcie wszystko szło ku dobremu.

Przeszedł na drugą stronę Alei Jerozolimskich i ruszył niespiesznym krokiem w stronę Marszałkowskiej. Na chodniku było niewielu przechodniów. Mijający go co jakiś czas szeregowcy salutowali przepisowo do daszków rogatywek. Zwisające z latarni kokardy przypominały o dzisiejszej uroczystości.

Zatrzymał się przy jednej z nich, by oddać swoje zakurzone oficerki w ruchliwe dłonie pucybuta. Kiedy chłopak polerował buty, Krzepki rzucił okiem na witrynę pobliskiego sklepu z czekoladkami. Zauważył, że widnieją w niej tylko polskie chorągiewki. W duchu ucieszył się, że nikt nie wpadł na pomysł skojarzenia biało-czerwonych z tymi, w które wpisana była czarna swastyka.

Jeszcze dwa pociągnięcia szmatką i Krzepki mógł się przejrzeć w lustrzanej tafli swoich butów. Rzucił chłopakowi 20 groszy i skierował się w stronę skrzyżowania z Marszałkowską. Na wymuskany placu za dworcem zauważył przystojoną wieńcami trybunę, przy której uwijali się jak w ukropie robotnicy. Mimo sporej odległości słyhać było miarowy stukot młotków. Trybuna musiała być gotowa na czas.

Podszedł do budki z prasą i kupił „Ilustrowany Kurier Codzienny”.

Witamy naszych bohaterów! — głosił tytuł na długość całej szpalty. Egzaltowany ton prasowej relacji nieco go ubawił. „Pogromcy czerwonej zarazy wracają do domu.

13

Oślawieni zwycięstwami pod Kijowem i Charkowem, zwycięzcy żołnierze Wojska Polskiego rzuca dziś Naczelnemu Wodzowi pod nogi zdobyczne bolszewickie sztandary" — piał z zachwytu autor gazetowej czołówki.

Ani słowa o Niemcach, pomyślał lekko rozbawiony. Można by odnieść wrażenie, że Rzeczpospolita sama rzuciła Sowiety na kolana. Jakby nie było niemieckich baz na Kresach czy setek tysięcy żołnierzy Wehrmachtu w wagonach, które właśnie przemierzały Polskę ze wschodu na zachód.

Zdjęcie marszałka na pierwszej stronie zapowiadało dzisiejszy triumf. Krzepki zbliżył do oczu szeroką płachtę gazety, by przestudiować wyraz twarzy Naczelnego Wodza.

Marszałek ufnie spoglądał w przyszłość.

Poznań, wtorek i sierpnia 1944, dziesiąta z minutami

— Kto go znalazł?

Pytanie zawisło na dłuższą chwilę w gorącym powietrzu. Starszy posterunkowy Adamczak gorączkowo szukał w pamięci tego istotnego szczegółu, o którym niespodziewanie zapomniał.

— Dozorca — przypomniał sobie wreszcie i odsapnął z ulgą.

— O której?

Adamczak zerknął w notes.

— Kwadrans po siódmej.

Pękaty jegomość w przyciasnej marynarce poruszył się niespokojnie.

14

— Czy wyście wszyscy ogłupieli?! — Jego krągła twarz przybrała barwę purpury. — Nieboszczyk stygnie od siódmej, a wy telefonujecie do nas w tej sprawie trzy godziny później?! Trzy go-dzi-ny?! Czekacie tyle czasu, zamiast ruszyć dupsko i przejść te sto metrów do Prezydium Policji?!

Posterunkowy Adamczak poczuł, że krew odpływa mu z głowy. To koniec, pomyślał. Koniec mojej krótkiej kariery w policji. A wszystko dlatego, że na jego posterunku nawaliła centrala telefoniczna. I nie mógł od razu zadzwonić do kryminalnych. Czyli do komisarza Zbigniewa Kaczmarka, który stał teraz przed nim i srożył się niczym rozjuszony indyk.

— Panie komisarzu, już tłumaczyłem... Procedura mówi o kontakcie telefonicznym... Ale centrala nam padła i...

— I gówno — przerwał mu Kaczmarek. — Procedury! Też mi coś! Za kwadrans chcę mieć na piśmie szczegółowy raport na temat okoliczności znalezienia ciała. Za kwadrans i ani minuty dłużej!

Zmieszany posterunkowy skłonił się i puścił się biegiem w kierunku komisariatu na Świętym Marcynie. Zanim zniknął za rogiem kamienicy, komisarz był już w bramie. Smród uryny i niecenzuralne napisy na ścianach nie pozostawiały wątpliwości co do osobliwego charakteru miejsca. Kaczmarek od razu przypomniał sobie tutejszą spelunę, uchodzącą w lokalnym półświatku za wziętą siedzibę płatnej rozkoszy. Malowane na różowo poręcze niechybnie wiodły schodami w górę ku temu przybytkowi.

Spojrzał na klatkę schodową, ale nie dostrzegł niczego, co przyciągnęłoby wzrok na dłużej.

Ta ruchliwa nocna

15

arteria, którą co wieczór przemierzali podchmieleni klienci z pobliskiej restauracji „Moulin Rouge", była o tej porze zupełnie martwym szlakiem. Cofnął się więc i skierował w głąb bramy. W miejscu, w którym półmrok przechodził w dzienną poświatę, przy wyjściu na wybrukowany wewnętrzny plac stało dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Pomiedzy

nimi, przykryte jakąś lichą derką, spoczywały zwinięte w kłębek zwłoki. Spod szarego koca po niewielkiej pochyłości spłynęła jakiś czas temu ku kratce kanalizacyjnej wąska struzka krwi.

Kaczmarek podszedł bliżej i machnął policjantom swoją legitymacją, żeby nie przeszkadzali mu w pracy. Nachylił się, a potem kucnął przy zwłokach. Spod nakrycia wystawała zaciśnięta pięść denata. Była zakrwawiona i sina. Uwagę Kaczmarka zwróciły długie, smukłe palce mężczyzny i starannie wypielęgnowane paznokcie. Jakiś inteligencik, który zapuścił się ku swojej zgubie do tej nory? * plyndz — placek — Leży jak plyndz* na patelni — odezmiaczany zwał się wyższy funkcjonariusz, stojący po prawej.

Komisarz już miał sięgnąć po koc, by poznać oblicze nieboszczyka, ale nagle zauważył, że pomiędzy palcami denata prześwituje jakiś papier...

— To pieniądze — znów dał o sobie znać policjant z prawej strony.

— Przecież widzę, że nie rajstopy — odburknął szorstko komisarz, obrzucając policmajstra chłodnym spojrzeniem.

Nie zdążył zapłacić, przemknęło mu przez myśl. Kolejna ofiara nieokiełznanej pożądlivosti. W tej okolicy takie zdarzenia to szara codzienność. Bułka z masłem. Facet

16

nadział się na jakiegoś krewkiego doliniarza, być może stawił mu opór i zapłacił za swoją głupotę. Raz, a porządnie. Ostatecznie.

Wstał i bez namysłu skierował się ku różowym poręczom. Ciemna klatka schodowa była wąska i odstręczająca, a drewniane stopnie wytarte przez setki bywalców. Każdy skrzypiał na inną modłę. Jeśli ktokolwiek za dębowymi drzwiami oczekiwał wizyty o tak wczesnej porze, na pewno został już uprzedzony o nadchodzącym gościu.

Lekko zasapany stanął przed drzwiami na pierwszym piętrze i zastukał w nie gwałtownie. Wiedział, do kogo należy ten lokal, ale nie spodziewał się właścicielki o tak wczesnej godzinie. I się nie pomylił. Po powtórny uderzeniu pięścią za drzwiami dało się słyszeć szuranie butów. Ktoś przez chwilę zmagął się z zamkiem, aż w końcu drzwi uchyliły się w wąską szparkę. Komisarz dostrzegł w niej podbite kobiece oko. Rozmazany tusz do rzęs podkreślał przygnębiający efekt.

— Policja! ryknął Kaczmarek.

Szarpnął klamką, ale nie dostał się do wnętrza. Kobieta najwyraźniej nie odczepiła łańcucha.

— Otwieraj, lafiryndo! — rzucił zdenerwowany.

Córa Koryntu nie miała jednak najmniejszej ochoty do współpracy ze stróżem prawa. Za jej plecami pojawił się zniecka cień męskiej sylwetki.

— O co chodzi? — Kaczmarek usłyszał zza drzwi chropawy głos, który wydał mu się dziwnie znajomy.

— Policja! — huknął raz jeszcze. — Komisarz Kaczmarek! Natychmiast otwierać! W tym domu popełniono przestępstwo!

17

Krótką chwilą konsternacji po drugiej stronie dobitnie świadczyła o tym, że komunikat zrobił odpowiednie wrażenie. Czyjeś palce wysunęły łańcuch z prowadnicy i drzwi otworzyły się z wolna.

W lichym świetle spływającym z czerwonej żarówki podwieszanej wysoko pod odrapanym sufitem komisarz dostrzegł piersiastą brunetkę, odzianą w mocno postrzępioną halkę.

Fioletowy policzek kobiety kontrastował z sympatyczną, młodą twarzą. Za jej plecami czaił się wstydliwie równie skąpo ubrany chudy jegomość z binoklem w lewym oku. Na jego spoconej, łysej czasce odbijała się jak w lustrze spękana struktura sufitu.

Komisarz Kaczmarek chrząknął, bo zdawało mu się, że tak wypadnie bardziej naturalnie.

— Dzień dobry, panie wiceprezydencie — zagaił. — Proszę wybaczyć to hm... najście. Jestem tu w wybitnie służbowej sprawie. Muszę natychmiast porozmawiać z właścicielką tego... że tak powiem, mieszkania. Czy... zastałem może madame Gładecką?

— Pani nie ma w... domu — wyrwało się brunetce.

Zaraz potem zmieszana spuściła wzrok.

— Tak, tak, panie komisarzy — skwapliwie przytaknął zza jej pleców łysy dostojnik w negliżu. — Zaraz wszystko załatwimy. Gdyby łaskawy pan zechciał poczekać parę minutek, będę bez wątpienia do pańskiej dyspozycji.

— Oczywiście — przytaknął chętnie Kaczmarek, starając się omijać urzędnika swoim rozbieganym wzrokiem. — Pozwolą państwo, że poczekam na klatce schodowej?

18

— Tak, tak. Tooo... to bardzo dobry pomysł! — podchwycił wiceprezydent i w tej samej chwili zniknął w głębi korytarza.

— Ładne kwiatki — westchnął Kaczmarek. Celebруюc każdy krok, zaczął schodzić w dół schodów. Nie doszedł jeszcze do półpiętra, kiedy usłyszał tupot nóg. Zziębiony starszy posterunkowy Adamczak pędził w górę, ściskając w prawicy kartkę z raportem.

Kaczmarek teatralnym ruchem wyszperał w czeluściach kamizelki wielki złoty zegarek i podniósł go na wysokość swojego wydatnego nosa.

Trzydzieści minut i dwadzieścia sekund...

No! Nareszcie wszystko wraca do normy, pomyślał. W końcu, porządek musi być!

Warszawa, wtorek i sierpnia 1944, jedenasta trzydzieści <

W kawiarni hotelu „Polonia” było tak tłoczno, że od razu zrezygnował z kawy i leniwym krokiem skierował się ku rześkości podświetlonej sali restauracyjnej. Było wprawdzie jeszcze dość wcześnie jak na obiad, ale sterany frontowymi postami żołądek upominał się o swoje. Mężczyźni, których mijał, z rzadka pokazywali się w marynarkach. Dominowali wojskowi. Gdziekolwiek dumnie pobłyskiwała szabla, oznaka wyższej szarży. Nastrój oczekiwania na uroczystą paradę udzielił się wszystkim, którzy przemierzali hotelowy hol.

To ekskluzywne miejsce znał od czasu poprzedniego urlopu. Do Warszawy dojechała wtedy Wilhelmina i razem

19

spędzili wspaniały letni wieczór, słuchając koncertu Kiepur. Mistrz — jak to miał w zwyczaju — oczarował publiczność, występując na balkonie, zupełnie pod gołym niebem.

— Wunderbar... — wyrwało się zachwyconej Wilhelminie, gdy Mistrz po raz ostatni skłonił się wiwatującym słuchaczom.

Te słowa na zawsze zapadły mu w pamięć.

Westchnął do swoich miłych wspomnień i przyspieszył kroku. W różnym tempie wszedł do restauracji. Wysokie pomieszczenie, zwieńczone w górze efektownym szklanym świetlikiem, było dodatkowo oświetlone dziesiątkami kinkietów, żarzących się mimo bliskiego południa na filarach galerii. Szedł po purpurowym dywanie znaczącym szlak przez sam środek podłużnej sali. Uczucie miękkości pod butami znowu przywiodło mu na myśl tamten wieczór. Zerknął w lewo. Drugi stolik od wejścia, przy którym spędzili wtedy z Wiką bez troskie chwile, był akurat wolny. Nie namyślając się ani chwili, ruszył w stronę, która przypominała mu, co to szczęście.

— } anek! — usłyszał nagle gdzieś za plecami znajomy głos.

Odwrócił się i twarz rozjaśniła mu radość. Przed nim stał niski, nieco krępy trzydziestolatek, z zadowoleniem przyglądający ostatni kosmyk czarnych włosów zaczesany na czubek łysiejącej głowy. Mimo tego defektu Włodek Bagatela prezentował się niezwykle szarmancko w szarym, przegowanym garniturze, a blichtru filmowego amanta przysparzał kapelus, który dzierżył w dłoni.

— Włodziu, mordo ty moja! — Krzepki rzucił się przyjacielowi w objęcia. — Co ty tu robisz?!

20

— Jak to co? — Bagatela wyrwał się z „niedźwiedzia”. — Życia zażywam, a jakże! Życia bohatera oczywiście! Należy mi się!

— Masz rację! Należy nam się! — Krzepki wskazał mu miejsce przy „swoim” stole i raz jeszcze przyjrzał się bacznie kompanowi. — Widzę, że szybko rozstałeś się z mundurem. Nigdy za nim nie przepadałeś, o ile dobrze pamiętam?

Porucznik Bagatela przyglądał wolną dłonią poły marynarki. Syn krajowego potentata w handlu winem wyglądał na nieco zbitego z tropu.

— Rozumiem, stary. „Wojenko, wojenko...” nie dla wszystkich tyś pani! — Krzepki natychmiast rozładował nastrój. — Gdzieśmy się to widzieli ostatnim razem? Pod Smoleńskiem? Czy Charkowem?

— Prawie zgadłeś. — Włodek Bagatela położył na białym obrusie swoje drobne dłonie zdobne w dwa sygnety. — To było w Winnicy, tuż przed kontrofensywą...

— A, prawda! Jak mogłem zapomnieć! — Krzepki stuknął się w czoło. — Byłeś wtedy ranny w ramię, nosiłeś rękę na temblaku. Opatrzył ją Gottlieb, pamiętasz? Wszystko z nią w porządku?

— Jak najbardziej. Pamiętasz Woźniaka? On ciągle powtarzał to swoje: „Do wesela się zagoi”. No i się zagoiło, ale baby żadnej na horyzoncie nie widać. — Kwaśny uśmiech porucznika Bagateli miał chyba oznaczać, że realnie ocenia swoje szanse u płci pięknej.

Krzepki machnął lekceważąco dłonią.

— Za mundurem panny zawsze sznurem — wypowiedział te słowa tak poważnie, jak tylko potrafił. — Zapomniałeś, że jesteś teraz bohaterem narodowym? Nie zauważyłeś

21

tego szumu wokół nas? Naród nas kocha, prezydent nas lada chwila wszystkich udekoruje najwyższymi odznaczeniami państwowymi, a kobiety oszaleją na twoim punkcie szybciej, niż ci się wydaje.

Porucznik rozluźnił się wreszcie i wybuchnął gromkim śmiechem.

— Ty to masz gadane, Janek. Ani chybi, zostaniesz naszym Goebbelsem!

— A w pysk chcesz? — Kapitan udał, że chce się odwinąć. — Wypraszam sobie takie porównania!

— Ciiiiiii... — Bagatela syknął nagle ostrzegawczo, wywracając oczyma w stronę wejścia. Krzepki podążył za jego wzrokiem. W szerokich drzwiach stał niemiecki generał pod rękę z wyraźnie młodszą małżonką. Zza błyszczących binokli uważnie lustrował wnętrze restauracji, szukając wolnego stolika.

— Idź sobie, cholero, do sali dansingowej - szepnął życzliwie Krzepki.

Bagatela pochylił się nad obrusem, z trudem dusząc śmiech.

Poznań, wtorek i sierpnia 1944, w tym samym czasie

Starszy posterunkowy Adamczak nerwowo ścisnął palcami granatowe spodnie munduru.

Otyły komisarz długo i uważnie studiował kilkanaście zdań zapisanych ołówkiem na kartce papieru ozdobionej urzędową pieczętą. Oficer tylko raz uniósł nieznacznie w górę siwiejącą brew, zdradzając zaskoczenie. Potem przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

22

— Na pewno nie miał przy sobie dokumentów? — upewnił się. — Jesteście absolutnie przekonani?

— Dokładnie zrewidowaliśmy trupa, panie komisarzu...

— Więcej szacunku dla nieboszczyka! — syknął Kaczmarek.

— Tak jest, panie komisarzu. Ma się rozumieć, że chodzi o szanownego denata.
— Napisaliście też tutaj, że w wewnętrznej kieszeni marynarki znaleźliście sto dwadzieścia złotych polskich...
— Tak jest!
— To spora kwota. Nawet jak na bywalca tutejszego domu uciech. Aż dziw bierze, że ten, kto go tak fachowo skroił, nie połasił się na taką gratkę...
Adamczak przestąpił z nogi na nogę.
— Jeśli wolno, panie komisarzu...
— Wolno.
— Chciałbym zauważyć, że w dłoni tru... znaczy się szanownego 'nieboszczyka, również widnieje banknot. Ośmielam się przypuszczać, że to dwadzieścia złotych.
— Też tak sądzę — prychnął Kaczmarek. — Tym bardziej to wszystko dziwne. W milczeniu rozejrzał się raz jeszcze po wybrukowanym podwórku zamkniętym splekanymi ścianami kamienic. Mimo upału wszystkie okna były szczelnie zamknięte. Jakby mieszkańcy chcieli w ten sposób zawczasu zeznać, że niczego nie widzieli i nie słyszeli.
— Kto obejrzał zwłoki? — rzucił rutynowo w stronę Adamczaka.
— Doktor Marciniak. To on będzie badał szanownego... nieboszczyka. Czekaliśmy z tym na pana komisarza.

23

'\

— Rozumiem. Dziękuję.
Nie oglądając się na starszego posterunkowego, wyszedł na ulicę. Zatrzymał się przed bramą i powiódł wzrokiem po frontonach wysokich, trzypiętrowych kamienic na Kan-taka. Dramat rozegrał się gdzieś tutaj, w tych murach...
Dopiero teraz dostrzegł, że po przeciwnej stronie chodnika zgromadził się całkiem spory tłum gapiów pokazujących sobie palcami policjantów stojących we wnętrzu bramy. Obrzucił widzów spojrzeniem pełnym niesmaku i pogardy, a potem skierował wzrok na trotuar. Tędy musiał uciekać morderca, pomyślał. Idę po jego krokach...
Wśród licznych petów rozkwaszonych na chodniku pod podeszwami przechodniów jeden od razu rzucił mu się w oczy. Schylił się z wysiłkiem, z głębi kamizelki wyciągnął niewielką pęsetę i delikatnie unióśł nią strzępek białej bibułki prosto przed swoje oczy.
— Ki diabeł... — mruknął.
Osmalone brzegi papierka zdawały się płonąć całkiem niedawno. Ogień nie zdążył strawić słabo widocznego, sta-lowoszarego symbolu na bibułce. Coś jakby herb, pomyślał. Ciekawe...
Schował strzęp papierosa w filcowe etui na okulary, westchnął i ruszył spieszny krok w stronę Świętego Marcina. Nie miał najmniejszej ochoty raz jeszcze widzieć się z łysym wiceprezydentem. A tym bardziej wysłuchać jego poufnej prośby.
Bo że taka prośba prędzej czy później zostanie wypowiedziana, było pewne jak amen w pacierzu.

24

Warszawa, wtorek i sierpnia 1944, kwadrans po czternastej

— I dlatego to wszystko mi się nie podoba — wysapał Włodzimierz Bagatela, porucznik w cywilu, heroicznym szarpnięciem odpinając guzik u spodni, które nagle zaczęły go straszliwie uwierać.
Po obfitym dwudaniowym obiedzie z deserem było to jak najbardziej zrozumiałe.
Krząkający się dymem „Egipskiego” i spojrzawszy uważnie na przyjaciela.
— U nas to nie przejdzie — powiedział z uśmiechem. — Nasi Żydzi mogą spać spokojnie. U nas nie obowiązują ustawy norymberskie.

Bagatela nie odpowiedział mu uśmiechem. Badawczym spojrzeniem taksował twarz kompana.

— Wiesz, że to jeszcze o niczym nie świadczy. Spójrz na naszych południowych sąsiadów...

— Eeee! — Krzepki nie był w odpowiednim nastroju, by zastanawiać się akurat teraz, po świetnym jedzeniu, nad losami świata. — To mały kraj, podatny na presję. Zwłaszcza takiego giganta jak Rzesza. My to zupełnie inna kategoria wagowa. Jesteśmy wszak sojusznikami...

— No właśnie — zachnął się Bagatela. — Jakoś ciągle nie mogę się do tego przyzwycząić.

Krzepki odszukał wzrokiem niemieckiego generała, który siedział z żoną w odległym rogu sali. Łysy, gruby oficer właśnie zamawiał u kelnera deser. Zwei mai Eis mit Schokolade... — usłyszał jego gardłowy głos. Undzwei mai Kaffe dazu, bitte — zaszczębiotała jego niezbyt urodziwa małżonka.

25

— Najważniejsze, że u siebie nadal jesteśmy gospodarzami — zauważył trzeźwo kapitan.

— Przecież o to właśnie chodzi, prawda? Najważniejsze, że rośnie już drugie pokolenie urodzone w wolnym, niepodległym kraju. To ogromna wartość.

Bagatela poruszył się niespokojnie w fotelu.

— Nie mówię, że nie — odparował. — Ale na pewno też miewasz od czasu do czasu podobne uczucie, że historia mogła potoczyć się inaczej. Zupełnie inaczej. Wiesz, miałem niedawno dziwny sen. Nieprzyjemny, ale na swój sposób prawdziwy...

— Analizujesz swoje sny? Oj, brachu, starzejesz się na potęgę!

— Nie drwij, proszę. Śniło mi się, że wojna wybuchła wcześniej. I wcale nie była to wojna z Sowietami, tylko z Niemcami. Nazistami. Wiesz, to było straszne. Oni bombardowali nasze miasta i chcieli nas...

— Cha, cha, cha! — Krzepki wybuchnął śmiechem, zwracając na siebie uwagę sąsiadów za swoimi plecami. — Mam nadzieję, że szybko się obudziłeś i jakoś przeżyłeś tę wojnę?! Porucznik Bagatela milczał. Widać było, że wcale mu nie do śmiechu. W dłoniach nerwowo gniótł serwetkę.

— Możesz się śmiać, Janie — odezwał się w końcu. — Wiem, że to może wydawać się śmieszne. Ale... Zresztą, nieważne. Masz rację, to w końcu był tylko sen. Głupi sen.

Zerknęli obaj w stronę stolika, przy którym generał i jego żona popijali z filiżanek parującą, gorącą kawę. Niemiec tłumaczył coś swojej partnerce, energicznie wymachując lewą dłońią.

26

— Spójrz na nich, Włodku — powiedział Krzepki. — Niech sobie tu przyjeżdżają i dobrze się bawią, wydając swoje marki — albo jeszcze lepiej złotówki. Zawsze jednak muszą pamiętać, że tu nie Rosja czy — pardon — Nowa Rzesza. U nas są tylko gośćmi. I niech tak zostanie.

Poznań, wtorek i sierpnia 1944, szesnasta z minutami

Doktor Wojciech Marciniak powoli i dokładnie płucał dłoń pod kranem. Za długo, jak na gust Kaczmarka.

— I co? — zapytał zniecierpliwiony komisarz.

— Spokojnie, Biniu. Zaraz ci wszystko powiem. — Marciniak szczerze nie znosił, kiedy ktoś go poganiał. — A przynajmniej powiem ci tyle, ile w tej chwili mogę wy-dedukować ze stanu zwłok.

Wytarł dłoń w szorstki ręcznik przewieszony obok zlewu i usiadł na krześle pomiędzy Kaczmarkiem i zasłoniętym parawanem stołem sekcyjnym.

— To był młody facet. Jakies dwadzieścia osiem, góra trzydzieści lat — westchnął Marciniak, chowając dłoń w kieszenie białego kitla.

— Co ty powiesz, Wojtuś. Przecież widzę, że to nie starzec...

— Nie drwij, Biniu. Wiesz, że tego nie lubię. Facet był lekko podпиты, ale z pewnością nie pijany w sztok. W jego krwi nie ma zbyt wiele alkoholu. I to cięcie... Bardzo nieprzyjemne. Głębokie. Bardzo głębokie. Jedno konkretne pchnięcie i było po nim. Wykrwawił się szybciotko.

27

— Spójrz na nich, Włodku — powiedział Krzepki. — Niech sobie tu przyjeżdżają i dobrze się bawią, wydając swoje marki — albo jeszcze lepiej złotówki. Zawsze jednak muszą pamiętać, że tu nie Rosja czy — pardon — Nowa Rzesza. U nas są tylko gośćmi. I niech tak zostanie. Poznań, wtorek i sierpnia 1944, szesnasta z minutami

Doktor Wojciech Marciniak powoli i dokładnie płukał dłonie pod kranem. Za długo, jak na gust Kaczmarka.

— I co? — zapytał zniecierpliwiony komisarz.

— Spokojnie, Biniu. Zaraz ci wszystko powiem. — Marciniak szczerze nie znosił, kiedy ktoś go poganiał. — A przynajmniej powiem ci tyle, ile w tej chwili mogę wydedukować ze stanu zwłok.

Wytrzeł dłonie w szorstki ręcznik przewieszony obok zlewu i usiadł na krześle pomiędzy Kaczmarkiem i zasłoniętym parawanem stołem sekcyjnym.

— To był młody facet. Jakieś dwadzieścia osiem, góra trzydzieści lat — westchnął Marciniak, chowając dłonie w kieszenie białego kitla.

— Co ty powiesz, Wojtuś. Przecież widzę, że to nie starzec...

— Nie drwij, Biniu. Wiesz, że tego nie lubię. Facet był lekko podпиты, ale z pewnością nie pijany w sztok. W jego krwi nie ma zbyt wiele alkoholu. I to cięcie... Bardzo nieprzyjemne. Głębokie. Bardzo głębokie. Jedno konkretne pchnięcie i było po nim. Wykrwawił się szybciotko.

27

Kaczmarek westchnął znudzony. Nasłuchiwał się już w swoim prawie pięćdziesięcioletnim życiu setek takich historii.

— Głęboka rana, powiadasz — wymamrotał dla podtrzymania rozmowy.

— Nadzwyczaj głęboka, Biniu. Paskudna. Jakby ktoś go dźgnął długim, wyjątkowo długim sztyletem. Prawie go przebił na wylot! A może to był raczej bagnet... O, tak! To mógł być bagnet! — myślał na głos doktor Marciniak.

— Nie ponosi cię fantazja, Wojtuś? Kto by paradował po ulicy z wojskowym bagnetem? Doktor wzdrygnął się całym ciałem.

— A bo ja wiem? Mało to na świecie szaleńców? Zwłaszcza teraz.

Kaczmarek nie mógł nie przyznać mu racji. Wojna zawsze pociąga za sobą poluzowanie zasad moralnych. Kiedy kwiat młodzieży walczy na froncie, na zapleczu do głosu dochodzą najgorsze męty i szumowiny...

— Widziałeś już kiedyś taką ranę? — zapytał.

— Tylko raz. — Marciniak podniósł się z krzesła i podszedł do okna. — To było w trzydziestym ósmym. Jakaś draka pod Dworcem Głównym. Wtedy okazało się, że zabójca posługiwał się starym pruskim bagnetem.

— Czyli zapewne masz rację — westchnął komisarz.

Zanim wyszedł, sięgnął po etui na okulary ukryte

w wewnętrznej kieszeni kamizelki. Pęsetą wyciągnął z niego ostrożnie strzęp papierosowej bibułki i podał doktorowi.

— Zagraniczny — powiedział Marciniak, usiłując wywąchać ostatki tytoniowej woni z rozkwaszonej resztki bibułki.

- Skąd wiesz, Wojtuś?
 — To proste. — Doktor Marciniak uśmiechnął się wyrozumiale. — Chodzi o bibułkę.
 — Myślałem, że o ten dziwny emblemat.
 — To też. Ale bibułka... Zobacz, jest inna niż nasze. Bielsza, konkretniejsza. Lepszej jakości. Od razu widać, że to nie „Sporty” czy „Damskie”. Nawet „Egipskie” i „Belwe-derskie” nie mają takiej.
 — A ten znaczek? Coś jakby herb... Cholera wie, co to może być.
 — Sprawdzimy — obiecał Marciniak, przejmując od Kaczmarka pęsetę z dowodem rzeczowym. — Rozumiem, że ma to związek z denatem?
 — Albo z nieboszczykiem, albo z diabłem, który go wysłał w zaświaty. Mam przynajmniej taką nadzieję — wysapał komisarz.

Wstał i po raz pierwszy poczuł zmęczenie. Ten cholerny, upalny dzień wytoczył z niego kilka litrów potu. Dam sobie dzisiaj spokój, pomyślał. Muszę skoczyć na kufelek chłodnego. Należy mi się.

Warszawa, wtorek i sierpnia 1944, około siedemnastej

W ogromnym zgłębku i podnieceniu przepchnęli się w stronę Dworca Głównego. Defilada już się rozpoczęła. Szeroką ulicą maszerowały pułki 1 Dywizji Kadrowej, wsławione odparciem sowieckiego kontrnatarcia na Kijów. Piechurzy szli mocnym, równym, zapierającym dech w piersiach widzów krokiem. Najeżone bagnetami karabiny budziły

29

respekt. Na tych bagnetach roznieśli bolszewików na lewym brzegu Dniepru.

Na udekorowanej narodowymi barwami trybunie honorowej dostrzegli charakterystyczną sylwetkę marszałka. Stał nieruchomo z palcami przyłożonymi do daszka rogatywki, salutując przejeżdżającym przed nim czołgistom w potężnych, masywnych maszynach. Naczelnny Wódz z dumą spoglądał na vickersy i tygrysy, przyozdobione na ten dzień polskimi barwami. Krzepki zdał sobie sprawę, że to historyczna defilada: po raz pierwszy przodem jechały czołgi. Kawaleria pojawiła się dopiero wtedy, gdy przed trybuną opadł kurz i rozwiął się gryzący smród spalonej benzyny.

„Ułani, ułani, malowane dzieci...” — zaintonowali kawa-lerzyści, szumnie powiewając chorągiewkami wieńczącymi setki lanc.

Tłum widzów zafalował i podchwycił wzruszającą pieśń, jakby każdy zdawał sobie sprawę, że ogląda zmierzch tej barwnej formacji.

Prezydent Rzeczypospolitej, stojący obok marszałka, poruszył się niespokojnie. Krzepki rozumiał go doskonale — jego też coś chwyciło za gardło, a do oczu zaczęły mu się cisnąć łzy. Oczy Bagateli były równie wilgotne.

Piękni są, pomyślał. Szkoda, że ich epoka już się kończy.

Marszałek oderwał dłoń od rogatywki, schylił się i chwycił podaną mu przez adiutanta wiązaną kwiatów. Wziął zamach i cisnął kwiaty pod końskie kopyta.

Tłum zaczął bić brawo marszałkowi i dzielnym ułanom, którzy uśmiechali się szeroko.

— Niech żyje marszałek! Nie żyją nasi ułani! — zawołała zażywna kobieta spod kiosku z gazetami.

30

— Niech żyją! Niech żyją!

Krzepki z zaciekawieniem przyglądał się kierownikom państwowej nawy. Prezydent, odziany w błyszczący smoking, pozdrawiał wojsko i warszawiaków, machając kapeluszem. Marszałek znowu zasalutował, wodząc z lubością wzrokiem po wyprostowanych sylwetkach kawalerzystów. I tylko szef dyplomacji, równie elegancki jak prezydent, trzymał się nieco na

uboczu, nie dzielając powszechnej radości. Z jego wysokiej postaci emanował jakiś niepokój.

Krzepki mógłby przysiąc, że w pewnym momencie minister nerwowo przygryzł wargę.

Poznań, wtorek i sierpnia 1944, dwudziesta pierwsza z minutami

Telefon na biurku zadzwonił akurat w momencie, kiedy komisarza Kaczmarka zmorzył sen.

Komisarz poderwał się na równe nogi i klnąc szpetnie, chwycił za słuchawkę.

Rozmówca po drugiej stronie chrząknął w znajomy sposób, po czym na linii zapadła krępująca cisza.

— Słucham! — odezwał się szorstko Kaczmarek, pełen najgorszych przeczuć.

— Komisarz Kaczmarek, jak sądzę? — Chropawa barwa głosu po drugiej stronie nie pozostawiała wątpliwości, kto wykręcił numer komisarza.

— Tak, panie wiceprezydencie.

Włodarz miasta znowu odchrząknął, jakby walczył z nagłym atakiem flegmy.

31

— Łaskawy panie komisarzu, dzwonię... że tak powiem, w wiadomej sprawie...

— Tak?

— Czy szanowny pan komisarz nie uważa, że powinniśmy spotkać się na śledziku i co nieco porozmawiać?

Kaczmarek starł wierzchem dłoni sen z powiek i błyskawicznie oprzytomniał. Wizja wieczoru spędzonego twarzą w twarz z miejskim notabłem w jakiejś podrzędnej speluncie nie pociągała go.

— Jestem wielce zaszczycony tą propozycją, szanowny panie prezydencie — zaczął z wyszukaną elegancją. — Muszę jednak poprosić pana o wyrozumiałość. Sprawa, w której niepokoiłem dziś rano szanownego pana, jest wyjątkowo obrzydliwej natury i — powiem wprost — nie cierpi zwłoki. Prowadzimy intensywne śledztwo zmierzające do ujęcia sprawcy zabójstwa. Proszę nie pytać o szczegóły, bo nie mogę o nich mówić. Mogę natomiast zapewnić, że sprawa jest wybitnie rozwojowa i nie spoczne, dopóki morderca...

— Rozumiem, komisarzu — przerwał mu wiceprezydent, wyraźnie zaskoczony słowotokiem policjanta.

Przez chwilę na linii znowu zaległa cisza.

— Mam małą prośbę — wyszeptał wreszcie wysoki urzędnik.

Kaczmarek był na nią gotowy. I to wcale nie na taką małą. Co nie oznaczało, że chciał jej wysłuchać. Szczerze pragnął jednego: jak najszybciej uciąć tę idiotyczną zabawę.

— Panie prezydencie, zapewniam... Nie ma o czym mówić.

32

— Tak, tak! Właśnie! Nie ma o czym! — przytaknął skwapliwie wysoki urzędnik. — Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia...

— Ta sprawa pozostanie wyłącznie między nami — zakończył Kaczmarek.

Na wszelki wypadek natychmiast rzucił słuchawkę na widełki. Chwilę później chrapał donośnie, rozłożony na blacie biurka.

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, dziewiąta trzydzieści

Gwałtowne szarpnięcie zatrzęsło przedziałem i zrzuciło go brutalnie z drewnianego siedzenia.

Ładując na podłodze, uderzył głową w metalową popielniczkę zawieszoną pod oknem.

Przenikliwy ból nad skronią przywrócił go do rzeczywistości. Masując pulsującą łepetynę, zebrał się do kupy i powoli podniósł na ciągle chwiejne nogi.

Wczoraj nieźle zabalowali z Bagatelą w „Bristolu”. Wódeczka lała się szerokim strumieniem, a że zakąski szybko zabrakło, więc i wrażenia urwały się nagle i niespodziewanie. Pamiętał jeszcze czerwoną, rozochoconą twarz przyjaciela, dzikie okrzyki „Niech żyje Wojsko Polskie!” i niepewne kroki ku dorożce, połyskującej w ostrym blasku wschodzącego słońca

na Krakowskim Przedmieściu. I jeszcze pustawy peron Dworca Głównego, na który wtaczała się spowita parą, gigantyczna lokomotywa... A potem nie pamiętał już niczego więcej. Wyrzwał przez okno i znajomy widok budynku z czerwonej cegły uświadomił mu, że porucznik w cywilu Włodzi-

33

w \> w

mierz Bagatela mimo wysokiej zawartości ognistego trunku w żyłach wrzucił go do właściwego pociągu. W dodatku jego plecak leżał karnie na półce, a to już zakrawało na mały cud.

Poznań! Wrócił do domu! Nagle przypomniał sobie, że przecież na peronie czeka rodzina.

Rzucił się do okna i tu spotkała go przykra niespodzianka: wśród nielicznych osób na zewnątrz nie zauważył ani jednej znajomej. Jak to możliwe?

Zerknął na zegarek i momentalnie oprzytomniał. Dziewiąta trzydzieści dwie! Co ja, u licha, robię tu tak wcześnie?! Przecież miałem wyjechać z Warszawy o dziesiątej rano, czyli... za pół godziny!

W głowie mu jeszcze szumiało, kiedy niepewnym krokiem pokonał dwa schodki dzielące wagon od peronu. Rozejrzał się raz jeszcze i ostatecznie uspokoił.

— Nikt nie przyszedł, bo przecież jeszcze nie wyjechałem — wymamrotał pod nosem, coraz bardziej zły na siebie i na wczorajszy wieczór, podczas którego bynajmniej nie wylewali z Bagatela za kołnierz. — Cholera, muszę sobie radzić sam...

Zarzucił plecak na ramię i lekko chwiejnym krokiem ruszył do przejścia przez tory. Dzień był już w pełni, a słońce smagało żarem jego twarz. Znów będzie upał, pomyślał rozgoryczony.

Łeb pulsował mu bólem. Pić! Królestwo za szklankę wody!

Pod arkadowym wejściem do gmachu dworca siedziała na stołku nędznie odziana, krągła babcinka. Na małym wózku sprzedawała poznańskie rury*. Innych sprzedawców nie było widać.

* rury — ciemne, brązowe, słodkie, chrupkie ciasto z zagiętymi rogami, sprzedawane głównie w czasie święta Bożego Ciała

34

— A wody jakiejś babciu nie masz? — Krzepki pominął konwenanse i od razu przeszedł do meritum sprawy.

Czerstwa kobieta spojrzała na niego z zainteresowaniem i uśmiechnęła się życzliwie, jakby Krzepki był jej wnukiem.

— A to z wojenki panicz wraca, nieprawdaż?

— Prawdaż, prawdaż! Wody jakiejś nie

macie? Podwójnie zapłacę, mam straszny *brant — 1 brant*... pragnienie

Babcinka podrapała się w owiniętą barwną chustą głowę i poszperała dłonią w zakamarkach wózka. W końcu wyciągnęła z niego butelkę lemoniady.

— Może być?

— Może. — Kapitan wyrwał jej butelkę z rąk, odkorkował i pociągnął potężny łyk.

Na moment poczuł ulgę.

-Ile?

— Od naszego kochanego Wojska Polskiego nie biorę — rezolutnie odpowiedziała staruszka.

— Dwadzieścia groszy?

— Przecie mówię, że nic.

— Dobra, dobra...

Krzepki sięgnął do kieszeni i w mało elegancki sposób rzucił na wózek babcinki złotówkę. Zamiast podziękowań usłyszał mało parlamentarne słowo, ale się tym nie przejął. Gasząc kaca kwaśną lemoniadą, ruszył Dworcową w stronę alei Marszałka Piłsudskiego.

— „Kurieeeeeer Poznański!!!!!!” — ryknął mu niemal w ucho chuderlawy gazeciarz ciągnący za sobą potężną torbę z gazetami. — Wielka parada w Warszawieeeeeee!

35

Jeszcze większa sensacja w Rzeszy! Nasz minister z wizytą w Berlinieeeeeee...

Rzucił groszaka i już miał pod pachą szeroką, złożoną w pół płachtę „Kuriera”. Na pierwszej stronie — jak to było w zwyczaju ostatnich dni — widniał Naczelny Wódz, odbierający z wypiętą piersią defiladę zwycięstwa.

Pierwszą dorożkę zauważył dopiero pod mostem Dworcowym. Przekrzykując przeraźliwie zgrzytający tramwaj toczący się po moście, zawołał na woźnicę. Ten ochoczo pociągnął batem po końskim zadzie, wyraźnie zadowolony. Na ramionach wojskowego zauważył oficerską szarżę i był pewien, że trafi mu się niezła zapłata.

Dorożka ugięła się pod ciężarem kapitana, który wskoczył do niej z widocznym trudem.

— Ach, ta Warsiawka! — skwitował głosem pełnym pogardy woźnica, spluwając siarczyście na bruk. — Dokąd wieziemy szanownego pana kapitana?

— Na Szeląg! Ale bystro, przewietrzyć się muszę!

— Już się robi, panie kapitanie. Już się robi!

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, dziesiąta

Przekrwione oczy komisarza Kaczmarka przydawały mu wręcz wampirycznego uroku. „Stary znowu jest zły” — niosło się po korytarzach Prezydium Policji przy 3 Maja.

Kaczmarek zaiste był wściekły. Nie dość, że przechrpał cały poranek, zamiast przesłuchać madame Gładeczką, to w dodatku po mało wygodnym przebudzeniu poczuł

36

koszmarny ból we wszystkich kręgach i kłykciach swojego wymizerowanego kręgosłupa.

— Znowu dostałem strzał w plecy, szlag by to trafił! — zaklął i podjął iście heroiczną próbę uniesienia swojego ponadstukilowego cielska znad blatu biurka.

Nateżył się, szarpnął w górę, spurpurowiał kilka centymetrów nad biurkiem, aż w końcu dramatycznie stęknął i... skapitulował. Po tym piekielnym wysiłku biurko wydało mu się całkiem sympatyczną przystanią.

Do gabinetu wpadł drobny człowieczek w policyjnym mundurze. Szybko ocenił sytuację i widząc szefa w niedyspozycji, natychmiast zamknął drzwi i przystąpił do akcji ratunkowej.

— Długo kazałeś na siebie czekać — westchnął z wyrzutem Kaczmarek.

Złość topniała w nim z wolna, gdy przodownik Franciszek Nowak, jego adiutant, sprawnie skonstruował ze stojących na skraju biurka szarych tomów akt łagodną pochylnię. Komisarz wsparł się na niej łokciami i — posuwając się nimi po stoku z akt — naprostował z sykiem swój zniszczony kręgosłup.

— Lepiej? — W oczach Nowaka dostrzegł szczerą troskę.

— Lepiej — odparł oschle. — Dlaczego, do diaska, nie obudziłeś mnie, dajmy na to, o siódmej?

Przodownik stanął po drugiej stronie biurka i wybałuszył ze zdziwieniem małe oczka.

— Pan komisarz zakazał — szepnął.

— Co?! — Kaczmarek wpadł w furję. — Chyba masz odbite! Sam chyba też spałeś, huncwocie!

37

*

Nowak skłonił się pokornie i równie cicho powtórzył:

— Pan komisarz zakazał budzić. Wczoraj wieczorem...

Gdzieś pod czerepem komisarza zapaliła się nagle mizernym światelkiem lampka pamięci.

— Prawda — przyznał niechętnie. — Śmigaj po jajecznicę i kawę. Czarną, do cholery!

— Tak jest. Jasne, że czarną — odpowiedział już odważniej przodownik Nowak i natychmiast wybiegł na korytarz.

Pewnie znowu przyniesie mi białą, pomyślał z goryczą komisarz. Jego asystent nie grzeszył uważnością, wręcz sływał z roztrzepania. Gdyby nie to, że Nowak terminował u niego z poręki samego inspektora generalnego, już dawno pozbyłby się tego ofermy, zsyłając go na przykład do nadzorowania patroli.

No, ale dzisiaj mi pomógł, zreflektował się chwilę później. Aby nie tracić czasu, wyjął z kieszeni spodni swój reporterski notes z ołówkiem, ukrytym w skórzanej oprawie.

Madame Gładecka, dziewczynki, mieszkańcy kamienicy, Marciniak — rozpiisał sobie plan działania na najbliższe godziny.

Zanim schował notatnik, uświadomił sobie, że zapomniał o dozorczy domu. Tak, jego też przesłucham, postanowił.

Ostrożnie, by nie forsować kręgosłupa, podniósł się z krzesła i podszedł do uchylonego z lekka okna.

Za szybą dzień rozkręcił się na dobre. Słońce wzniosło się już wysoko nad szary trotuar placu Wolności przesłoniętego „Arkadią”. Świeciło mu teraz prosto w oczy. Podniósł dłoń do brwi i spojrzął na szeroką ulicę 3 Maja. W dole pędziły dorożki i samochody, gdzieniegdzie zabrzęczał me-

38

talicznie dzwonek skrzypiącej od wysiłku rykszy. „Sensacja w Rzeszy! Minister polski z wizytą w Berlinieeee!” — wył gazeciarz na zdezelowanym rowerze.

— Też mi sensacja — mruknął Kaczmarek złośliwie.

W ostatnich latach polscy ministrowie jeździli do stolicy Rzeszy częściej niż niemieccy przywódcy do polowania w Białowieży.

Na korytarzu usłyszał dudniące kroki przodownika Nowaka. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do gabinetu komisarza wpadł zziębnięty asystent. W prawej dłoni trzymał talerz pełen gorącej jajecznicy, okraszonej drobno ciętą kiełbasą. W lewej dzierżył parujący, policyjny kubek. Postawił naczynia na biurku i z kieszeni munduru wydobyl lśniący czystością widelec.

— No! — Kaczmarek poczuł, że rzeczywistość nareszcie wskoczyła w swoje odwieczne koleiny.

Rozsiadł się wygodnie przed jedzeniem i zauważył, że Nowak nie zapomniał o dwóch pajdach chleba. Więcej — na chlebie błyszcząło się złotuśkie, rozkosznie świeże masło.

— Brawo — rzucił najkrótszą pochwałę, jaka mu przyszła do głowy.

Piegowata twarz Nowaka w jednej chwili pokraśniała ze szczęścia.

— Jakbyś jeszcze przyniósł mi „Kurier”... — wymlaskał komisarz, dzielnie atakując widelcem i pajdą chleba furę jajecznicy na talerzu.

Przodownik sięgnął za plecy i zza pasa wyciągnął złożoną w pół gazetę. Kiedy rozłożył ją przed przełożonym, w gabinecie zapachniało drukarską farbą.

39

— No, Nowak! — Kaczmarek sapał z najwyższym uznaniem. — Może jednak będą z was kiedyś ludzie!

Kręgosłup przestał go wreszcie łupać, a w trzewiach rozszedł się przyjemny, ciepły posmak smażonej cebulki i nienagannie ściętego białka. Taaak, ten dzień na pewno będzie bardziej udany niż wczorajszy...

Sięgnął po kubek i zanurkował w nim niemal po dziurki od nosa.

Bulgot oburzenia wyrwał przodownika Franciszka Nowaka ze słodkiego stanu satysfakcji. Dusząc się i krztusząc, komisarz rzucił w stronę podwładnego spojrzenie, które powaliłoby najpotężniejszy dąb w Puszczy Noteckiej.

— A nie mówiłem?! — ryknął z wściekłości. — Nie mówiłem wyraźnie: czarną, chamie?!

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, wpół do jedenastej

Choć upał narastał z wolna, chłód cienia, jakie rzucały kamienice śródmieścia, szybko wywiał z niego duszne, alkoholowe wspomnienie stolicy. Przejazdka przez centrum Poznania była jak orzeźwiający, odnawiający powrót do źródeł.

Po lewej mignął mu Pomnik Wdzięczności, oblegany od rana przez grono wnucząt pod przezorną opieką babć i dziadków. Małe smyki biegały jak oszalałe po trawniku na zapleczu pomnika. Na widok mundurowego w dorożce kilka maluchów w krótkich spodenkach przystanęło i zasalutowało zabawnie lewą dłonią. Krzepki zasalutował im z szerokim uśmiechem spod wąsa. Nareszcie poczuł się jak u siebie w domu.

40

Dawny cesarski Zamek, stanowiący od ponad dwudziestu lat siedzibę prezydenta Rzeczypospolitej, przybrany był w białoczerwone szarfy zwisające malowniczo z okien aż po bruk. Nad głównym wejściem do postawionej przez Prusaków budowli widniał ogromny, malowany na płótnie napis: „Ojczyzna wita swoich bohaterów”. Wczoraj także tutaj musiała być jakaś defilada, pomyślał. Zerknął na bruk i już wszystko wiedział: na Świętym Marcinie leżały jeszcze zeschnięte płatki róż.

Na wysokości Ratajczaka przyjrzał się uważniej witrynom sklepów schowanych pod wypłowiałymi markizami. Wszędzie widział ślady triumfu: białoczerwone chorągiewki i zdjęcia Naczelnego Wodza.

Nigdzie nie dostrzegł choćby jednej flagi sojuszników. Wspomnienie ponad wieku uciemnienia ciągle jeszcze było zbyt świeże.

Dorożka rżnęła kościół św. Marcina z wieżą zwieńczoną baniastym hełmem i nagle przyspieszyła — wtoczyła się na końcowy fragment ulicy, który ostro zjeżdżał w dół, ku Wrocławskiej. Jeszcze chwila — i zobaczył figurę świętego Jana Nepomucena zapowiadającą Stary Rynek.

t

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, kwadrans przed jedenastą

Madame Juliette Gładecka czekała na niego przed drzwiami swojego przybytku w efektownej, łososiowej garsonce. Choć poznał ją podczas niezapomnianej grudniowej zawieruchy 1918 roku, Kaczmarek musiał przyznać, że upływający czas był dla madame wielce łaskawy. Wspinając się z lekką za-

41

Dawny cesarski Zamek, stanowiący od ponad dwudziestu lat siedzibę prezydenta Rzeczypospolitej, przybrany był w białoczerwone szarfy zwisające malowniczo z okien aż po bruk. Nad głównym wejściem do postawionej przez Prusaków budowli widniał ogromny, malowany na płótnie napis: „Ojczyzna wita swoich bohaterów”. Wczoraj także tutaj musiała być jakaś defilada, pomyślał. Zerknął na bruk i już wszystko wiedział: na Świętym Marcinie leżały jeszcze zeschnięte płatki róż.

Na wysokości Ratajczaka przyjrzał się uważniej witrynom sklepów schowanych pod wypłowiałymi markizami. Wszędzie widział ślady triumfu: białoczerwone chorągiewki i zdjęcia Naczelnego Wodza.

Nigdzie nie dostrzegł choćby jednej flagi sojuszników. Wspomnienie ponad wieku uciemnienia ciągle jeszcze było zbyt świeże.

Dorożka minęła kościół św. Marcina z wieżą zwieńczoną baniastym hełmem i nagle przyspieszyła — wtoczyła się na końcowy fragment ulicy, który ostro zjeżdżał w dół, ku Wrocławskiej. Jeszcze chwila — i zobaczył figurę świętego Jana Nepomucena zapowiadającą Stary Rynek.

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, kwadrans przed jedenastą

Madame Juliette Gładecka czekała na niego przed drzwiami swojego przybytku w efektownej, łososiowej garsonce. Choć poznał ją podczas niezapomnianej grudniowej zawieruchy 1918 roku, Kaczmarek musiał przyznać, że upływający czas był dla madame wielce łaskawy. Wspinając się z lekką za-

41

dyszką po schodach, zobaczył najpierw smukłe i zgrabne nogi, potem kształtny biust, na koniec wydatne, błyszczące różem, kuszące wargi i wielkie błękitne oczy, podmalowane ciemną kredką. Madame Gładecka wyglądała zabójczo.

— Witam pana, komisarzu. — Wyciągnęła ku niemu wyperfumowaną dłoń, którą skwapliwie ucałował.

— Czy możemy... — Nie zdążył zaproponować, bo madame wskazała mu swobodnym gestem drzwi obok, prowadzące do jej prywatnego apartamentu.

Skłonił się i wszedł do środka. Gładecka poprowadziła go ciasnym korytarzem do pokoju. Apartament miał okno wychodzące na przeciwległą kamienicę przy Kantaka. Słońce weszło już na tyle wysoko, że jego promienie wpadały wprost do pokoju, odbijając się w lustrach i wypucowanych kantach mebli. Komisarz zmrużył oczy i dopiero wtedy dostrzegł dwa fotele w stylu rokoko, ustawione pod oknem. Między nimi stał nieduży stolik, a na nim karafka ze złocistym likierem.

Kiedy usiedli, Kaczmarek przystąpił do rzeczy.

— Przepraszam, że niepokoję o tak nietypowej porze — rozpoczął możliwie uprzejmie.

— Prowadzę jednak bardzo ważną sprawę. Zapewne pani już wie, że poprzedniej nocy w bramie tego domu albo na jego podwórzu zamordowano człowieka.

— Słyszałam — potwierdziła beznamiętnym głosem madame Gładecka. — Jak pan wie, nie było mnie wówczas w Poznaniu. Zmuszona byłam wyjechać w interesach do Gniezna, gdzie zabawiłam do wczorajszego wieczoru.

Wolał nie pytać, w jakich to interesach madame zabawiła tak długo w Gnieźnie.

42

— Napije się pan kieliszeczek? — zaproponowała nagle Gładecka, sięgając po karafkę.

— Nie, dziękuję. Jestem na służbie — odpowiedział szybko, ale zabrzmiało to nieprzekonywająco.

Juliette Gładecka spojrzała Kaczmarkowi prosto w oczy.

— Zmieniłeś się, Biniu. Kiedyś nie odmawiałeś.

Komisarz zmieszał się i zgubił na moment wątek.

— Jeśli wolno zapytać, kto poinformował szanowną panią o tym przykrym zdarzeniu? — powiedział, by sztuczną pewnością siebie pokryć zażenowanie.

— Hela i Ewelina, panie komisarzu. — Jej oficjalny ton sprawił mu pewną przykrość. — One pierwsze dowiedziały się o zdarzeniu od dozorczy.

— Dozorczy? Jak jego godność?

— Wojcieszak. Gerard Wojcieszak. Mieszka pod sąsiednim numerem, odpowiada również za naszą kamienicę. To on znalazł tego nieszczęśnika. Ponoć leżał w kałuży krwi. Był skulony w kłębek, jakby dopiero co otrzymał cios. Był kompletnie zimny.

— Czy denat należał do stałych gości pani lokalu? — Znowu zdobył się na elegancję.

— Niestety nie. — W westchnięciu madame można było wyczuć ślad czegoś w rodzaju żalu. — Szczerze mówiąc, nigdy do nas nie zaglądał.

— Jest pani pewna?

— Absolutnie. Hela i Ewelina widziały jego twarz. Hela powiedziała, że takiego przystojniaka każda by dobrze zapamiętała.

Kaczmarek wyciągnął swój notes i zapisał nazwisko dozorca.

43

— Hela i Ewa... — wymamrotał, notując dalsze dane.

— Ewelina.

— A tak, Ewelina. Czy inne panie...

— Nie sędzę — ucięła szybko ten wątek. — Inne były akurat zajęte...

Drgnięcie jej brwi świadczyło o tym, że nagle sobie

0 czymś przypomniała.

— A przy okazji... — zagaiła niewinnie.

— Nie będzie żadnej okazji — przerwał jej w pół zdania, starając się ze wszech sił zapanować nad ironicznym uśmiechem, który nagle przybłąkał mu się na usta. — Doszliśmy do porozumienia z waszym, że tak powiem, specjalnym gościem. Zakładam zresztą, że nie miał nic wspólnego z tym morderstwem.

— Też tak sędzę, komisarzy. — Różowe usta rozchyliły się w porozumiewawczym uśmiechu.

Nadal jest zniewalająco piękna, przemknęło Kaczmarkowi przez myśl. Jak ona to robi?

— Obawiam się, że będę musiał przesłuchać Helę i Ewelinę — oznajmił urzędowym basem.

— Oczywiście, Biniu — zgodziła się chętnie. — Już je wołam. O tej porze Hela i Ewelina na pewno mają dużo wolnego czasu.

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, jedenasta

Wyskoczył z dorożki, wcisnął piątką w sękatą dłoń woźnicy

1 ruszył ku furtce. Za jego plecami skrzyła się Warta, leniwie snująca się po zielonej, porośniętej licznymi krzewami dolinie. W oddali w niebo celowały strzeliste kominy nowej 44

elektrowni. Od wschodu dobiegał metaliczny stukot świadczący, że pobliska stocznia pracuje pełną parą.

Do ogrodzenia doskoczyła rozedrgana, włochata kula, szczekając radośnie i tnąc powietrze jak tasak.

— Bryś! — Nie potrafił powstrzymać emocji.

Przez zwilgotniałe ze wzruszenia powieki zobaczył szczęśliwą mordę ukochanego psa.

Wierny, brązowo-czarny bernardyn wachlował swoim puchatym ogonem, a wilgotna morda i czarne ślepia mieniły się pełnią szczęścia. Pies rzucił się na furtkę, a kiedy Krzepki nacisnął klamkę i pokonał przeszkodę, skoczył na niego, niemal zbijając z nóg.

— Brysiu! Brysiu kochany! No co mi powiesz, mordo ty moja?! — Tulił do siebie włochate cielsko, a pies aż kwilił z radości.

Rumor i psi rwetes zaalarmowały domowników. Drzwi stojącej na skarpie Cytadeli willi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich siwy jak gołąb mężczyzna.

— Basiu! — zawołał głosem pełnym emocji. — Basiu! Janek wrócił!

2

MELDUJE SIĘ „DWÓJKA”

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, w samo południe

— Gdybyż jeszcze nie ci Niemcy... — westchnął Ignacy Krzepki i przyglądał dłońmi swoje siwe włosy. — Niby ze zwycięstwa radość, a jednak na duszy tak jakoś ciężko.

Drobna kobieta siedząca po drugiej stronie odłożyła łyżkę i spojrzała na niego z wyrzutem.

— A ojciec znowu o polityce! — zachnęła się. — Dałbyś spokój w takiej szczęśliwej godzinie. Syn twój do domu z dalekiej wojny wrócił, a ty niezadowolony...

— Ach tam, od razu niezadowolony — uśmiechnął się jej mąż. — Tak sobie tylko gadam, z przyzwyczajenia.

Jan Krzepki przysunął swoje krzesło do matki i pogłaskał ją czule po ramieniu.

— Daj, mama, spokój. Ojciec do innych czasów przyzwyczajony. Zawsze przecież wspomina, jak zimą osiemnastego roku Niemiaszków pod Szubinem pogonili. A że my teraz

47
razem z Niemcami popędziliśmy bolszewików na białe niedźwiedzie, to i przestawić mu się trudno.

— Masz rację, Janeczku. — Barbara Krzepka przytuliła głowę syna do piersi. — Dziwnych czasów doczekaliśmy. Ale to w tej chwili nieistotne. Najważniejsze, że jesteś już z nami cały i zdrowy. Że żyjesz i będziesz żył. To jest bezcenne, synku. Na długo zjechałeś?

— Mam tydzień urlopu. Potem mam się stawić w jednostce w Kowlu. Moja dywizja jest już w drodze do koszar.

— To wy zdobywaliście Kijów, synu? — Oczy ojca zaszkliły się dawnym wspomnieniem. — Byliście tam?

— A jakże! Do centrum wdarli się wprawdzie pierwsi ci z czwartej dywizji. No i Niemiaszki, oczywiście. Ale zaraz potem my. Pomogliśmy odeprzeć przeciwnatarcie. Sowieci rzucili przeciwko nam chyba z pół setki czołgów.

Ignacy Krzepki stał dłońią łyzy w kącioku oczu. Historia lubi się powtarzać, pomyślał.

— My też tam byliśmy. W kwietniu tysiąc dziewięćset dwudziestego. Pod Rydzem-Śmigłym — przypomniał, choć jego syn o tym doskonale pamiętał.

— Wiem, tato. Dlatego jestem taki dumny.

Barbara Krzepka poniosła się, by odstawić talerz do zlewu. Zanim to jednak zrobiła, znowu czule pogłaskała syna.

— Jak dobrze, że jesteś! — uśmiechnęła się promiennie. — A ty, Ignac, nie zamęczaj Janka tymi wspominkami. I o wojnie już nie rozmawiajcie! Janek do domu wrócił, mamy wreszcie pokój i niech tak już zostanie.

Odstawiła talerz, zalała go wodą i nagle sobie coś przypomniała. Odwracając się do swoich mężczyzn, z trudem tłumiła rezolutny śmiech.

48

— A zgadnij, Janeczku, kto tu wczoraj o ciebie pytał?

Kapitan zerwał się z krzesła i doskoczył do matki.

— Wika! Gdzie ona jest?! Zdrowa?! Wszystko u niej w porządku?! — zasypał ją gradem pytań.

Matka oswobodziła się z jego objęć i uciekła w drugi kąt kuchni.

— Sam ją o to za-py-tasz — droczyła się z synem, zanosząc się serdecznym śmiechem.

— Kiedy? Mówiła coś?! Kiedy przyjdzie?!

— Obawiam się, że srogo się na tobie za-wie-dzie...

— Jak to?! O co chodzi?! Tato, co to za tajemnice?!

Ignacy Krzepki właśnie dobył woreczek z tytoniem i zaczął upychać kciukiem zgrabną fajkę z wiśniowego drewna.

— No, pomyśl sam, syneczku — powiedział, nie przerywając swojego ulubionego zajęcia. — O której miałaś przyjechać?

Kapitan zerknął na zegarek i klepnął się w czoło.

— Święta prawda! Za dwie godziny! Miała być z wami na dworcu?

— A jak my-ślisz, sy-ne-czku? — Matka nadal grała w swoją wesołą grę.

— Maaamo! — Głos syna był teraz pełen rozdrażnienia i żalu. — No i co teraz?! Wika wyjedzie na dworzec, a tam klops...

Stary Krzepki zapalił z sykiem zapałkę i zaciągnął się po raz pierwszy dymem. Izbę wypełnił zapach pierwszorzędnego „Węgierskiego Ogrodowego”.

— Nie widzę żadnego problemu, synu — powiedział. — Żyjemy w dwudziestym wieku. Mamy telefony. Najlepiej od razu umów się z nią w jakiejś kawiarni. Może w „Bazarze”?

49

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, kwadrans po dwunastej

Chustka, którą ocierał spocone czoło, była mokra jak kuchenna ścierka. Dawno temu przestał już notować, bo szybko zrozumiał, że nie będzie miał z notesu żadnego pożytku. Obie dziewczyny wyglądały na — lekko mówiąc — mało rozgarnięte. I zupełnie niewyspane. Ich ciągle ziewanie doprowadzało go do szału.

— Jesteście absolutnie pewne, że nieboszczyk nie był wam znany? — zapytał już tylko pro forma, bo nic mądrzejszego nie przychodziło mu do głowy.

Blondynka zerknęła na brunetkę, a ta na koleżankę.

— Nie — odpowiedziała pierwsza.

— Nie — powtórzyła druga.

— Co „nie”? Nie jesteście pewne, czy może go nie znałyście? — wysapał, walcząc z rozpierającą go od środka chęcią, by wrzasnąć na te głupie ladacznice.

— Czy... mógłby pan powtórzyć pytanie? — zapytała brunetka. — Bo chyba nie do końca zrozumiałam.

— Nie! — wrzasnął.

Zły i załamany podniósł się z fotela. Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Nie działo się tam nic ciekawego, więc zerknął raz jeszcze straszonym wzrokiem na Helę i Ewelinę. Dziewczyny skuliły się na kanapce w drugim kącie pokoju, jakby oczekiwały ciosu.

Zamiast niego usłyszały cichy, syczący z wściekłości głos przesłuchującego.

— Jeszcze jedno pytanie. Kiedy już zbiegłyście za dozorcą na podwórze, żeby zobaczyć denata, nie kręcił się tam nikt podejrzany?

50

Brunetka spojrzała szeroko otwartymi oczyma na blondynkę, a ta odwzajemniła się tym samym.

— Wy zawsze tak razem?! — Nie wytrzymał, uderzając ciężką dłonią w stolik.

— Tak, pracujemy razem. Jeśli o to panu chodzi, oczywiście... — Blondynka uśmiechnęła się pogardliwie.

W jej spojrzeniu było coś paskudnie wyzywającego.

Kaczmarek dyszał ciężko, opierając się o fotel. Tępota, pomyślał. Tępota i zgnilizna moralna! Co ja tutaj, do cholery, robię?!

— No więc? — zapytał raz jeszcze. — Był tam ktoś oprócz was?

— Tak, panie komisarzu — ożywiła się brunetka. — Był dozorca Wojcieszak. Gerard Wojcieszak.

Trzask zamykanych drzwi wstrząsnął szczupłymi ciałami dziewcząt. Komisarz Kaczmarek opuścił pokój przesłuchań i klnąc, na czym świat stoi, zbiegł po schodach. Jedyne nadzieje w dozorcę, myślał cały w nerwach. Te głupie cizie zabrały mi pół godziny i nic z tego nie mam! Wypadł z bramy i podbijając kolanami swój pokaźny brzuch, podbiegł do sąsiedniej kamienicy.

— Gdzie mieszka Wojcieszak? — rzucił do wysokiego, chudego jak szczapa mężczyzny w roboczym uniformie, który zamiatał chodnik przed bramą.

— A dla kogo ta informacja?

W Kaczmarku zagotowała się krew. Co to za ludzie?!

— Dla policji! Pyta komisarz Kaczmarek, a ty lepiej nie strugaj wariata, tylko odpowiadaj! Bo za chwilę skończysz jak ten wczorajszy!

51

N

Mężczyzna z miotłą przystanął i skłonił się uniżenie, zdejmując czapkę z daszkiem.

— To ja jestem Wojcieszak. Gerard Wojcieszak, czym mogę służyć?

— Zostaw pan tę miotłę i chodźmy do pana. Muszę panu zadać kilka pytań.

— Znowu? Już mnie wypytywał ten policjant z komisariatu. Adameczak, czy jakoś tak...

— Chodź pan, nie gadaj!

Wojcieszak posłusznie odstawił miotłę w cieniu bramy i ruszył przodem ku podwórzu. Weszli na zagracony, obwieszony schnącą bielizną plac, otoczony ceglanymi ścianami kamienic. Z otwartych na oścież okien czuć było zapowiedź obiadu: pachniało smażonym mięsem i gotowaną kapustą. Kaczmarek zerknął na zegarek i nagle poczuł, że jest strasznie głodny.

Najpierw jednak musiał przesłuchać dozorcę.

Chudzielec zaprowadził go tylnym wejściem do kamienicy. Po wąskich, śliskich schodkach zeszli do ciemnej sutereny. Wojcieszak pchnął drzwi i obaj znaleźli się w niskim, klaustrofobicznym pomieszczeniu, które było jednocześnie kuchnią i sypialnią.

— Szanowny pan policmajster usiądzie. — Dozorca życzliwie podsunął mu stare, lekko zdezelowane krzesło.

Kaczmarek klapnął na nim nie bez satysfakcji. Z kieszeni kamizelki wyciągnął notes i ołówek.

— O której go pan znalazł?

— Coś koło szóstej. Wtedy wychodzę sprawdzić, czy na ulicy jest porządek.

— Nikogo przy tym nie było?

52

— Nie, byłem sam. Zamiatalem chodnik, bo po każdej nocy tyle tu petów, że szkoda gadać. Sam pan wie, co tu obok mamy... — Wojcieszak splunął na odlew do żeliwnego zlewu.

Całe szczęście, że nie dokończył sprzątnięcia, pomyślał Kaczmarek. Wtedy nie miałbym nic.

— Wiem, wiem — przytaknął. — No więc zobaczył pan nieboszczyka...

— ...dziwnie tak jakoś leżał. Jakby go coś w środku poskręcało. Wie pan, za brzuch się trzymał. Jak go z daleka zobaczyłem, to myślałem, że pijany. Spadł ze schodów i śpi. Ale jak podszedłem bliżej, to zobaczyłem krew. Całą koszulę z przodu miał czerwoną. Krew już mu na rękach zaschła. Widać, że próbował ją tamować.

— Myśli pan, że był wcześniej u madame?

— A bo ja wiem? Może raczej w „Moulin Rouge”.

— A niby czemu?

Wojcieszak oparł się o zlew i podrapał po łysiejacej głowie.

— Bo ten jegomość lepiej ubrany był. Tacy raczej w innych lokalach szczęścia szukają. Prawda, przytaknął mu w duchu Kaczmarek. Święta prawda. Nieboszczyk nosił się przed śmiercią dość elegancko. I te pieniądze w dłoni...

— Widział pan ten banknot w dłoni denata?

— Tak. Dziwne, że nikt mu go nie świsnął. To w końcu dwadzieścia złotych.

— Próbował go pan ratować?

— E! Od razu było widać, że tu raczej po księdza pędzić trzeba. Albo raczej po grabarza.

53

Kaczmarek wstał i strzepnął ze spodni pajęczynę, która wcześniej zdołała ofiarowane mu krzesło.

— Coś jeszcze? Zauważył pan coś podejrzanego? Może coś wcześniej?

Wojcieszak chwilę milczał. Z wyrazu jego twarzy można było wywnioskować, że przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

— Czy ja wiem? Jak ulice zamiatam, to mam ludzi na oku, co nie? Dwa dni wcześniej kręcił się tu taki jeden, wyjątkowo szpetny.

— To znaczy?

- Nie wiem, jak to panu powiedzieć. Mofda jak u bandyty.
- No, powiedz pan coś więcej!
- Dziwny był. Wysoki i jakiś taki wychudły. Pamiętam, że miał zapadnięte policzki. Nosił prochowiec, bo wieczór był tego dnia chłodny...
- Więc to było wieczorem! — Kaczmarek nareszcie poczuł, że chwycił jakąś srokę za ogon. — A co on właściwie robił?
- Eee, nic takiego. Pochodził może kwadrans wzdłuż ulicy, do bram zaglądał. Nawet sobie pomyślałem, że może czegoś szuka. Chciałem go zagadnąć, ale jak tylko zobaczył, że do niego idę, dał nogę.
- Uciekł?
- Nie aż tak. Po prostu zawrócił i poszedł w stronę Świętego Marcina. To przecież nie będę go gonił!
- No tak... — Komisarz był nieco rozczarowany. — A palił papierosy?
- Nie. Chyba nie. To znaczy nie pamiętam. Wie pan, robotą byłem zajęty...

54

- To dlaczego ten mężczyzna zwrócił pana uwagę?
- Bo dziwny był. I wie pan co? W twarzy miał coś z diabła.

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, tuż przed czternastą
 Wilhelmina Krantz wyglądała olśniewająco. Wysoka, opalona, pewna siebie brunetka w kremowej sukience zwracała uwagę męskiej części przechodniów, którzy spieszyli Alejami Marcinkowskiego i Nową ku Staremu Rynkowi. Z torebką w rękę przechadzała się chodnikiem wzdłuż zdobnych w biało-czerwone barwy witryn wystawowych „Bazaru”. Choć z Jankiem umówiła się wewnątrz, w wykwintnej Sali Balowej, nie mogła usiedzieć w środku i wyrwała się ku swojemu ukochanemu.

Ruch na ulicach o tej porze dnia narastał płynnie. Poznaniacy albo spieszyli już do domów, albo jedli obiady w śródmiejskich restauracjach. — Sensacja w Berlinie! Polski minister z pilną wizytą w Kancelarii Rzeszy! — wykrzykiwał gazeciarz w przykrótkich spodniach, wymachując najnowszym wydaniem „Kuriera Poznańskiego”. Złaknieni wieści przechodnie otoczyli go sporym tłumkiem.

Krzepki dostrzegł Wilhelminę, gdy tylko zeskoczył ze stopnia tramwaju, który zatrzymał się z metalicznym zgrzytem przed hotelem „Rzymskim”. Ubrany po cywilnemu, w lekkie spodnie i koszulę z krótkim rękawem, pomachał jej z daleka ręką, ale dziewczyna spoglądała akurat w stronę Biblioteki Raczyńskich i nie zauważyła przyjaznego gestu.

55

Przeskoczył jezdnię i już był na chodniku. Wilhelmina wolnym krokiem spacerowała w stronę zwalistej bryły gmachu Muzeum Wielkopolskiego. Miękkim, tygrysim krokiem podbiegł do niej od tyłu i zakrył dłońmi jej oczy.

- Ach, du Spassvogel! — zachichotała, wyrwała się z jego objęć i obróciła ku niemu.
- Wika! — zawołał i wpił się w jej jędrne usta.
- Janek! — Wyrwała się z lekką pretensją w głosie. — Ludzie patrzą! Warum so?
- Bo cię kocham, skarbie ty mój! — wykrzyknął Krzepki i nie zważając na liczne audytorium, ponowił atak na uśmiechnięte usta Wilhelminy.

Tym razem już się nie broniła. Przywarła do niego i objęła go swoimi drobnymi ramionami. Mijający ich przechodnie pogwizdywali sobie z uciechy. Jadący rykszą starszy jegomość tak się zapatrzył na zakochanych, że omal nie zakończył swojej podróży na słupie trakcyjnym.

- No, już dobrze! — Dziewczyna odskoczyła od Krzepkiego i przyjrzała mu się uważnie. — Co ci się stało w policzek?
- Ta blizna pod okiem? — Jan machnął lekceważąco ręką. — Nic takiego, mała pamiątka z frontu. Do wesela się zagoi!

— Do wesela? Du bist wirklich ein Spassvogel\ — Wilhelmina zaświergotała radośnie, wzbudzając dodatkowe zainteresowanie postronnych.

— Po polsku, kochanie. Mów do mnie po naszymu — zażartował Jan, choć w jego głosie pojawiła się nuta powagi. — Chodź, pójdziemy na obiad, to sobie o wszystkim porozmawiamy.

56

Przeskoczył jezdnię i już był na chodniku. Wilhelmina wolnym krokiem spacerowała w stronę zwalistej bryły gmachu Muzeum Wielkopolskiego. Miękkim, tygrysim krokiem podbiegł do niej od tyłu i zakrył dłońmi jej oczy.

— Ach, du Spassvogel\ — zachichotała, wyrwała się z jego objęć i obróciła ku niemu.

— Wika! — zawołał i wpił się w jej jędrne usta.

— }anek! — Wyrwała się z lekką pretensją w głosie. — Ludzie patrz! Warum so?

— Bo cię kocham, skarbie ty mój! — wykrzyknął Krzepki i nie zważając na liczne audytorium, ponowił atak na uśmiechnięte usta Wilhelminy.

Tym razem już się nie broniła. Przywarła do niego i objęła go swoimi drobnymi ramionami. Mijający ich przechodnie pogwizdywali sobie z uciechy. Jadący rykszą starszy jegomość tak się zapatrzył na zakochanych, że omal nie zakończył swojej podróży na słupie trakcyjnym.

— No, już dobrze! — Dziewczyna odskoczyła od Krzepkiego i przyjrzała mu się uważnie. — Co ci się stało w policzek?

— Ta blizna pod okiem? — Jan machnął lekceważąco ręką. — Nic takiego, mała pamiątka z frontu. Do wesela się zagoi!

— Do wesela? Du bist wirklich ein Spassvogel\ — Wilhelmina zaświergotała radośnie, wzbudzając dodatkowe zainteresowanie postronnych.

— Po polsku, kochanie. Mów do mnie po naszymu — zażartował Jan, choć w jego głosie pojawiła się nuta powagi. — Chodź, pójdziemy na obiad, to sobie o wszystkim porozmawiamy.

56

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, czternasta

— Sensacja wielka! Polski minister na konsultacjach w Berlinie! — darł się ciągle wyrostek w krótkich spodenkach, wciskając przechodniom najnowsze wydanie „Kuriera Poznańskiego”.

Wysoki chudy mężczyzna w szarej marynarce i tegoż koloru kapeluszu zgasił butem niedopałek papierosa i wyszedł z cienia „Bazaru”. Podeszedł do drewnianej budki z gazetami przypiętej do ściany Muzeum Wielkopolskiego, spojrzał podkrążonymi z niewyspania, stalowoszarymi oczyma na ladę, wyciągnął z kieszeni spodni monetę, podał sprzedawczyni i rzucił szorstkim głosem:

— „Kurier” proszę.

Kobieta za ladą wzdrygnęła się na widok jego twarzy, ale spełniła żądanie.

Chwycił płachtę gazety i odszedł z nią kilka kroków w stronę kościoła Franciszkanów. Na zapleczu muzeum przystanął i zaczął nerwowo wertować zawartość dziennika.

To, czego szukał, znalazł na trzeciej stronie u dołu.

Na niewyraźnym zdjęciu zrobionym w ciemnej bramie widać było męskie buty wystające spod zaciągniętego na zwłoki koca. Fotograf musiał mieć niezbyt komfortowe warunki pracy, bo jego dzieło było rozmazane, jakby przepychał się z policjantami, by uchwycić cokolwiek. Tajemnicze morderstwo na Kantaka — głosił tytuł wielką czcionką nad zdjęciem. Nadtytuł brzmiał bardziej sensacyjnie: Czy nieznanymi młody mężczyzna padł ofiarą niezdrowych podniet?

57

Czytelnik w szarej marynarce przebiegł szybko wzrokiem krótką relację, a jego oblicze okraślił złośliwy uśmiezek.

Bardzo dobrze, pomyślał. O to chodziło!

Złożył gazetę na pół, schował pod pachę i ruszył szybkim krokiem w dół Nowej, ku Staremu Rynkowi.

Był w doskonałym humorze, bo wiedział, że jego szef będzie zadowolony. Bardzo zadowolony.

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, czternasta pięć

Komisarz zaciągnął się wspaniałym aromatem parującej ciepłem, pełnokrwistej kaszanki, która stariowała klejnot w koronie niewyszukanych dań policyjnej stołówki. Trudy śledztwa i konieczność stykania się z mniejszymi lub większymi kretynami wyostrzyły jego apetyt. Z lubością zanurzył ostrze noża w kopułce ostrej musztardy i właśnie miał ozdobić nią kuszące wnętrze czarnego flaka, kiedy za plecami usłyszał tupot nóg — i już wiedział, że rozkoszna chwila zakończyła się, nim na dobre się rozpoczęła.

Nie mylił się, niestety.

— Panie komisarzu. — Głos przodownika Nowaka był rozedrgany. — Szef wzywa pana do siebie! Prosi o szybkie przybycie!

— Nie teraz, Franciszku! — ryknął Kaczmarek. — Nie teraz, do licha!

Piegowaty przodownik na wszelki wypadek cofnął się nieco i zaryzykował.

— Kiedy pan inspektor nalega, żeby pan natychmiast... — rzucił i wybiegł z sali.

58

m :

— Jasna dupa! — zaklął komisarz i ruszył swoje ociężałe, nieusatisfakcjonowane cielsko znad stolika. — Co znowu odbiło staremu?

Ciągle parująca kaszanka została za jego plecami. Piał się smętnie w górę po schodach, oblizując wargi i wyobrażając sobie, jak by to było apetycznie, gdyby diabli nie nadali Nowaka. No, ale nie o Nowaka tu chodzi, tylko o szefa, mrucał pod nosem.

Policjanci, widząc naburmuszonego komisarza, szybko schodzili mu z drogi. Nie było to łatwe na stosunkowo wąskich schodach, bo Kaczmarek parł w górę z pasją szerokim, posuwistym krokiem.

— Jak leziesz, baranie! — wyrwało mu się, gdy nierozważny aspirant przypadkiem zahaczył czubkiem butów o jego prawą kostkę.

— Upraszam o wybaczenie — bąknął spłoszony młokos w mundurze i puścił się biegiem w dół schodów.

— Hołota — mrucał pod nosem Kaczmarek. — Każde kolejne pokolenie jest gorsze! Coraz gorsze!

Rozkoszny zapach kaszanki, który zdawał mu się towarzyszyć, opuścił go nagle w chłodnym przeciągu między pierwszym i drugim piętrzem.

Kiedy już się na nie wgramolił, odsapnął chwilę, a potem energicznym krokiem wszedł do sekretariatu szefa.

— Aaaa! Jesteś w końcu, Biniu! — Inspektor Zygfryd Kayser chwycił go za bary, nie dając szans sekretarce na zadanie grzecznościowego pytania o herbatę i kawę. — Długo każesz na siebie czekać...

Nie jest dobrze, pomyślał Kaczmarek. Miał wrażenie, że gdzieś już słyszał tak czule powitanie.

59

Kayser wprowadził go do swojego gabinetu położonego po południowej stronie gmachu.

Wysokie okna tonęły w słońcu, tłumionym przez zasłonięte, lekko pomarszczone story, na których znać było brązowe ślady od wypalanych przez inspektora niezliczonych papierosów. Za szerokim stołem siedziało dwóch smutnych mężczyzn, ubranych bardzo podobnie w szare, nieskazitelnie czyste i wyprasowane garnitury. Ich kapelusze leżały obok siebie na lśniącym

blacie. Obaj byli w podobnym wieku, około trzydziestki, i obaj w podobnej manierze, z lekko wyciągniętym małym palcem dłoni, palili cygara.

Tajniacy, przemknęło Kaczmarkowi przez myśl. Nasi policyjni agenci chyba nie są aż tak eleganccy.

— Poznajcie się, panowie. To kapitan Lekki i porucznik Szkot. — Inspektor Kayser machnął ręką w kierunku gości. — A to rzeczony komisarz Kaczmarek.

Komisarz podał dłoń oficerom, ciągle nie wiedząc, jaką służbę reprezentują. Ich dłonie były ciepłe i miękkie jak pulchne bułeczki. Inteligenciki, podsumował w myślach nie bez pogardy. Kiedy usiedli, Kayser zabębnił palcami w stół i spojrzał Kaczmarkowi prosto w oczy.

— Panowie pracują w „Dwójce”. Są tutaj całkowicie incognito. Czyli tak, jakby ich tu nie było. Rozumiemy się?

Serce Kaczmarka zabiło mocniej. Wojskowy wywiad zjawiał się u nich tak rzadko! Komisarz od razu wyczuł, iż goście musieli przybyć z jakąś nadzwyczajną sprawą.

— Jak najbardziej, szefie — odpowiedział. — A czemu zawdzięczamy wizytę orłów naszego Oddziału Drugiego?

60

Obaj oficerowie w cywilu poruszyli się niespokojnie i obaj w tej samej chwili ugasili cygara w okrągłej popielnicy.

— Sprawa jest wyjątkowej wagi — rozpoczął ten, którego Kayser przedstawił jako kapitana Lekkiego. — Apeluję do pana komisarza o całkowitą dyskrecję...

— Panowie, bądźmy poważni... — przerwał mu Kaczmarek.

Ciągłe napomykanie o tajności spotkania zaczęło go drażnić.

— Proszę się nie denerwować, tylko mnie uważnie wysłuchać. — Lekki łagodnym, acz stanowczym tonem osadził go na miejscu. — Sprawa jest ekstraordynaryjna. Poprzedniej nocy ktoś zaszlachtował nożem naszego najlepszego agenta.

— Gdzie?

— ■ W bramie na Kantaka. Mówi to coś panu, komisarzu?

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, czternasta trzydzieści

Cisza, która zapadła po słowach kapitana, była gęsta jak dym z fajki, którą sprawnie zapalił inspektor Kayser. Za uchylonym oknem słychać było turkot powozu na bruku i klakson spieszącej się gdzieś taksówki.

— Bardzo mi przykro — wydukał zaskoczony Kaczmarek.

Wszystko od razu zaczęło mu się układać w logiczną całość. Nieboszczyk był przecież nieźle ubrany. Mimo zachęcającej bliskości lokalu uciech nigdy w nim nie był widziany. I nie znaleziono przy nim żadnych dokumentów...

61

— Dziękuję. — Lekki spojrzał na Kaczmarka oczami, w których trudno się było dopatrzeć jakiegokolwiek emocji. — Chorąży Wolski był jednym z naszych lepszych wywiadowców. Zostawił żonę i dziecko.

— To rzeczywiście przykra sprawa — podsumował Kay-ser. — Przejrzeliście już panowie akta sprawy, które wam udostępniłem godzinę temu?

— Z grubsza — odezwał się po raz pierwszy porucznik Szkot. — Chcielibyśmy zadać komisarzowi kilka pytań.

— Po to go tutaj wezwałem — uśmiechnął się blade inspektor.

Widać było, że wizyta wysłanników „Dwójki” również jemu nie podoba się nadzwyczajnie. Szkot podrapał się kciukiem za krótkim, rzyżym wąsikiem.

— Czy to absolutnie pewne, że przy Wolskim nie znaleziono żadnych dokumentów? — zapytał.

— Tak wynika z raportu naszego aspiranta, który zjawił się na miejscu pierwszy — odpowiedział komisarz.

— Sprawdził pan to osobiście?

Kaczmarek poczuł, że poci się za kołnierzem. Nie przypuszczał, że będzie musiał się kiedykolwiek przed kimś tłumaczyć. Zwłaszcza przed oficerem polskiego wywiadu. A już tym bardziej ze swojego ewidentnego zaniedbania. Nie sprawdziłem, przypomniał sobie ze złością. Starzeję się, czy co?!

— Czy może pan to potwierdzić, komisarzu? — Ponagląjący ton porucznika Szkota zmusił go do reakcji.

— Tak, potwierdzam.

— Jest pan tego pewny w stu procentach?

62

— Tak samo jak nazwiska mojego ojca, do jasnej cholery!

Lekki z iście angielską flegmą zaczesał dłonią swoje nawilżone brylantyną włosy.

— Pan się tak nie denerwuje, komisarzu. To szkodzi na serce. I na ciśnienie — rzucił. — Mój zastępca chce mieć pewność w bardzo istotnym szczególe śledztwa, które — być może zupełnie przypadkowo — uszło pana uwadze.

Kaczmarek przełknął w milczeniu tę gorzką pigułkę. Zdawał sobie sprawę, że słabo blefuje. Nie chciał się pogrążyć przed tą parą wypielegnowanych chłystków.

— Przypuszczamy, że nasz zamordowany kolega nieprzypadkowo został odnaleziony bez papierów — odezwał się znowu Lekki. — Niestety, nie wszystko mogę panom powiedzieć. Przynajmniej nie w tej chwili. Tajemnica służbowa. Mam nadzieję, że to panowie uszanujecie.

— Wybaczcie, panowie wywiadowcy, ale czegoś tu nie rozumiem. — Inspektor Kayser skrzywił się nad fajką, jakby tytoń marki „Muszkatele” w środku cybucha okazał się pęczkiem suszonej trawy znad Warty. — To nie jest sprawiedliwy układ. My dzielimy się z wami naszą wiedzą jak na zawołanie, a wy macie przed nami jakieś tajemnice. To z pewnością nie jest dżentelmeński układ!

Na nieruchomej twarzy Lekkiego zarysował się jakby przebłysk skąpego uśmiechu.

— Mogę tylko powiedzieć, że chorąży Wolski prowadził bardzo istotne dla interesów naszego kraju dochodzenie. A sprawa, którą się zajmował, z pewnością nie miała kryminalnego charakteru. Proszę mi wierzyć, wiem, co mówię.

63

— Nie wątpię — warknął Kayser.

— W aktach znalazła się też opinia doktora... — porucznik Szkot zerknął w leżącą obok teczkę — ...Marciniaka, który sugeruje, że chorąży Wolski zginął od ciosów narzędzia znacznie większego niż zwykły nóż.

— W rzeczy samej — mruknął Kaczmarek. Cholernie źle czuł się w roli przesłuchiwanego.

— Doktor Marciniak jest przekonany, że cios w jamę brzuszną został zadany bagnetem — dodał niechętnie. I spojrzał nieprzyjemnym, odpychającym wzrokiem na Szkota. Nagle przypomniał sobie, że nie spisał jeszcze raportu z rozmowy z dozorcą Wojcieszakiem;* Doktor Marciniak nie wspomniał też zapewne w swoim sprawozdaniu

o tajemniczym niedopałku!

Komisarz Kaczmarek poczuł, że życie jest jednak piękne. W jednej chwili zdał sobie bowiem sprawę, że i tak wie więcej niż te młode, żądne krwi psy gończe „Dwójki”. I wcale nie zamierzał się tą wiedzą podzielić.

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, kwadrans po piętnastej

— Prima! — Wilhelmina odsunęła od siebie ogromny talerz, na którym jeszcze kwadrans wcześniej pieczona kaczka pływała w gęstym sosie, otoczonym ziemniakami i bukietem warzyw. — Bardzo lubię „Bazar”. Tak tutaj cicho i gemütlich.

1 ty wreszcie wróciłeś... Ile to już czasu, kochanie?

— Poprzedni urlop miałem w lutym, pamiętasz? Wybraliśmy się wtedy na Sołacz, ślizgaliśmy na zamarzniętym stawie...

64

— ...a potem piliśmy grog. Ja, pamiętam. Es war wunderschön...

— Pół roku, kochanie. Tyle trwała nasza rozłąka, ale teraz to się nareszcie zmieni. Wojna skończona, czas pomyśleć o nas.

Dziewczyna zarumieniała się i aby ukryć zmieszanie, sięgnęła po kieliszek z winem.

Wychyliła go do końca i spojrzała na Krzepkiego podejrzliwie.

— A co ty tak ciągle o jednym?

— To chyba dobrze? Przecież chcemy tego, prawda?

— Prawda.

Wilhelmina Krantz zamyśliła się, wpatrując w świetlik, który rozsyłał po całej sali restauracyjnej ciepłe światło sierpniowego popołudnia. Uwadze Krzepkiego nie uszło, że nie wykazała zbyt dużego entuzjazmu. Wyglądała, jakby coś zaprzętało jej myśli.

— Co jest, Wiczko kochana? Stało się coś? Źle się czujesz? ,

— Nie, dlaczego?

— Zbladłaś i straciłaś humor. Mnie nie oszukasz, kochanie.

Dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale zamiast tego z jej ust wydobyło się głośne westchnięcie.

— Ojciec? — zapytał Krzepki.

Przytaknęła delikatnym skinieniem głowy. Na jej opalonej twarzy wykwitły dwa pełne emocji rumieńce.

— Wiem, że mu się to nie podoba, ale przecież twoja mama nie ma nic przeciwko. Dała już nam swoje błogosławieństwo, pamiętasz?

Wilhelmina smutno pokiwała swoją uroczą bródką.

65

— Mama cię lubi. Mówi o tobie same dobre rzeczy. Ale Vati... Mein Vati jest nieugięty. Prosiłam mamę, żeby z nim ein bisschen porozmawiała, ale to nic nie dało. Vati mówi, że ja jestem eine Deutsche i mój Mann też ma być Deutsch...

Krzepki poprawił się nerwowo na krześle i zagryzł wargi. Ojciec Wiki, szewc Johann Krantz, rzeczywiście za nim nie przepadał, ale nigdy nie dał mu odczuć, że ma go za kogoś gorszego. Za to jej matka, Joanna z domu Skrzecz, bardzo mu sprzyjała. Krzepki miał nadzieję, że spokojna, życzliwa perswazja matki Wilhelminy przyniesie dobry skutek. Najwyraźniej jednak się mylił.

— Wiesz co, Wiki? Mam pomysł. Pójdziemy do twoich rodziców i poproszę ich w końcu o twoją rękę. Jestem pewien, że nie odmówią.

— Nie, Janek. To nie jest dobry pomysł. Tu nie można tak szybko... Vati musi się do ciebie przekonać.

W jej posmutniałych nagle oczach wyczytał, że nie dojdzie do tego szybko.

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, szesnasta

— Ty coś wiesz, Biniu — odezwał się ze swojego obitego skórą fotela inspektor Kayser, kiedy dwaj oficerowie wywiadu opuścili pokój. — Wyczytałem to z twojej twarzy. Niestety, nie potrafisz udawać. Na szczęście masz inne atuty.

— Wydawało się panu, szefie — Kaczmarek poderwał się z krzesła i zamierzał pójść w ślady młodych tygrysów z „Dwójki”.

66

— Stój — cierpki głos szefa osadził go na miejscu. — Przede mną nie musisz się zgrywać, Biniu. Czego im nie powiedziałaś?
Komisarz klapnął zrezygnowany na siedzenie. Który szczegół ujawnić szefowi, żeby dał mu spokój? Który jest mniej ważny, a który lepiej zachować sobie w zanadrzu?
— No więc? — Stary był coraz bardziej natarczywy.
— Dozorca z Kantaka widział dwa dni temu dziwnie się zachowującego mężczyznę — wydukał, zły na siebie i na cały świat. — Ponoć chodził wzdłuż ulicy i zaglądał do bram, jakby kogoś szukał...
— Albo wybierał pole dla swojego niecnego uczynku — wszedł mu w słowo Kayser.
— Właśnie.
— Jak wyglądał podejrzany?
— Podobno jak pospolity przestępca. „Morda jak u bandyty”, tak ta ujął dozorca. Wysoki, w prochowcu. Taki, z którym lepiej nie spotkać się twarzą w twarz w jakimś ciemnym zaułku.
— W prochowcu? Latem?
— Tak stwierdził dozorca.
— Dlaczego im tego nie powiedziałaś? — przygwoździł go inspektor.
Kaczmarek milczał, ciężko dysząc.
— Bezczelne gówniarze! — powiedział w końcu z pogardą. — My zasuwamy dzień w dzień, a oni przychodzą na gotowe i jeszcze się czepiają!
— Mieli rację. Powinieneś sprawdzić osobiście, czy nieboszczyk miał przy sobie jakieś papiery.

67

— Przecież zrobił to wcześniej ten posterunkowy, jak mu tam było?..
— Dobra, Biniu. Nie denerwuj się, tylko bądź bardziej uważny. Prędzej czy później i tak musisz wpisać zeznania dozorca w akta, więc te orły wywiadu i tak się dowiedzą. Po co ci ta gra, stary? Chcesz zadrzeć z wywiadem? Zniszczą cię w trzy minuty, nawet o tym nie będziesz wiedział. „Dwójka” to elita naszej armii. Wiesz o tym.
— Wiem. Ale my też sroce spod ogona nie wypadliśmy. Akta sprawy uzupełnię, ale jeszcze nie teraz. Najpierw muszę coś sprawdzić... — wypaplał i zaraz ugryzł się w język.
— Taaaak, Biniu. Starzejesz się. Kiedyś byłeś znacznie bystrzejszy. — Złośliwy uśmiech Kaysera błysnął znad fajki. — Czyli wiesz coś jeszcze.
— Być może — bąknął Kaczmarek. — Ale to nic pewnego.
— Ale pewnie do jutra będziesz wiedział, czy to ważne? Cholera, miałem zajść do Marciniaka, uprzytomnił sobie nagle Kaczmarek.

— Być może — odburknął.

— To widzimy się jutro o dziesiątej w tym samym miejscu. Komisarz nic nie odpowiedział. Ciężkim krokiem wymaszerował z gabinetu szefa. O tej porze miał już być u doktora Marciniaka. A to oznaczało, że ostygłą kaszanką z kopczykiem musztardy zajmie się ktoś inny.

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, po szesnastej

Szczęśliwi wspólnym popołudniem, snuli się godzinami uliczkami Starego Miasta, witając każdy nowy zaułek go-

68

rażymi pocałunkami. Zachodzące słońce przydawało staromiejskim domom ciepłej, złotej poświaty. Świat w tej tonacji wyglądał odrobinę magicznie. Mieli wrażenie, jakby oderwali się od bieżących trosk.

Zajrzeli najpierw do „Grandki” na kawę i bezy, a potem — spacerując leniwym krokiem — doszli do zakamarków Chwaliszewa. Na żelaznym moście przerzuconym przez Wartę kupił

jej bukiet aksamitnych, czerwonych róż. Potem wąską, urokliwą Wenecjańską poszli ku drugiej odnodze Warty. Gdy w oddali zamajaczyła bryła katedry, zawrócili ku Ratuszowi. Akurat gdy mijali sklepy na Wielkiej, ratuszowy zegar wybił szóstą.

— Muszę wracać do domu, mój miły — powiedziała smutno Wika. — Vati prosił, zebym zdążyła przed siódmą.

— Odprowadzę cię w takim razie. — Jan objął ją czule w tali i przyciągnął do siebie. — Nie będę wchodzić, żeby mnie Vati nie zobaczył.

— Jesteś niedobry. — Nie spodobał się jej ten żart. — To nie jest tak...

Nie powiedziała jednak nic więcej. W milczeniu przeszli Wrocławską i znaleźli się u wylotu na Święty Marcin. Znany sobie skrótem, przez Plac Świętokrzyski i wyboistą Wysoką, dotarli na tonące już w głębokim cieniu Piekary. Majestatyczne kamienice tworzyły tu miejski wąwóz, który przez większość dnia dawał wytchnienie zmęczonym upałem przechodniom. Mieszkanie i zakład szewski Krantzów mieściły się przy końcu ulicy, nieopodal skrzyżowania z Ogrodową. W skromnej witrynie stało kilka par wypucowanych butów.

69

Nad nimi wisiał nieduży, za to jaskrawy szyld „Johann Krantz. Der beste Schumacher in Posen”.

Krzepki zerknął przez firanki do środka, ale nie zauważył postaci ojca Wilhelminy, skupionej na pracy przy stole. Zamiast tego w drzwiach zadźwięczał dzwonek i z warsztatu wyszedł na ulicę elegancko ubrany starszy mężczyzna. W klapie marynarki błysnęła okrągła odznaka nsdap.

Klient ominął parę, kłaniając się grzecznie Wilhelminie. Krzepki odniósł wrażenie, że skądś zna tego mężczyznę.

— Kto to był? — zapytał, kiedy jegomość oddalił się od nich na bezpieczną odległość.

— Nie znasz go? — zdziwiła się Wika. — To Herr Schul-tze, Leiter naszej partii w Poznaniu. Ostatnio często zagląda do Vati. Dużo rozmawiają.

— O czym?

— Ach, polityka... Das mag ich nicht. Wejdiesz?

— Nie, dziękuję. Nie tym razem. Zobaczymy się jutro?

— O czwartej?

— Przyjdę po ciebie. Na pewno.

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, szesnasta trzydzieści

Coraz bardziej głodny i zły włókł się do policyjnego prosektorium na Śniadeckich. Podjechał bimbą* na Kaponierę, a dalej zdał się na własne nogi. Słońce już się zni-* bimba - żało, jednak ciągle ostro grzało w jego łysiejącą tramwaj na czubku głowę. Za kołnierzem przelewało mu się morze potu. Czuł, jak jego koszula lepi się do ciała, i był coraz bardziej wściekły na dwóch wychuchanych

70

oficerków, którzy przyszli na komendę po wiadomości, niszcząc mu piękną chwilę z pachnącym specjałem policyjnej stołówki i dezorganizując całe to cholerne popołudnie. Bliskość prosektorium wyrwała go z tych myśli. Wbiegł po szerokich, wyslizganych schodach na pierwsze piętro i zastukał do drzwi z tabliczką „Dr chirurgii Wojciech Marciniak. Medycyna sądowa”.

— Wejść!

Nacisnął klamkę i zobaczył pod oknem zamyśloną, przeoraną zmarszczkami twarz przyjaciela.

— Już myślałem, że dzisiaj nie przyjdiesz. — Marciniak właśnie zdejmował poplamiony chemikaliami fartuch i najwyraźniej szykował się do wyjścia.

— Nie gniewaj się, Wojtuś, ale miałem nieprzewidzianą... — przypomniał sobie nagle, że wizyta gogusiów z „Dwójki” miała tajny charakter — ...miałem nieprzewidziane trudności.

— Któż ich nie ma — stwierdził z wyrozumiałością policyjny lekarz. — Ale, jak widzę, dałeś sobie radę.

— Tak — Kaczmarek nie miał ochoty ciągnąć tego tematu. — Mogę ci zająć chwilkę? A może odprowadzę cię do samochodu, to sobie porozmawiamy?

— Spokojnie, Biniu. Nic się nie stało. Ja też miałem dzisiaj gorący dzień. Na dworcu kolejowym znaleźli nieboszczyka, musiałem się nim zająć. Nic przyjemnego, wierz mi. Śmierdział szczykami na kilometr. Moim zdaniem ten lump po prostu zapił się na śmierć. No, ale nie o tym mieliśmy rozmawiać.

— Właśnie. Co ustalił twój zaufany specjalista? Czy w ogóle coś można było ustalić z tego strzępu peta?

71

Marciniak powiesił fartuch na wieszaku i wskazał przyjacielowi krzesło przed biurkiem.

— Zdecydowanie nie doceniasz Kazia, mój drogi Biniu. Już ci mówiłem, że to wybitny talent do takich spraw. Za dwadzieścia, trzydzieści lat, kiedy policyjna technika rozwinie się na tyle, że zbieranie dowodów będzie o niebo łatwiejsze, mój Kaziu zostanie szefem specjalnej komórki, która będzie chwytać przestępców dzięki śladom, o którym dzisiaj nikt nawet nie pomyśli.

— Nie wątpię. — Kaczmarek klapnął ciężko na krzesło. — I co twój zuch wyczytał z tej resztki bibułki?

Chirurg uśmiechnął się i z kieszeni spodni wyciągnął złożoną w cztery kartkę papieru. Otworzył ją i spojrzał na komisarza.

— Mogę się pochwalić, że miałem nosa. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że to nie żadne „Egipskie” czy „Sporty”, tylko zagraniczny papieros?

— Pamiętam.

— Zgadłem. To niemiecki papieros. Zdaniem Kazia, może to być... — Marciniak zerknął w kartkę — ...resztką papierosa marki „Overstolz”. Znasz takie?

— Nic mi to nie mówi. Niemiecki, powiadasz?

— Tak mi napisał Kaziu.

— I co jeszcze ci napisał ten twój orzeł?

— Że na papierosie widać fragment charakterystycznego znaku tej marki: coś w rodzaju rodowego herbu, w który wpisany jest napis „Haus Neuerburg”. Na twoim papierosie, a raczej na tym, co z niego zostało, widać obrzeże takiego szarego znaku. Kaziu za pomocą lupy odczytał końcówkę

72

napisu, która brzmi „urg”. Jak sam widzisz, jego hipoteza wydaje się wielce prawdopodobna. Soki żołądkowe zaatakowały trzewia Kaczmarka ze zdwojoną siłą. Nie spodziewał się aż tak precyzyjnych wieści. Poczul, że właśnie chwycił ważny trop, którego nie może sknocić.

— „Overstolz”, powiadasz? A napisał ci jeszcze ten twój Kaziu, gdzie produkują te ćmiki?

Marciniak raz jeszcze zerknął na kartkę i znowu się uśmiechnął.

— Jakbyś zgadł, Biniu. To jedna z najstarszych marek papierosów w Niemczech, produkuje ją firma Haus Neuerburg z Köln. Mają fabryki w Köln i pod Hamburgiem, a być może także w Dreźnie. Kaziu ustalił, że w połowie lat trzydziestych przejęła ich Reemtsma, ale utrzymała produkcję tej marki.

— Rzeczywiście, niezły jest ten twój Kaziu. — Kaczmarek zdobył się na rzadką w jego ustach pochwałę.

Pomarszczona twarz Marciniaka pokraśniała z radości.

— W końcu to mój syn — wykrztusił z siebie.

Kaczmarka zatkało.

— Nigdy mi nie mówiłeś, że masz...

— Mam — uciął sprawę chirurg.

Z jego oblicza biła prawdziwa duma.

OGIEŃ WBRAMIŃ

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, osiemnasta trzydzieści

Krzepki nie mógł się pogodzić z tym, co usłyszał od Wiki. Niechęć ojca dziewczyny do jego skromnej osoby wydawała mu się dotychczas jedynie wybrykiem chimerycznego usposobienia Niemca, słynnego zresztą na całych Piekarach. „Szewc.Krantz ma zły humor nawet wtedy, kiedy jest wyż jak cholera!” — usłyszał kiedyś od piekarza z Ogrodowej, który znał ojca Wiki od urodzenia, bo wychowali się razem, biegając po szarych, murowanych podwórkach na Rybakach. Krzepki był dotąd pewien, że pod pozorną szorstkością pana Johanna kryje się w gruncie rzeczy gołębie serce, dla którego dobro córki jest najwyższym przykazaniem. Sądził tak, obserwując, z jaką czułością odnosił się do Wiki jej Vati. Nie miał podstaw, by mniemać, że za niechętnym spojrzeniem, którym ojciec Wilhelminy przywitał go równo rok temu, gdy Krzepki zajrzał w mundurze do jego warsztatu, kryje się coś więcej niż tylko zaskoczenie.

75

Tymczasem dzisiaj Wika uświadomiła mu boleśnie, jak bardzo się mylił.

Szawc Krantz ma nie tylko zły humor. Szawc Krantz najwyraźniej za mną nie przepada, pomyślał z goryczą. I od razu postanowił, że musi ten problem z kimś przegadać. Najlepiej przy dobrze schłodzonej wódeczce i śledziku.

W wisielczym nastroju zostawił za sobą ciemny wawóz Piekar i doszedł do Świętego Marcina. Wskazówki na zegarze pod kopułą mijanego kościoła skleiły się ze sobą na szóstce. Rozeszliśmy się w złą godzinę, pomyślał. Westchnął i ruszył Alejami Marcinkowskiego ku placowi Wolności.

Na rogu Alej i Podgórznej, niemal na wprost Banku Likwidacyjno-Kredytowego, usłyszał za sobą niecierpliwego dzwonek tramwaju. Zamyślony wszedł na tory. Uskoczył w ostatniej chwili, omal nie przewracając się o pomnik Higiei. Z posępnym obliczem minął po lewej majestatyczny budynek Drukarni i Księgarni Świętego Wojciecha i jego oczom ukazał się dawno niewidziany plac.

Reprezentacyjny deptak miasta, który jakiś czas temu bezskutecznie próbowano przemianować na plac Marszałka Piłsudskiego, tętnił życiem. Poznaniacy w różnym wieku przechadzali się spokojnie wzdłuż szerokiego trotuaru. Dżentelmeni w kapeluszach i lekkich, płóciennych marynarkach, zwykle zwieszonych z powodu upału na ramieniu, trzymali pod ramiona swoje żony lub narzeczone, zmierzając w stronę „Arkadii”. Na porośniętym bujną, tropikalną roślinnością dziedzińcu, w cieniu żółtych parasoli, gwarzący o życiowych sprawach poznaniacy pili ze szklanek schłodzoną lemoniadę — lub coś nieco mocniejszego z kieliszków.

76

Ojciec Krzepkiego często wspominał audycję nadawaną przez megafony z radiowego studia położonego nad „Esplanadą”, poprzedniczką „Arkadii”. Wtedy — dzięki cudom techniki — zebrani na placu Wolności poznaniacy mogli wysłuchać mistrza Kiepurę. „Ach, co to były za czasy. Pamiętasz, Basiu?” — rozmarzał się ojciec na wspomnienie tamtych chwil.

„Oczywiście. W Esplanadzie mieli wspaniałe lody włoskie. Najlepsze były orzechowe” — odpowiadała mu niezmiennie mama.

Ech... Kapitan rozejrzał się wokół, zbliżając się do budynku. Wszedł po schodkach na taras i nagle rozpromienił się.

— Biniu! — wykrzyknął i z rozpostartymi ramionami rzucił się w stronę krępego jegomościa, popijającego coś pod jednym z parasoli.

Kaczmarek zachłysnął się lodowatą anyżówką. Słabość do tego mrożonego trunku przyprowadziła go do „Arkadii”, choć już po drugiej kolejce jego portfel schudł do żalosego stanu. Widok kuzyna, który zapewne wrócił z frontu, przywrócił mu radość życia. Nagle uświadomił sobie, że anyżówka przed jego nosem wcale nie musi być ostatnią tego wieczoru.

— Witaj, Janie. — Uściskał znacznie młodszego kuzyna bez specjalnej wylewności, ale na tyle serdecznie, by ten nie pożałował, że go spotkał. — Czyli to prawda, że nasz pułk wraca wreszcie w domowe pielesze?

— Niezupełnie, kuzynie. — Krzepki podkreślił zawadiacko wąsa. — Na razie wrócił do koszar na Wołuniu. Ale, ale! Co tak będziemy gadać o suchym pysku? Można się przy-siąść?

77

— Oczywiście — sapnął nie bez zadowolenia Kaczmarek. — Czego się szanowny kuzyn napije?

— Daj spokój, Zbigniewie! Dziś ja stawiam. Widzę, że coś już zamówiłeś...

— Anyżówkę. Właśnie kończę.

— No to jeszcze jedną dla Binia. I jedną dla mnie! Kelner! Śmigaj tu do nas, psu bracie, na jednej nodze!

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, dziewiętnasta

Pod arkadowym wejściem do kina „Słońce” kłębił się spory tłumek miłośników dziesiątej muzy. Największe kino w mieście, powstałe dzięki niezwykłemu gestowi kupca Stefana Kałamajskiego, rywalizującego ze swoim szwagrem Janem Łuczakiem, jak zwykle o tej porze nęciło najnowszą komedią — tym razem niemiecką, z Połą Negri w roli głównej. Poznaniacy nie oparli się bynajmniej tej pokusie, szturmując z entuzjazmem kasy kina.

Krzepki wlał właśnie w gardło trzecią anyżówkę i wesołym wzrokiem przyglądał się kolejce do kina, której ogonek był dobrze widoczny z „Arkadii”, bo wyległ na ulicę, ciągnąc się w stronę Prezydium Policji.

— To chyba rzeczywiście jakiś fantastyczny film? — rzucił w kierunku Kaczmarka, który uporał się już z piątą schłodzoną anyżówką.

— Eeee tam! — Komisarz machnął ręką, krzywiąc gębę w odruchu pogardy. — Wierz mi, drogi Janie, że to kompletny szajs.

— Aż tak źle?

78

— Gorzej niż myślisz. Wierz mi, w Berlinie nie może powstać żaden dobry film. Zwłaszcza teraz, jeśli oczywiście rozumiesz, co mam na myśli.

— To znaczy?

— Niemcy już dawno nie nakręcili niczego godnego uwagi. — Kaczmarek beknął w zupełnie niezamierzony sposób i rozglądał się ukradkiem, czy ktoś tego przypadkiem nie usłyszał. — Od czasu, kiedy gusta dyktuje im Adolf, stracili zupełnie wyczucie tego, co nazywamy wyższą sztuką. Film? Oni co najwyżej potrafią nakręcić dobry film propagandowy. O tak! Ta Leni Riefenstahl jest rzeczywiście dobra. Triumf woli czy Olimpia... No, no, pokazała nam Hitlerka całkiem pięknie!

Najbliżsi sąsiedzi spojrzeli podejrzliwie na komisarza. Krzepki syknął, bo za ich plecami dostrzegł dwa mundury Wehrmachtu.

— Ciszej, Biniu, bo cię jeszcze zamkną za naigrawanie się z sojuszników — szepnął do kuzyna ostrzegawczo.

Jeszcze się uśmiechał, ale w jego oczach momentalnie pojawiła się czujność. Nie spodziewał się, że jego kuzyn, powszechnie znany w Poznaniu policjant, ma tak słabą głowę.

Kaczmarek pomachał rękoma, jakby odganiał od siebie niewidzialną chmurę umolnych os.

— A w dupie mam naszych zasranych sojuszników — oświadczył z rozbrajającą szczerością. — Szczerze żałuję, że do tego doszło...

— Ciiii! — Krzepki chwycił komisarza za dłoń i skłonił się sąsiadom, do których znowu dotarła gromka deklaracja policjanta. — Zlituj się, Biniu, bo napytasz nam biedy. Coś

79

f

mi się zdaje, że poprzestaniemy na tej kolejce, bo targać ciebie do wyra byłoby chyba nieco ponad moje siły.

— Daleko byś nie miał. — Uwaga komisarza była zadziwiająco trzeźwa.

Kaczmarek zaniepokoił się nie na żarty, że tak miło rozpoczęte rodzinne spotkanie może niespodziewanie przerodzić się w ewakuację.

— No dobrze, możemy pogadać o czymś zabawniejszym — zgodził się zmienić temat.

— Słyszał szanowny kuzynio o aferze z Grubberem?

— Jakim znowu Grubberem? Jaka afera? — Krzepki był kompletnie zdezorientowany.

Zdał sobie nagle sprawę, że w dziedzinie świeżych wiadomości z kraju ma spore zaległości.

— Grubber, czołowy kasiarz Rzeczpospolitej — mruknął komisarz.

— A! Ten Grubber! Czyżby znowu rozpruł jakiś sejf i ulotnił się z oszczędnościami szanownych obywateli?

Kaczmarek westchnął zrezygnowany.

— Chętnie bym ci opowiedział, kuzynie, bo to rzadka historia. Problem w tym, że mi coś tak w gardle zaschło...

— Kelner! Jeszcze raz dwie anyżówki, ale bystro! — Krzepki wydał komendę, po której mężczyzna w czerni skłonił się w pół i pognął do wnętrza restauracji.

— Jaka to niby gruba historia warta jest opowiedzenia przy dobrej anyżówce? — zagadnął komisarza.

Kaczmarek zaczekał, aż usłużny kelner postawi przed nim kolejny oszroniony kieliszeczek z mętym, rozgrzewającym żyły trunkiem. Wychylił wódkę szybkim ruchem, znamionującym dużą wprawę.

80

— Wszystko przez tę cholerną autostradę do Prus Wschodnich — zaczął tym razem cichym, konfidencyjnym tonem. — Od kiedy ją frycki zbudowały, mamy z nią stale problem.

— Chodzi o to, że jest eksterytorialna? I że nie można skontrolować, co nią wożą?

— To też, choć problem jest innego typu. Ale po kolei. W lipcu Wilhelm Grubber obrobił bank pko w Toruniu. Nasi ludzie omal nie złapali go na gorącym uczynku, ale wymknął się jakimś cudem z budynku, wskoczył we fiata i zaczął uciekać. A nasi za nim! Mówię ci, kuzynie, rozpoczął się regularny pościg! Kino amerykańskie wysiada. — Kaczmarek pomacał prawicą brzeg stołu, jakby sprawdzał, czy przypadkiem kelner nie przyniósł mu już siódmej anyżówki. — Oczywiście dokąd zaczął uciekać Grubber?

— Do Prus? — strzelił Krzepki.

— Głupiś — zganił go twardo komisarz. — Po cholere miałby uciekać do Rzeszy, skoro mamy z Niemcami umowę ekstradycyjną?

— Też prawda.

— Grubber nawiał na autostradę, mój drogi kuzynie. Na nowiutką autostradę, postawioną przez fryców nad naszym pięknym Pomorzem.

Krzepkiego na chwilę zatkało z wrażenia.

— Ale po co tam? — zaskoczył w końcu, przepłukując gardło trunkiem.

— Ech, kuzynie! — zachnął się Kaczmarek. — Widać, żeś dawno w kraju nie był. Wojenka wojenką, a tymczasem na zapleczu dzieją się nie mniej ciekawe sprawy. Pal licho, że ta autostrada, o którą Adolf tak gorliwie swego czasu

81

gardłował, jest eksterytorialna. Gorsza sprawa, że nasza najjaśniejsza Rzeczpospolita w takim zawrotnym tempie negocjowała budowę tej szybkiej drogi, że nie dopilnowała w umowie z Rzeszą, jak w takich przypadkach bandytów nam zwracać. No i okazało się, że autostrada to raj dla takich Grubberów. Ziemia obiecana! Azy! Wystarczyło, że Grubber zajechał jak panisko na pierwszą stację benzynową przy autostradzie — i już stał się nietykalny!

— Niemożliwe!

— A jednak!

— Zaraz, zaraz! Przecież tam działa straż autostradowa, a jak czytałem, to służba mieszana, polsko-niemiecka. Nie mogli chwycić kasiarza i wam dostarczyć?

Kaczmarek westchnął. >

— Może i czytałeś, ale nie doczytałeś! I owszem, straż autostradowa nawet nam chciała pomóc, ale Grubber doskonale wiedział, co robi. Kiedy go strażnicy aresztować chcieli na tej cholerniej stacji benzynowej, zadał im znad jajecznicy jedno proste pytanie: „Jakim prawem?” Musieli odejść jak niepyszni. Wierz mi, klęli w dwóch językach...

Krzepki pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Kto by pomyślał? — wysapał. — Ta umowa to musi być niezły bubel prawny...

— Musi, Janie. Musi. To co, może by tak jeszcze po jednym?

— Kelner! — ryknął Krzepki.

82

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, dwudziesta druga

Wysoki blondyn w białej koszuli i szarej kamizelce przebiegł ulicę Ratajczaka i ruszył w kierunku rysującej się w ciemnościach po wschodniej stronie placu bryły hotelu „Bazar”. Spieszył się, bo musiał koniecznie dostarczyć wiadomość swojemu przełożonemu, który rezydował pod fikcyjnym nazwiskiem w jednym z hotelowych apartamentów.

— Janusz! — usłyszał nagle z lewej flanki znajomy męski głos.

Janusz Pióro spojrział w bok i uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Janek! A co ty tutaj robisz?! — zapytał swojego dawno niewidzianego kolegę ze szkolnej ławy.

— Jak to co? — Alkohol w żyłach Krzepkiego dodawał mu ułańskiej fantazji. — Właśnie pożegnałem mojego wielce szanownego kuzyna Zbigniewa Kaczmarka i szukam towarzystwa na resztę wieczoru! I zdaje się, że mam cholerne szczęście!

Pióro zawahał się przez chwilę.

— Janek, poczekasz na mnie pięć minut? No, może dziesięć? — zapytał wprost.

— Oj, a gdzie ci się tak spieszy? — Krzepki klepnął kolegę w ramię. — Coś tajemniczy się zrobiłeś, Januszku! Niech ci będzie! Poczekam!

Wysoki blondyn uśmiechnął się i zaproponował:

— Za kwadrans pod „Słońcem”, dobrze?

— A co, pójdziemy do kina na Połę Negri?

— Na Negri nie, ale na głębszego jak najbardziej! Ja stawiam! — krzyknął Pióro, pędząc już dalej.

83

S

— Ot, to się nazywa szczęście! — Krzepki pacnął dłonią w kolano i podszedł do jaskrawo oświetlonych witryn kina, by poczytać filmowe afisze.

W półmroku za jego plecami przemknął w stronę „Bazaru” zgarbiony cień człowieka w lekkim płaszczu.

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, dwudziesta druga z groszami

Ustawione w najciemniejszym kącie gabinetu polowe łóżko Kaczmarka jęknęło pod ciężarem bezwładnego cielska komisarza.

Kaczmarek założył ręce pod głowę i wpatrzył się w rysy na suficie. Choć skronie pulsowały mu na alkoholowym dopingu, jego myśli były teraz czyste i klarowne. Dziwna sprawa, pomyślał, błędząc wzrokiem po chropowatej powierzchni. Pomyślmy, co my tu mamy? Na początek denat w bramie burdelu. Ale jakiś taki ładny ten nieboszczyk, zupełnie niepasujący do tego przybytku. Dobrze ubrany, palce delikatne jak u pianisty. W zaciśniętej pięści banknot, który jakimś cudem uszedł uwadze napastnika. A raczej rzeźnika, bo ktoś, kto chodzi z wojskowym bagnietem pod płaszczem, na pewno nie jest normalny. Zadzgany ma przy sobie pieniądze, nawet sporą kwotę, ale one nie interesują mordercy ani trochę. Wygląda na to, że interesują go tylko dokumenty zaatakowanego. O ile przyszedł denat w chwili ataku w ogóle miał swoje dokumenty przy sobie.

Hmmm... Dziwne to jakieś. Nietypowe. I ten zabity facet, który ponoć nigdy nie był widziany w przybytku madame Gładeckiej — i ten napastnik, który nie połasił się na

84

bejmy*. I oczywiście nikt niczego nie widział. Jak * bejmy -zwykle w takich przypadkach. A potem przycho- pieniądze dżają dwaj smutni faceci z „Dwójki”. I okazuje się, że zadzganym to ich oficer. Przypadek? Zapewne. Albo i nie. Cholera wie...

Zaraz, zaraz, co powiedział ten cały Wojcieszak?! Że przed morderstwem widział kogoś podejrzanego na Kantaka. Ten facet chodził i zaglądał w bramy, jakby czegoś szukał. Czego? Może miejsca, w którym w nocy najłatwiej zabić człowieka?

Komisarz ziewnął przeciągle i nagle przypomniał sobie dumną twarz doktora Marciniaka powtarzającego: „W końcu to mój syn”. Cholera, zmarnowałem całe popołudnie! — stuknął się w czoło. Nie sprawdziłem, czy gdzieś w Poznaniu sprzedają te zafajdane niemieckie papierosy. „Overstolz”, czy jakoś tak... Nagle doznał olśnienia. Na pewno kurzą je na tysiące żołnierze Wehrmachtu, którzy właśnie przewalają się w pociągach przez Polskę, wracając z wojny do Rzeszy! Na pewno zaplują kolejowe nasypy i śmieją na potęgę niedopałkami. Czy to jeden z nich zapuścił się do bramy na Kantaka? Może szukał uciech, a przy okazji sprzątnął oficera sojuszniczego wywiadu? Nonsens! Zupełny nonsens!

A może tropem jest ten bagnet, którym posługuje się napastnik? Skąd można wziąć takie ostrze? Z muzeum? Niekoniecznie. Pełno tego żelastwa po domach od czasów powstania w osiemnastym. Kto służył w armii Keisera Wilhelma albo poszedł do powstania, zatrzymał sobie to żelastwo na wiecznej rzeczy pamiątkę. Ślepy tor. Bzdura. Kicha.

Tak czy owak, trzeba zacząć od tych papierosów. I to jak najszybciej, zanim ci z „Dwójki” też coś zwąchają, pomyślał ostatkiem trzeźwych szarych komórek.

85

Na wspomnienie mydłków z wywiadu Kaczmarek przekręcił się na bok. Chwilę później jego gabinet wypełnił się miarowym, chrapliwym sapaniem.

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, kwadrans po dwudziestej drugiej

— Jestem! — Mocne pacnięcie w plecy oznajmiło Krzepkiemu, że jego kolega Pióro dotrzymał danego przed kwadransem słowa.

Wyglądał na zziąjanego, ale szczęśliwego. Jakby zrzucił z ramion, a może raczej z duszy potężny problem.

— No to, Januszkule, do ataku! — zakomenderował Krzepki. — Wracamy do „Arkadii”!

— Jak to wracamy?!

— A tak, prawda. Ja wracam, a ciebie serdecznie zapraszam. Nie widzieliśmy się już chyba ze dwa lata?

— Ostatnim razem, gdy byłeś na urlopie przed ofensywą na Charków — przypomniał Pióro.

Chwyciwszy się po staremu za bary, przeszli w przyjacielskim uścisku na drugą stronę ulicy. Pod parasolami kawiarni zrobiło się nieco luźniej. Starsi, co bardziej stateczni klienci, udali się już dawno do domów. Zniknęli też dwaj niemieccy żołnierze, których Krzepki widział tu po siódmej. Powietrze zrobiło się bardziej rześkie i zachęcające do rozmowy pod gołym niebem.

— Słyszałeś tę historię z Grubberem? — zagadnął Krzepki, nim nad stolikiem pochylił się usłużnie krępy kelner.

— Tak. Kupa śmiechu, a może raczej nie ma się z czego śmiać? — odparł nieco filozoficznie Pióro.

86

— Uśmiechał się tajemniczo, spoglądając uważnie na kolegę.

— A co ty właściwie teraz robisz, Januszkę?

Pióro przestał się uśmiechać. Rozejrzał się uważnie dookoła i nieco schylił głowę.

— Pamiętasz, co ci mówiłem wtedy, przed dwoma laty? — zagaił cicho.

Krzepki natychmiast sobie przypomniał.

— Udało ci się?! — Jeszcze nie wierzył, ale widząc szeroki uśmiech przyjaciela, serdecznie uściśnął jego prawicę. — Gratulacje, stary! To wspaniała wiadomość. Należysz do elity Wojska Polskiego!

Pióro spuścił skromnie oczy. Entuzjazm Krzepkiego peszył go.

— Ciszej, Janie! Porozmawiajmy może lepiej o tobie. To ty walczyłeś na froncie, to ty jesteś bohaterem...

— Wódeczkę? — wszedł mu w słowo Krzepki, który chciał splanować kelnera. — Dwie setki poproszę. I śledziki, i ma się rozumieć.

— Już się robi, proszę szanownego pana.

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, kwadrans później

Zza kamiennej balustrady otaczającej taras restauracji widział doskonale mężczyznę, którego śledził. Był zły, że blondyn spotkał tego drugiego, zwalistego faceta, który z sylwetki i ruchów wyglądał na jakiegoś wojskowego. To komplikowało mu plany. Nie miał pewności, że blondyn pójdzie potem tam, gdzie zwykł wracać po służbie. Jeśli zmieni plany, ten wieczór będzie stracony.

87

Wyjrzał ostrożnie zza drzewa. Blondyn i brunet z wąsem rozprawiali o czymś z pasją. Ten drugi był bardziej hałaśliwy, dużo wymachiwał rękoma. „Pod Winnicą... brachu. .. łupnia bolszewikom” — do jego uszu dobiegały strzępy rozmowy. Teraz już był pewny, że niższy z mężczyzn, nazywany przez kolegę Jankiem, wrócił niedawno z frontu. Zbyt głośno chwalił się swoimi wojennymi przewagami.

Ale to nie on go interesował. Wysoki, chudy blondyn, zachowujący się zdecydowanie bardziej powściągliwie niż jego towarzysz, jeszcze kwadrans wcześniej był w „Bazarze”. Zapewne nieprzypadkowo tam poszedł. Musiał mieć ważne wiadomości. Może coś wyniuchał?

Wiedział, że musi działać. Jego szef wydał jasne dyspozycje: „Ta sprawa nie może czekać”. Trzeba ją zdusić jednym uderzeniem, w samym zarodku.

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, kwadrans przed dwudziestą trzecią

— Jednego nie rozumiem. — Pióro zmarszczył swoje jasne, ledwo widoczne brwi. —

Wy tłumacz mi, dlaczego po tak niebywałych sukcesach pierwszego roku wojny Sowieci byli

w stanie przejść na tyłu odcinkach do przeciwnatarcia, odrzucając nas i Niemców daleko od Moskwy. Przecież wydawało się, że są już pokonani, a Moskwa padnie lada dzień. Krzepki uśmiechnął się pod wąsem z wyrozumiałością.

— Prochu nigdy nie powąchałeś, to możesz nie wiedzieć — powiedział tonem, w którym znać było wysoką pewność wygłaszanych opinii. — Nie doceniliśmy ich przemysłu zbrojeniowego, setek fabryk zbudowanych za Uralem,

88

w których miliony więźniów politycznych dzień w dzień i noc w noc produkowały ciężki sprzęt, a zwłaszcza czołgi. Dopiero kiedy Niemcy podciągnęli Luftwaffe bardziej na wschód i zaczęli naloty dywanowe na ich centra przemysłowe, a na południu wspólnie zdobyliśmy Stalingrad, odcinając bolszewików od dostaw ropy z południa, ich obrona skruszała i możliwe było wyparcie ich pobitych armii na Syberię. Nie bez znaczenie było też fatalne morale w ich szeregach. Wyobrażasz sobie, że do ataku pędzili ich oficerowie polityczni z naganami w dłoniach?! Kto nie szedł do natarcia, dostawał kulę w łeb. Takie to było wojsko!

Pióro nie wyglądał na zaskoczonego tą ostatnią uwagą.

— Wiem coś o tym — skwitował krótko opowieść Krzepkiego. — Tak czy owak, z twojej relacji wnoszę, że gdyby nie nasze dywizje na Ukrainie i na północy, to nasi sojusznicy mieliby w czterdziestym pierwszym poważne problemy.

— O tak, nasz żołnierz sprawił się rewelacyjnie. Choć powiem ci szczerze... — Krzepki ściszył głos i pochylił się, zasłaniając dłoń ręką — ...że wielu z nas nie w smak było, że ratujemy tyłek Niemiaszkom. Tym bardziej, że dochodziły nas słuchy o ich niegodnym zachowaniu w stosunku do cywilów...

— No właśnie — ożywił się nagle Pióro i przysiadł się bliżej do kompana. — Czy to prawda, że mordowali cywilów? Albo że tworzą w większych miastach getta dla Żydów?

Krzepki rozejrzał się pospiesznie wokół. Miał dziwne wrażenie, że ktoś ich obserwuje, ale nie potrafił poprzec swojego przeczucia żadnym dowodem.

— Posłuchaj, Januszu — schylił się jeszcze bliżej do przyjaciela. — W naszej strefie okupacyjnej niczego takiego

89

nie widziałem. Myślę, że mieszkańcom Kijowa czy Odessy żyje się teraz znośnie. Ale oficerowie, których spotkałem w pociągu z Mińska, opowiadali, że Wehrmacht ma na sumieniu kilkanaście dużych egzekucji Żydów pod Moskwą. Jeden z nich widział nawet długie na sto metrów, świeżo zasypane masowe groby. To wstyd i hańba. Mam nadzieję, że żaden żołnierz Wojska Polskiego nie splamił munduru uczestnictwem w tych zbrodniach... Na chwilę między przyjaciółmi zapadła cisza. Sytuacja wydała im się nagle koszmarnie nierealna. Rozmawiali o nieznanym, masowych ofiarach na Wschodzie, kiedy tu, w Poznaniu, w restauracji wokół nich toczyło się zwyczajne, wesołe, beztrudne życie.

— Nawet jeśli nas przy tym nie było, i tak jesteśmy współodpowiedzialni — westchnął Pióro. — W końcu jesteśmy sojusznikami Niemiec. Nie ma się co dziwić, że cały cywilizowany świat zachodni odwrócił się do nas plecami.

— Nie mów tak, proszę — oburzył się Krzepki. — To nie jest takie proste. Wiesz dobrze, że w trzydziestym dziewiątym Anglicy i Francuzi sprzedaliby nas za garść funtów, byle tylko odsunąć od siebie widmo wojny. Przecież jako oficer wywiadu musisz to wiedzieć! Nie mieliśmy wyjścia. Wiesz dobrze, że nasze państwo jest zbyt młode i słabe, by rzucać na szalę wszystko, co z takim trudem odzyskało. Gdybyśmy wtedy podjęli walkę, nie byłoby nas tutaj. Nie byłoby Polski, a nasze dzieci — o ile je będziemy mieli — być może uczyłyby się w szkole po niemiecku.

— Być może. Zapewne masz rację. A jednak pozostaje niesmak. Źle się z tym czuję. Bardzo źle.

90

- '

— A myślisz, że ja nie? Wszyscy w Poznaniu w gruncie rzeczy czujemy się z tym fatalnie. Mój ojciec, powstaniec z osiemnastego roku, za każdym razem mi to wypomina. Jakby to zależało tylko ode mnie!

— A getta? Słyszałeś coś o gettach?

— Nic pewnego. Ponoć odgradzili ludność żydowską od reszty w większych miastach w swojej strefie okupacyjnej. Ale nie byłem, nie widziałem. Może to zwykłe plotki?

— Tak jak te egzekucje Żydów?

— Daj spokój! Nie wszystko, co ludzie wygadują, musi być prawdą.

— Nie musi — powtórzył melancholijnie Pióro. — Tak się czasem zastanawiam, jaka przyszłość nam jest pisana.

— A jaka ma być? Wojna zakończona, kraj dochodzi do siebie...

— Akurat!" Poznań może tak, ale gospodarka jest w dołku. Nakłady na armię nas rujnują i rząd o tym wie.

— Wojna za nami, więc wszystko się odwróci.

— Oby! — Pióro spoglądał w dal, gdzieś hen za świecący po drugiej stronie placu żółtymi oknami „Bazar”. — Obyś miał rację. A o wizycie naszego szefa dyplomacji w Berlinie słyszałeś?

— Coś mi się o uszy obilo...

— No właśnie. Pojechał nagle do Kancelarii Rzeszy zaraz po defiladzie zwycięstwa. Ponoć na osobiste zaproszenie Hitlera. Chciałbym się mylić, ale wydaje mi się, że to nie wróży niczego dobrego.

Krzepki spojrział na Pióro jak na kogoś niespełna rozumu.

91

s

— Przecież to zwykła przyjacielska wizyta! — zaprotestował. — Nie pierwsza i nie ostatnia.

— Być może. A Czechosłowację pamiętasz?

— Też mi porównanie! Pamiętam, jak Hacha wystraszył się, że mu fryce Pragę zbombardują i poddał się w jedną noc. Ale my nie mamy z Niemcami żadnych spraw spornych. Sprawa Gdańska to już przeszłość, mają tę swoją autostradę i hecę z Grubberem...

— Obyś miał rację, Janie. Obyś miał rację.

Poznań, środa 2 sierpnia 1944, około północy

Pożegnali się tuż przed północą, kiedy miejski ruch dawno już zamarł, a ostatni klienci opuszczali właśnie kawiarnię.

— Bądź zdrów! — rzucił mu na pożegnanie Krzepki i wskoczył do zaparkowanej pod Prezydium Policji taksówki.

Pióro przez chwilę stał na rogu 27 Grudnia i Ratajczaka, machając ręką przyjacielowi. Kiedy samochód w chmurze spalin zniknął za załomem placu Nowomiejskiego, jego ciałem wzdrygnął dreszcz nocnego chłodu. Lekko chwiejnym krokiem ruszył w stronę Teatru Polskiego. Do domu na Jeżycach miał spory kawałek, ale uznał, że dłuższy spacer przed snem dobrze mu zrobi. Tym bardziej, że kolejny dzień rysował się wyjątkowo nerwowo.

Ulica zdawała się całkiem wymarła. Daleko przed sobą dostrzegł jedynie tonące w mroku nogi spieszącego się do domu jegomościa. Białe światło latarni kładło się łagodnie długimi smugami na chodniku, znacząc kreskami cieni

92

nierówności bruku. Minał ciemną Kantaka, po prawej zostawił za sobą zabudowane kamienicami wejście do teatru. Trochę jaśniej było na placu przed rzęsiście oświetlonym Bankiem Cukrownictwa. W jego jasnych oknach zauważył białoczerwone chorągiewki i portret Naczelnego Wodza.

Nie inaczej było na wszystkich piętrach położonego po drugiej stronie ulicy hotelu „Monopol” i w przylegającej do niej, słynnej nie tylko w Poznaniu, cukierni Dobskiego. Ech ta euforia, westchnął Pióro. Miał w tej sprawie inny pogląd, ale poza dzisiejszą rozmową z Jankiem Krzepkim nie manifestował swojego votum separatum. Wiedział, że to nie przystoi oficerowi.

Na chodniku minął go policyjny patrol. Funkcjonariusze przeszli go podejrzliwym wzrokiem, jakby szacując, czy jego obecność w środku nocy w okolicy banku to aby nie przypadek. Lustracja musiała wypaść pozytywnie, bo policjanci minęli go dość obojętnie. Chwilę później byli na tyle daleko, że nie słyszał już ich podbitych metalem butów. Przeskoczył przez ulicę Pierackiego, omal nie skręcając sobie kostki w koleinie tramwajowych torów. Wokół było pusto i cicho. Gdzieś z oddali, przez otwarte okno, usłyszał ostatnie takty Mazurka Dąbrowskiego. Polskie Radio właśnie zakończyło program. Łukiem chodnika doszedł do ulicy Fredry i znowu zagłębił się w strefę tężejących ciemności. Rzucił teraz przed sobą słabo widoczny, za to długi cień. Strzelista wieża kościoła św. Pawła celowała zuchwale w granatowe, gwieździste niebo. Piękno tego widoku zatrzymało go na chwilę. Stał z głową zadartą w górę i całym sobą chłonał cudowną, rześką noc. Mimo że działo się to w środku dużego miasta,

93

przez chwilę miał wrażenie, że znalazł się sam na odkrytym polu pod malowaną złotymi rozpryskami kopułą nieboskłonu. Przypomniały mu się harcercy obozy i nocne czuwanie na wilgotnej, przesyconej sosnową żywicą polanie.

Życie wydawało się wtedy takie czyste i proste...

Szelest gdzieś za jego plecami wyrwał go z zadumy. Obrócił się i zmrużył oczy, by przywyknąć do ciemności.

Stał przed bramą trzypiętrowej kamienicy. Jej górne kondygnacje tonęły w mroku. Podobnie jak wąski, wyłożony kafelkami korytarz, prowadzący do wnętrza budynku.

W czarnej głębi dostrzegł niewielki, żarzący się punkcik.

— Czy szanowny pan może mnie poczęstować papierosem? — usłyszał chrapliwy głos.

— Przykro mi. Nie palę — odpowiedział.

Mimowolnie zrobił jednak dwa kroki w głąb bramy.

— Szkoda, bo właśnie kończy mi się ostatni... — stwierdził mężczyzna w ciemnościach.

— Cóż...

Szorstki akcent nieznanego był ostatnim szczegółem, który zapamiętał. Kiedy namacał pod pachą kaburę rewolweru, było już za późno.

Zobaczył błysk szerokiego ostrza i poczuł gwałtowne pchnięcie.

I jeszcze jedno.

Mocne.

Bezlitosne.

ROBAKI NA STOLE

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, piąta rano

— Co jest?! Co jest, do jasnej cholery?!

Nerwowym szarpnięciem strzepnął z siebie parę natrętnych rąk, które od dobrego kwadransa ciągnęły jego pogrążone w głębokim śnie cielsko to w górę, to w dół. W spowijającym gabinet mroku dostrzegł przy łóżku niewielką, przykurczoną sylwetkę. Dałby sobie uciąć prawicę, że mimo ciemności widział na twarzy intruza rdzawą siatkę piegów.

— Nowak, do diabła! — ryknął Kaczmarek, rozeźlony do ostatnich granic. — Szajba ci odbiła, czyś pijany?!

Młynek pięści komisarza był tak niebezpieczny, że przodownik odskoczył od skrzypiącego łóżka i stanął w poświacie wschodzącego słońca, sączącej się przez okno. Na jego piegowatej twarzy rysowało się zadowolenie i zgroza jednocześnie.

— Panie komisarzu, sprawa niecierpiąca zwłoki — powiedział niepewnym głosem.

95

t

ś

— W nocy porządni ludzie śpią — wymamrotał Kaczmarek. — Zjeżdżaj, pókim dobry! Ani myślał zrywać się z wyra tylko dlatego, że ten kmiot Nowak wtargnął do jego pokoju o tej nieludzkiej porze.

Przodownik nie dał się jednak zbyć.

— Panie komisarzu, pół godziny temu na Fredry znaleziono nieboszczyka.

— Nie pierwszy i nie ostatni — ziewnął półprzytomny komisarz i przewrócił się na bok.

— Może poczekać.

— Panie komisarzu, tego też załatwiono nożem w bramie...

— Jasna dupa! — Kaczmarek poderwał się w górę tak gwałtownie, że polowe łóżko przełamało się w pół i z trzaskiem sprężyn złożyło w powietrzu, znacząc na tynku ostry ślad.

— Kto go znalazł? Gdzie? Kiedy?

Jednym ruchem naciągnął szelki na szerokie bary i wrzucił na siebie marynarkę.

— Informację dostał posterunek na Świętym Marcinie. Dyżur pełnił akurat niejaki Adamczak, o ile dobrze pamiętam...

— A tak, jest tam taki jeden, średnio rozgarnięty — mruknął ze złością.

Mam nadzieję, że niczego nie spieprzył, pomyślał. Ale pewności nie miał żadnej.

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, kwadrans po piątej

Nieboszczyk — młody, przystojny mężczyzna o jasnych włosach — leżał kilka kroków w głębi bramy, skulony niczym

96

niemowlak w pozie embrionalnej. Kaczmarek od razu zwrócił uwagę na długość jego ciała. Zabity musiał mieć ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

Denat ubrany był lekko: w popielate płócienne spodnie i szarą kamizelkę, spod której przezierała biała koszula. A raczej biało-czerwona, bo cały przód odzienia — aż po kolana — znaczony był szkarłatną plamą. Czerwono--rdzawy wykwit wypływał też z ust zamordowanego, przydając jego wykrzywionej śmiertelnym bólem twarzy makabrycznej ekspresji.

Przez moment Kaczmarkowi zdało się, że skądś zna tę twarz. Kilka sekund, jakie miał do namysłu, nie przyniosło mu jednak odpowiedzi. Zastygła maska twarzy nie ułatwiała sprawy.

— Cios albo kilka ciosów ostrym narzędziem, panie komisarzu. — Starszy posterunkowy Adamczak zreferował z przejęciem swoje wstępne ustalenia.

Głos mu drżał, bo już po raz drugi w ciągu trzech dni los zetknął go ze słynnym policjantem Wydziału Zabójstw. Przeczucie podpowiadało Adamczakowi, że to nie przypadek.

— Znalaziono narzędzie zbrodni? — Kaczmarek zapytał ogólnie, nie zdradzając się ze swoimi przypuszczeniami.

— Niestety nie.

— A co znaleziono, Adamczak? Bo chyba coś znaleźliście?

Powieki jeszcze szczypały go z niewyspania, ale w duchu pocieszał się, że na szczęście poprzedniego wieczoru sen zmorzył go wcześniej. Mimo to komisarz miał podły humor.

Starszy posterunkowy Adamczak przełknął ślinę i omiół szybkim wzrokiem czwórkę swoich ludzi, krzątających się w zakamarkach bramy i podwórza na tyłach kamienicy

— Szanowny nieboszczyk miał broń, panie komisarzu, ale nie zdążył jej użyć — oświadczył. — To browning. Jeśli pan komisarz pozwoli... Z tego, co wiem, jest to rewolwer na wyposażeniu Wojska Polskiego.

— Gdzie ta broń? — warknął Kaczmarek.

— W kaburze pod koszulą denata.

Podszedł do skulonego w kłębek ciała i pochylił się nad nieboszczykiem. Zamordowany leżał na prawym boku. Spomiędzy rozchełstanej pod szyją koszuli wystawał skórzany pasek prowadzący do materiałowego futerału, schowanego pod lewą pachą. Adamczak miał rację — z kieszeni wystawała lśniąca czystością rękojeść rewolweru.

Załatwił gościa i nie zabrał mu broni? A dokumenty?

— Zrewidowaliście denata? — rzucił do Adamczaka.

— Tak jest, panie komisarzu.

— Nie ma dokumentów?

— Nie ma. Skąd pan wie?

Komisarz uśmiechnął się po raz pierwszy tego smętnego poranka. Spojrzał z wyższością na posterunkowego.

— Wiem i niech wam to wystarczy, Adamczak.

Starszy posterunkowy przytaknął w milczeniu i zrobił dwa kroki w bok, w stronę podwórza.

— A tutaj, panie komisarzu, pomiędzy płytami chodnika znaleźliśmy to.

W dłoni policjanta, na szklanym podstawku spoczywał guzik z czterema dziurkami.

98

— Dobra robota, Adamczak — mruknął komisarz. Pochwała jak zwykle ciężko przeszła mu przez gardło. — Sądzicie, że ten guzik został wyrwany w trakcie walki?

— Nie jest to wykluczone, panie komisarzu. — W miarę równoprawny dialog ze słynnym komisarzem Kaczmarkiem bardzo pochlebiał starszemu posterunkowemu. — O ile tutaj doszło do walki. Bo, jeśli jeszcze mogę coś zauważyć...

— Możecie.

— ...wszystko wskazuje na to, panie komisarzu, że nasz nieboszczyk został zaskoczony przez ukrytego w ciemnościach napastnika i nawet nie zdążył zareagować.

Kaczmarek westchnął i poklepał Adamczaka po plecach.

— Tak to wygląda — przyznał, wywołując na policzkach niższego rangą kolegi wypieki.

— Przynajmniej na razie. Czy doktor Marciniak już widział denata?

— Zaraz tu będzie. Przed chwilą został wezwany. Mieszka na Łazarzu, więc...

— Rozumiem, to chwilę potrwa. A więc słuchajcie, Adamczak. Mam nadzieję, że te twoje orły metr po metrze przeszukają cały teren, a doktor Marciniak obejrzy zwłoki, zanim zbiegnie się tu pół Poznania. Ja w tym czasie rozpytam się w okolicy. Rozumiemy się?

— Jak najbardziej, panie komisarzu.

— Jak tylko coś znajdziecie, natychmiast mi meldować.

— Tak jest.

Kaczmarek okręcił się na pięcie, zostawił za sobą strzelistą wieżę kościoła Św. Pawła i ruszył w stronę zamkniętej jeszcze cukierni Dobskiego.

— I szukać mi petów! Raz, raz! — rzucił znienacka na odchodnym. — Wyzbierać wszystkie w promieniu pięć-

dziesięciu metrów od tej cholernej bramy i przynieść mi do gabinetu! Rozumiemy się?!

— Oczywiście! — zapewnił go zupełnie skołowany Adamczak.

Nie przyznał się, że nie rozumiał niczego.

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, szósta rano

Ignacy Krzepki rozsiadł się wygodnie w starym wiklinowym fotelu. Wyłożone miękką derką siedzenie nastroiło go pozytywnie do życia. Zanim sięgnął po fajkę, by nabić ją polskim tytoniem, pokręcił ebonitowymi gałkami radioodbiornika.

Aparat zatrzeszczał i zagwizdał, gdy cienki wskaźnik ślizgał się po podświetlonej na seledynowo skali. Z głośnika popłynął starannie modulowany głos starszego wiekiem dziennikarza:

„Tu mówi Warszawa. Tu program pierwszy Polskiego Radia. Nadajemy wiadomości. Wczoraj z wizytą specjalną gościł w Berlinie minister spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej...”

— To wiemy — Ignacy Krzepki pacnął się w kolano, odganiając wyjątkowo namolną muchę, która upodobała sobie jego spodnie.

„... omówił z kanclerzem Rzeszy wszystkie żywotne problemy stosunków wzajemnych.

Minister zapewnił kanclerza

IOO

o niezłomnej przyjaźni łączącej nasze wielkie narody. W odpowiedzi kanclerz Rzeszy podkreślił, że zrodzone na polu walki braterstwo broni to doświadczenie, które jeszcze nie raz zaowocuje w przyszłości...”

— Mój Boże! — wysapał staruszek i z pasją rzucił fajkę na podstawkę. — Słyszałaś, Basiu, co oni mówią z tej Warszawy?!

— Nie krzycz tak, stary! Janek śpi, późno z miasta wrócił! — zganiała go z kuchni żona.

— A co niby takiego mówią?

— Że Adolf nadal na nas liczy!

— A tfu! Niedoczekanie jego!

„... Minister ponowił zaproszenie dla kanclerza, wystosowane przez rząd Rzeczypospolitej Polskiej, do złożenia oficjalnej wizyty przyjaźni w Warszawie. W odpowiedzi kanclerz Rzeszy Niemieckiej oświadczył, że jeśli tylko wszelkie sprawy sporne we wzajemnych relacjach zostaną szybko uregulowane, w możliwie krótkim terminie złoży wizytę w Polsce...”

Fajka wypadła z rąk starego Krzepkiego i potoczyła się pod fotel.

— Co oni bredzą? Jakie sprawy sporne? — Ignacy Krzepki podrapał się zaskoczony po głowie. — Przecież wszystkie uregulowaliśmy za jednym zamachem pięć lat temu...

„... Po rozmowach obie strony zapewniły, że status baz wojskowych Wehrmachtu we wschodnich województwach

IOI

Rzeczypospolitej zostanie możliwie szybko określony na podstawie osobnej umowy międzypaństwowej. Kanclerz Rzeszy nie określił terminu, w jakim obowiązywałaby rzeczona umowa. Dalsze negocjacje w tej sprawie prowadzić będą ministrowie spraw zagranicznych obu krajów”.

Więc jednak to wszystko prawda, zasepił się Ignacy Krzepki. To wszystko, co opowiadał mu wczoraj Jan, zazębiało się niczym tryby wielkiej dziejowej maszyny. Niemcy chcą pozostać w swoich bazach na Ukrainie i Białorusi na bliżej nieokreślony czas, co z oczywistych względów nie podoba się naszemu rządowi w Warszawie. Jako powstaniec z 1918 roku Ignacy Krzepki instynktownie czuł, że sytuacja robi się śliska.

— Co się tak martwisz, Ignacy? — Barbara Krzepka weszła do pokoju z dwoma kubkami kakao w dłoni. — To tylko polityka. Prędzej czy później na pewno dojdą do porozumienia. Przecież jesteśmy sojusznikami, nieprawdaż?

— Mam nadzieję, Basiu. A co z Jankiem? Śpi jeszcze?

— No przecież ci mówiłam, że śpi. Chrapie, że aż strach. Wrócił dobrze po północy i — niestety — zdaje mi się, że nie stronił od kieliszka. Powietrze w jego sypialni rześkie, oj rześkie...

— Niech się chłopak wyszaleje, odreaguje. Urlop ma, to niech sobie użyje.

— Lepiej, żeby z wódką nie przesadzał...

— Ej, Basiu! Przecież wiesz, że to dobry chłopak.

— Dobry, prawda. Ale alkohol to nic dobrego. Mam nadzieję, że mu to Wilhelmina wyjaśni.

— Na pewno, kochanie. Już ty się nie martw.

102

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, szósta dziesiątka

Ulica Fredry z wolna wstawała z nocnego uspienia. Najwcześniej zazgrzytały tramwaje. Pierwszy nadjechał od strony Mostu Teatralnego, wyrzucając na przystanku na tyłach Zamku garstkę spieszących do pracy mężczyzn w roboczych drellichach. Wszyscy z przejęciem zaglądali w otoczoną kordonem policjantów bramę, nie zdołali jednak zobaczyć nakrytych kocem zwłok. Zaraz potem z hukiem otworzyły się na przestrzał drzwi hotelu „Monopol” i wybiegł z niego w kierunku przystanku na Pierackiego młody, odświętnie ubrany mężczyzna. Kaczmarek zdał sobie sprawę, że za chwilę denat w bramie stanie się publicznym tematem numer jeden. Niewykluczone, że któryś z tych robotników właśnie wykreca numer telefonu do redakcji „Kurier” albo „ikc”. Dziennikarze na miejscu zbrodni nad stygnącym trupem — jeszcze tylko tego mu brakowało!

Przyspieszył kroku, rozeźlony lustracją terenu, która spaliła na panewce w sposób katastrofalny. Nie było z kim rozmawiać, bo nie było żadnych świadków. Człowiek, który jeszcze po ciemku natknął się na zwłoki, okazał się mało rozgarniętym półgłówkiem. Opuścił swoje mieszkanie tylko z powodu defektu pęcherza. Spiesząc do drewnianej wygodki w podwórzu, zahaczył nogą o martwe ciało i przewrócił się, łamiąc sobie mały palec u prawej dłoni. Zamiast zauważyć coś więcej i zdać z tego relację, bezczelna gnida zaczął mu coś skomleć o jakimś odszkodowaniu!

— Dureń! — syknął Kaczmarek na wspomnienie przykłej rozmowy z idiotą o dziurawym pęcherzu.

103

Naburmuszony rozepchnął mur z policjantów i wkroczył do wąskiej bramy. Omal nie wpadł na drobnej postury człowieka, który właśnie wstawał z klęczek nad nieboszczykiem.

— Wojtuś! Niebo cię zsyła! — rozanielił się momentalnie. — Gadaj, co ustaliłeś?

Doktor Marciniak wstał, strzepując z istic angielską flegmą kurz z nogawek.

— A co tu jest do ustalania? — odpowiedział pytaniem. — Historia się powtarza, drogi Watsonie.

— Doktor Watson to chyba ty — obruszył się komisarz. — Co się powtarza?

— Paskudna rana, głęboka jak szyb naftowy — szepnął Marciniak, zakrywając dłonią usta. — Wiesz, co to oznacza.

Odeszli razem w głąb podwórza, zostawiając za swoimi plecami funkcjonariuszy Adamczaka.

— Sztylet?

— Raczej bagnet. Tak samo jak w poprzednim wypadku. Jestem prawie pewien, że to był ten sam morderca. Skroił go w identyczny sposób, pierdolony rzeźnik...

Wulgaryzm w ustach szacownego doktora świadczył o niebywałym wstrząsie, który przeżył przed chwilą.

— Taki młody chłopak! — Kręcił z niedowierzaniem głową. — I to, zdaje się, na służbie...

Kaczmarek objął go szerokim ramieniem i przycisnął do swojego imponującego brzucha.

— Dorwiemy sukinsyna. Zapewniam cię, Wojtuś — powiedział.

Doktor spojrział mu głęboko w oczy.

— Ta sprawa śmierdzi czymś poważnym — stwierdził. — To nie są zwykłe morderstwa, które rodzą się z nocnej burdy

104

albo pijaństwa. Obawiam się, że ty i ja jesteśmy na to za mali.

— Ach tam, od razu „za mali”! — zachnął się Kaczmarek. — Nie takie sprawy braliśmy już w swoje ręce! Pamiętasz tego zbrodźcę Wyleckiego? Albo psychopatę z Winiar?

— A jakże, pamiętam. Ale widzisz, Biniu, tamte sprawy to były w sumie proste, na swój sposób czyste historie. Dopadałeś łotrów, bo jesteś policjantem, a oni po prostu nie zasługiwali na nic więcej niż cela na Młyńskiej. Ale w tej sprawie coś mi nie daje spokoju.

Może to dziwne narzędzie zbrodni? Coś tu śmierdzi na kilometr, a my ciągle nie wiemy, co. Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, wpół do siódmej

Kaczmarek, rozglądał się po ciągle jeszcze zasłoniętych oknach w studni kamienicznych ścian.

— Może to ten sam zabójca spod dworca kolejowego? Sam mówiłeś, że w trzydziestym dziewiątym...

— W trzydziestym ósmym — wszedł mu w słowo Marciniak. — Ktoś w środku nocy zabił młodego chłopaka niemal w wejściu na dworzec. Dokładnie rzecz biorąc, zadźgał go w zamkniętej bramie obok głównego wejścia.

— No właśnie, w bramie! — ożywił się komisarz. — I mówiłeś, że został pchnięty bagnetem.

— Tak, starym pruskim bagnetem. Ludzie twojego kumpla Zasady znaleźli go na tyłach dworca, na nieużywanym torowisku...

105

i *

— Czekaj, czekaj! Coś sobie przypominam! To nie był wcale taki zwyczajny bagnet. Zdaje się, że pochodził z dziewiętnastego wieku...

— Tak, był koszmarnie długi...

Po tych słowach między przyjaciółmi zapadła chwila milczenia. Kaczmarek zrobił krok w przód i czubkiem swojego pedantycznie wypucowanego buta kopnął w głęb podwórza szmacianą piłkę, którą zapewne rozgrywały zacięte mecze stadka miejscowych urwisów.

— O ile dobrze pamiętam, nie złapano nigdy tego skurwysyna — wycedził.

Zawsze trudno mu było się pogodzić z porażkami swojej firmy.

— Tak, bo ta sprawa utknęła w martwym punkcie. Cóż, nasz kolega Zasada nie należał do orłów Temidy — uśmiechnął się kwaśno Marciniak. — Nic dziwnego, że skończył, jak skończył.

Kaczmarek podskoczył jak oparzony.

— Ktoś poczęstował go kosą pod jego domem! — wykrzyknął, wzbudzając na moment zainteresowanie policjantów w bramie, którzy przynosili właśnie zeszywniałe zwłoki do policyjnego karawanu.

— Masz dobrą pamięć, Biniu — odparł spokojnym tonem lekarz. — Ale nie podniecaj się za bardzo. Nie ma podstaw, by łączyć te sprawy. Sam wiesz, że Zasada prowadził bardzo podejrzaną życie na pograniczu półświatka. Gdybym był złośliwy, to powiedziałbym, że sam się prosił o to, co go spotkało. A że nie jestem złośliwy, to powiem, że miał pecha.

— Zapewne wiesz, co mówisz. — Kaczmarek poczuł nagle wielką ochotę na jajecznicę na bekonie i czarną, mocną

kawę. — Niemniej wezmę sobie do poczytania akta tej dawnej sprawy. Pamiętasz, jak nazywał się tamten nieboszczyk?

Pamięć doktora Marciniaka była słynna w całej poznańskiej policji.

— Magiera, czy jakoś tak. Znajdziesz łatwo po dacie.

— Jak ty to wszystko spamiętasz, Wojtuś? — Komisarz nie mógł wyjść z podziwu. — Ja zapominam nazwiska swoich denatów już po miesiącu!

Marciniak uśmiechnął się z wyrozumiałością, z jaką ojcowie traktują nie zawsze najmądrzejsze pytania swoich synów.

— Podobno załatwia to kilka kostek czekolady przy porannej kawie. Ale koniecznie gorzkiej czekolady, bez żadnych dodatków. Taka ma najwięcej magnezu i żelaza. A bez tego na pamięć nie ma szans.

— To dziwne, bo lubię słodcyce, a i tak wszystko wylatuje mi z głowy... A właśnie. Coś mi jednak nie wyleciało. Czy ten twój genialny Kaziu...

— Tak?

— ...czy ten twój nieoceniony Kaziu mógłby szybko ustalić, gdzie w Poznaniu można zdobyć te cholerne, szwab-skie papierosy z herbem na bibułce?

Prośba komisarza sprawiła, że na pomarszczonej twarzy lekarza wykwitł figlarny uśmiech.

— Mógłby — odpowiedział, patrząc prosto w oczy Kaczmarka. — Ale nie musi.

— Nie rozumiem...

— Nie musi, bo już to ustalili.

— Nie żartuj! — Kaczmarek omal nie udławił się śliną, która napłynęła mu do ust na myśl o przysmażonym

bekonie w wianuszkach ściętych białek i żółtek. — Przekaż mu, proszę, że jestem jego dłużnikiem! Ten chłopak to złoto!

— Wiem. Przekażę — Marciniak rozkoszował się tą chwilą. — Ale do rzeczy Myślę, że nie będziesz zachwycony. Kaziu sprawdził wszystkie poznańskie sklepy tytoniowe i okazuje się, że nie uświadczysz w nich żadnych niemieckich papierosów. Ot, dziwna sprawa: w Poznaniu są to wyjątkowo niepopularne marki. Zwłaszcza od trzydziestego trzeciego roku... Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, siódma z minutami

Ocknął się z tępych bólem głowy. Czoło pulsowało mu w rytm bicia serca, zwiastując migrenę. Mroczki przed oczyma zapowiadały ciężki dzień. Wstyd jednak było się przyznać, że sam doprowadził się do tego stanu. Z kuchni dolatywało go wesołe nucenie matki i kuszące zapachy śniadania.

— O! Widzę, że nie pospałeś sobie, synu! — W drzwiach do pokoju ukazała się siwa głowa ojca.

Ignacy Krzepki przekroczył próg i usiadł na łóżku Jana. Pochylił się nad synem i obwąchał go bez żenady.

— Wódeczka, ale jakaś insza — orzekł. — Anyżówka?

— Tylko kilka kieliszków...

— Akurat! — zachnął się ojciec. — I te kilka kieliszków tak cię podcięły, żeś taki błądy i wstać nie możesz?

— Ojciec! Dajcie spokój! — Próbował podnieść się i usiąść na skraju łóżka, ale zakręciło mu się w głowie, a czaszkę spięła żelazna obręcz.

Opadł w przepastną poduchę i odpuścił sobie kolejną próbę.

Ojciec pochylił się nad nim tak nisko, że Jan poczuł ukłucia jego nieogolonej brody na piersi. Ignacy Krzepki mówił szybko cichym, lekko świszczącym głosem:

— Janie, ja wszystko rozumiem. Po wojnie przychodzi czas na zabawę. Ale proszę cię bardzo, nie frasuj zbyttno matki. Wiesz, o co mi chodzi, huncwocie?

Jan uśmiechnął się niewyraźnie.

— Zrobi się, tnatku — obiecał, choć wiedział, że symulowanie dobrego humoru będzie go dzisiaj wiele kosztować.

Ojciec podniósł się i puścił do niego porozumiewawczo oko.

— A jak było z Wiką? W porządku?

— Tato! Jasne, że w porządku — odpowiedział, siłąc się na kolejny grymas.

Przypomniał sobie o ojcu Wiki i sztuczny uśmiech natychmiast zgasł mu na ustach.

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, kwadrans po ósmej

Przodownik Franciszek Nowak spisał się nadzwyczajnie.

— Jednak będą z ciebie ludzie — zapewnił go komisarz Kaczmarek z rzadko spotykaną serdecznością, kiedy jego piegowaty podwładny postawił na biurku jajecznicę pachnącą świeżym tłuszczem i smażoną cebulką.

— Z pięciu jaj — uśmiechnął się Nowak.

— Ale bez bekonu — mruknął do siebie Kaczmarek. — I o kawie zapomniałeś! — ryknął na przodownika

109

Zanim Nowak wybiegł z gabinetu, usłużnym ruchem wsunął pod stojącą na biurku lampę złożoną w pół płachtę „Kuriera Poznańskiego”. Kaczmarek rozsiadł się wygodnie na krześle, rozłożył przed sobą gazetę i sięgnął po widelec oraz szeroką pajdę razowego chleba.

Mlaskając z ukontentowania, pałaszował gorącą strawę i wodził wzrokiem po wybitych grubszą czcionką nagłówkach i tytułach.

Szef polskiej dyplomacji zadowolony z wizyty w Berlinie — przeczytał na pierwszej stronie.

— Polska i Niemcy zgodne w ocenie swoich celów.

— Hmm... — chrząknął, miło zaskoczony optymistyczną wymową tytułu.

Spodziewał się bardziej enigmatycznego komunikatu, ale zamieszczony poniżej artykuł zdawał się rozwiewać wszelkie wątpliwości, które mogły się zrodzić w niektórych głowach w wyniku nagłej wizyty polskiego polityka w Kancelarii Rzeszy. Może to tylko plotki, pomyślał. Ostatecznie, w polityce nigdy nie wiadomo niczego pewnego. Może wszyscy ulegli zbiorowemu złudzeniu?

Ktoś zastukał w drzwi gabinetu.

— Wlazł! — zakomenderował znad talerza Kaczmarek.

Zamiast piegowatej twarzy Nowaka w drzwiach zauważył czerwone, spocone oblicze starszego posterunkowego Adamczaka.

— Można, panie komisarzu? — Przybysz nie był pewien, czy powinien przestąpić próg gabinetu w chwili spożywania

no

jajecznicy przez niekwestionowaną sławę policji kryminalnej.

— Śmiało, przyjacielu. — Humor Kaczmarka po jedzeniu wyraźnie zwyżkował.

Komisarz strzepnął okrychy chleba ze stołu i gestem dłoni zaprosił do siebie Adamczaka.

Dopiero teraz zauważył, że starszy posterunkowy trzyma coś lęklwie w obu dłoniach.

— Przyniosłem to, o co pan prosił — wydukał przejęty Adamczak.

I postawił na biurku na oko litrowy słoik, wypełniony w połowie białymi i szarymi robakami o brązowych, przypalonych końcówkach.

— Brawo! — zawołał komisarz. — Ładnie się spisałeś, robaczku!

— Cieszę się, panie komisarzu — odparł niepewnym tonem Adamczak.

Wybałuszył oczy, kiedy komisarz ostrym szurnięciem łokcia wyekspediował pusty talerz na krawędź biurka i zabrał się za zakrętkę. Uporawszy się z nią, wysypał ze słoja na blat wszystkie zebrane przez policjantów pety.

— Dziękuję ci, robaczku — odprawił Adamczaka, ochoczo zakasując rękawy koszuli. Skołowany Adamczak wycofał się tyłem do drzwi. W futrynie minął się z przodownikiem Nowakiem, który wracał z kubkiem kawy w dłoni. Zaraz za drzwiami Nowak stanął jak wryty.

Zwariował, pomyślał o swoim szefie.

Na blacie biurka równym rzędem leżały dziesiątki wypalonych, spłaszczonych i rozduszonych niedopałków.

III

jajecznicy przez niekwestionowaną sławę policji kryminalnej.

— Śmiało, przyjacielu. — Humor Kaczmarka po jedzeniu wyraźnie zwyżkował. Komisarz strzepnął okruchy chleba ze stołu i gestem dłoni zaprosił do siebie Adamczaka. Dopiero teraz zauważył, że starszy posterunkowy trzyma coś lękliwie w obu dłoniach.

— Przyniosłem to, o co pan prosił — wydukał przejęty Adamczak.

I postawił na biurku na oko litrowy słoik, wypełniony w połowie białymi i szarymi robakami o brązowych, przypalonych końcówkach.

— Brawo! — zawołał komisarz. — Ładnie się spisałeś, robaczku!

— Cieszę się, panie komisarzu — odparł niepewnym tonem Adamczak.

Wybałuszył oczy, kiedy komisarz ostrym szurnięciem łokcia wyekspediował pusty talerz na krawędź biurka i zabrał się za zakrętkę. Uporawszy się z nią, wysypał ze słoja na blat wszystkie zebrane przez policjantów pety.

— Dziękuję ci, robaczku — odprawił Adamczaka, ochoczo zakasując rękawy koszuli. Skołowany Adamczak wycofał się tyłem do drzwi. W futrynie minął się z przodownikiem Nowakiem, który wracał z kubkiem kawy w dłoni. Zaraz za drzwiami Nowak stanął jak wryty.

Zwariował, pomyślał o swoim szefie.

Na blacie biurka równym rzędem leżały dziesiątki wypalonych, spłaszczonych i rozduszonych niedopałków.

II

Komisarz kończył je porządkować, wytrzeszczając z radości żółtkę zębów.

— Mam! — chwycił nagle jeden z krótkich petów w dwa palce i w radosnym płasie dopadł z nim do okna.

Oszalał, przemknęło przez myśl Nowakowi. Stary naprawdę oszalał!

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, ósma trzydzieści

Inspektor Kayser ze zmarszczonym czołem oglądał przez lupę słabo widoczny, kremowy nadruk na rozdeptanym pecie.

— Ciekawe. Jakiś herb, czy coś w tym stylu — orzekł w końcu.

Potem podniósł w górę drugi niedopałek w znacznie gorszym stanie, podany mu przez komisarza Kaczmarka. Przez chwilę taksował go przez grube szkło.

— Ta sama marka — przyznał w końcu rację komisarzowi. — Nadruki na bibułkach są identyczne.

— To dość luksusowe papierosy — zauważył Kaczmarek, chowając cenne dowody do futerału na okulary. — Nasi eksperci ustalili, że wyrobów marki „Overstolz” nie sprzedaje żaden sklep tytoniowy w Poznaniu ani w jego najbliższej okolicy. Co więcej, istnieje duże prawdopodobieństwo, że produkt ten nie jest sprzedawany w żadnym mieście Rzeczypospolitej Polskiej...

— Wnioski?

— Nasuwają się dość oczywiste. Jeżeli przyjmiemy, że oba niedopałki porzuciła ta sama osoba, a jest to, zważywszy

112

na unikalność tych papierosów w Polsce, wysoce prawdopodobne, to można przyjąć, że osoba, której szukamy, nabyła je za granicą. Konkretnie w Rzeszy — ciągnął swój wywód komisarz Kaczmarek. — A to oznacza, że mamy do czynienia z osobą bywałą w świecie, a przynajmniej często podróżującą do Niemiec.

— Co akurat w Poznaniu nie jest niczym nadzwyczajnym — skontrolował go Kayser. — Mam wrażenie, że wiemy już sporo, a jednocześnie prawie nic. Bo czego dowodem są dwa rzadkiej urody pety, odnalezione w miejscach zbrodni? Tego, że morderca w obu przypadkach był ten sam. Ale czy wiemy o nim coś jeszcze? Coś poza zamiłowaniem do wojskowych noży albo bagnetów? To może być na przykład jakiś niemiecki żołnierz, który w drodze do Rzeszy zatrzymał się w Poznaniu i z jakichś powodów — może pod wpływem wojennych przeżyć albo nerwowego rozstroju — skrytobójczo likwiduje naszych obywateli. Ale to przecież zupełnie nie trzyma się kupy!

— Właśnie — przytaknął Kaczmarek. — Żołnierze Wehrmachtu nie szlajają się samotnie po ulicach obcego miasta w środku nocy. Raczej wątpliwe, by jakiś szeregowy Niemiec wracał z frontu sam. Klucz tkwi gdzie indziej. Kluczem jest albo ten cholerny bagnet, albo zamordowani, którym zabójca zabiera dokumenty. Tak jakby chciał pozbawić ich tożsamości.

— Ale po co?

— Otóż to! Żeby utrudnić nam identyfikację i trafne wyciąganie wniosków. Ale tego nie robi profesjonalista, tylko dyletant.

— Dlaczego tak sądzisz?

113

*

— Bo odbierając ofiarom w tak prymitywny sposób tożsamość, w gruncie rzeczy wzbudził w nas szczególne zainteresowanie denatami. Pierwszy z nich okazał się zresztą oficerem naszego wywiadu. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby drugi również...

— Czy ty wiesz, co sugerujesz, Biniu?! — zdenerwował się Kayser.

— Wiem. I wcale bym się nie zdziwił, gdybyśmy jeszcze dziś mieli ponowną wizytę kolegów z „Dwójki”. Przypominam, szefie, że ten nieboszczyk z Fredry miał pod pachą ogromnego i — jak mniemam — służbowego browninga...

Ktoś delikatnie zastukał do drzwi. Do gabinetu zajrzała przejęta sekretarka inspektora Kaysera.

— Panie inspektorze, ma pan wizytę — zakomunikowała.

— Wizytę?

— Pilną wizytę, panie inspektorze.

— Co to znaczy, pani Helu?

— Przyszli panowie Lekki i Szkot. Proszą o widzenie.

Poznań, czwartek 3 sierpnia, kwadrans przed dziewiątą

Kapitan Lekki i porucznik Szkot nie wyglądali na szczególnie szczęśliwych. Nie podali nawet rąk policjantom, tylko zaraz po wejściu w milczeniu zasiedli za stołem i spojrzeli pytająco na Kaysera, unosząc jak na komendę głowy w górę.

Inspektor wytrzymał ich nieco zuchwałe, aroganckie spojrzenia i nie odezwał się ani słowem. W oświetlonym wschodzącym słońcem gabinecie zrobiło się cicho. Zaplątana między szyby okna mucha tłukła

114

niemiłosiernie o ramę, rywalizując o rozgłos z rytmicznym klaskaniem końskich kopyt o bruk ulicy 3 Maja.

— Wizyta w Berlinie wielkim sukcesem! — ryczał gdzieś spod gmachu „Arkadii” smarkaty sprzedawca gazet.

Pierwszy nie wytrzymał Lekki.

— Panowie już wiecie, co się stało — bardziej stwierdził, niż zapytał. — To nie może być przypadek. Nie tym razem.

Inspektor Kayser opadł w swoim fotelu i sięgnął po fajkę. Pożółkłymi palcami wygmerał z lichego woreczka resztki tytoniu i w milczeniu zrobił z nim to, co zwykle. W ciszy pokoju zaskwierczała zapalka, a potem w strumieniach światła zawisła szeroka smuga nikotyny.

— Czy mam rozumieć, że również i tym razem straciliście panowie towarzysza broni? — zapytał nie bez cienia ironii Kayser.

— Przecież pan wie, inspektorze. Po co te gierki? Przecież i nam, i wam zależy w gruncie rzeczy na tym samym. Trzeba dorwać tego gnojka...

Kaczmarek, który dotychczas kręcił palcami młynki, podniósł wzrok i z błysku oczu Kaysera wyczytał, że jego szef nie ma zamiaru owijać sprawy w bawełnę.

— To prawda. Cel mamy wspólny, ale układ bardzo nierówny — zauważył cierpkim tonem. — My zbieramy informacje i dzielimy się nimi, a wy częstujecie nas opowiastkami o tajemnicy śledztwa i wysokim interesie państwowym!

— Bo to prawda! Proszę nam wierzyć, interes naszego państwa jest zagrożony! — wyrwało się nagle porucznikowi Szkotowi.

Jego szef uspokoił go podniesioną dłonią.

115

— Bardzo mi przykro, panowie, ale naprawdę nie możemy jeszcze wyjawić panom wszystkiego...

— Dotychczas nie powiedzieliście nam niczego! — wybuchnął Kaczmarek.

— Zaiste, ale sprawa jest tej wagi, że dopóki Sztab Główny w Warszawie nie uzna tego za stosowne, nie możemy wyjawić żadnego szczegółu.

Kayser zaciągnął się mocno dymem i wypuścił ku znaczonemu rudymi plamami sufitowi serię efektownych kół ratunkowych z dymu.

— Czyli potwierdza pan moje przekonanie, że przewidzieliście dla nas rolę chłopców na posyłki, którzy mają szybko i bez ceregieli dzielić się ciężko zdobytymi informacjami, nie martwiąc się nawet o to, czy informacje te zostaną w sposób rzetelny i należyty wykorzystane. Nie mówiąc już o tym, że prowadzone przez panów dochodzenie może kompletnie zaszkodzić, pokrzyżować, a może nawet zniweczyć nasze śledztwo! — krzyknął inspektor.

Kapitan Lekki poróżwiał na swoim gładkim, wymuskany obliczu. Wyglądało na to, że zdawał sobie sprawę z absurdalności sytuacji, ale nie wypadało mu przyznać racji policjantowi.

— Apeluje do pańskiego poczucia odpowiedzialności — wyrecytował zgrabną formułkę, unikając wzroku rozsierdzonego Kaysera.

W odpowiedzi inspektor huknął trzy razy kantem fajki o stół.

— Dawno nie słyszałem podobnego nonsensu — powiedział cicho, jakby tylko do siebie. I głośniejszym głosem dodał: — Czego panowie oczekują od nas tym razem?

— Bardzo mi przykro, panowie, ale naprawdę nie możemy jeszcze wyjawić panom wszystkiego...

— Dotychczas nie powiedzieliście nam niczego! — wybuchnął Kaczmarek.

— Zaiste, ale sprawa jest tej wagi, że dopóki Sztab Główny w Warszawie nie uzna tego za stosowne, nie możemy wyjawić żadnego szczegółu.

Kayser zaciągnął się mocno dymem i wypuścił ku znaczonemu rudymi plamami sufitowi serię efektownych kół ratunkowych z dymu.

— Czyli potwierdza pan moje przekonanie, że przewidzieliście dla nas rolę chłopców na posyłki, którzy mają szybko i bez ceregieli dzielić się ciężko zdobytymi informacjami, nie martwiąc się nawet o to, czy informacje te zostaną w sposób rzetelny i należyty wykorzystane. Nie mówiąc już o tym, że prowadzone przez panów dochodzenie może kompletnie zaszkodzić, pokrzyżować, a może nawet zniweczyć nasze śledztwo! — krzyknął inspektor.

Kapitan Lekki poróżwiał na swoim gładkim, wymuskany obliczu. Wyglądało na to, że zdawał sobie sprawę z absurdalności sytuacji, ale nie wypadało mu przyznać racji policjantowi.

— Apeluję do pańskiego poczucia odpowiedzialności — wyrecytował zgrabną formułkę, unikając wzroku rozsierzonego Kaisera.

W odpowiedzi inspektor huknął trzy razy kantem fajki o stół.

— Dawno nie słyszałem podobnego nonsensu — powiedział cicho, jakby tylko do siebie. I głośniej dodał: — Czego panowie oczekują od nas tym razem?

<0

Lekki i Szkot odetchnęli z wyraźną ulgą.

— Na Fredry zginął nasz człowiek, podporucznik Janusz Pióro — odezwał się kapitan Lekki.

Kaczmarek poczuł, że serce podchodzi mu do gardła.

— Janusz Pióro? Tak nazywa się kolega mojego kuzyna. Mieszka na Rynku Jeżyckim...

— wyjąkał.

Lekki spuścił głowę.

— To on — przyznał. — Co udało się panom ustalić?

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, dziesiąta

Człowiek o diabolicznej twarzy przez dłuższą chwilę przyglądał się dwóm policjantom w efektywnych granatowych mundurach i białych czapkach, których sylwetki odbijały się w szybie sklepu. Wyglądają groteskowo z tymi swoimi wypucowanymi, błyszczącymi szabelkami u boku, pomyślał. Zwłaszcza na tle tej bramy.

Zachciało mu się śmiać, ale wokół było zbyt wielu ludzi, więc się opanował. W końcu musi być czujny, wyjątkowo czujny. Tej nocy spało mu się bajecznie, w poczuciu wypełnionego zadania. Teraz przyszedł tu w konkretnym celu. Chciał się upewnić, jak się sprawy mają. A mają się, jak przewidywał. Znaleźli trupa i teraz zastanawiają się, co robić.

Niech się biedzą. Oby jak najdłużej! A ja tymczasem zajmę się tym trzecim...

Sięgając po papierośnicę, musnął dłonią stalowe ostrze ukryte pod pachą. Zapalił papierosa, zaciągnął się ostrym dymem po najgłębsze zakamarki płuc i wypuścił nosem dwie sine smużki.

117

Na jego nieogolonej twarzy pojawił się uśmiezek satysfakcji. Cóż oni mogą wiedzieć? No co?

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, jedenasta

Policyjny fiat zatrzymał się z piskiem opon przed willą położoną na zielonym stoku Cytadeli. Z auta wyskoczył zażywny, pełen werwy jegomość w eleganckiej marynarce. Strzepnąwszy kantem dłoni domniemany kurz ze spodni, rzucił się niemal biegiem ku furtce, słabo widocznej w gęstym żywopłocie.

Nie otworzył jej jednak, bo do płotu dopadł potężny pies, wzniesając rwestes, jak w momencie pojawienia się potencjalnego zagrożenia.

— Spokój, Bryś! — strofował go nieudolnie komisarz, ale nie zaryzykował naciśnięcia metalowej klamki. — Bryś, nie poznajesz Binia?!

— Jak ma poznać, kiedy rzadko cię tu widzi! — usłyszał z oddali znajomy, męski głos. Na ganku domu stał uśmiechnięty Jan Krzepki, pozdrawiając starszego kuzyna ręką.

— Bryś, do nogi! — rozkazał i wielka, ciężka kula pognała w głąb posesji. Za chwilę wiernie warowała u nóg kapitana. Zdyszany Kaczmarek przekroczył furtkę i zbliżył się na wyciągnięcie ręki do kuzyna. Radosny słoneczny poranek i świergot ptactwa dobiegający z Warty cholernie nie pasowały mu do misji, z którą tu przyjechał.

118

Na jego nieogolonej twarzy pojawił się uśmiezek satysfakcji. Cóż oni mogą wiedzieć? No co?

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, jedenasta

Policyjny fiat zatrzymał się z piskiem opon przed willą położoną na zielonym stoku Cytadeli. Z auta wyskoczył zażywny, pełen werwy jegomość w eleganckiej marynarce. Strzepnąwszy kantem dłoni domniemany kurz ze spodni, rzucił się niemal biegiem ku furtce, słabo widocznej w gęstym żywopłocie.

Nie otworzył jej jednak, bo do płotu dopadł potężny pies, wznecając rwetes, jak w momencie pojawienia się potencjalnego zagrożenia.

— Spokój, Bryś! — strofował go nieudolnie komisarz, ale nie zaryzykował naciśnięcia metalowej klamki. — Bryś, nie poznajesz Binia?!

— Jak ma poznać, kiedy rzadko cię tu widzi! — usłyszał z oddali znajomy, męski głos. Na ganku domu stał uśmiechnięty Jan Krzepki, pozdrawiając starszego kuzyna ręką.

— Bryś, do nogi! — rozkazał i wielka, ciężka kula pognała w głąb posesji. Za chwilę wiernie warowała u nóg kapitana. Zdyszany Kaczmarek przekroczył furtkę i zbliżył się na wyciągnięcie ręki do kuzyna. Radosny słoneczny poranek i świergot ptactwa dobiegający z Warty cholernie nie pasowały mu do misji, z którą tu przyjechał.

— Złe wieści — powiedział, starając się nie spoglądać w roześmianą twarz Jana.

— Co się stało?

— Janusz Pióro nie żyje.

— Niemożliwe! — szarpnął się Krzepki. — Widziałem się z nim wczoraj!

— Niemożliwe! — wytrzeszczył oczy komisarz. — Gdzie?! Kiedy?!

— Wczoraj przesiedzieliśmy do północy w „Arkadii”!

— Nie może być!

— Potem ja pojechałem taksówką do domu, a on poszedł do siebie...

Kaczmarek zwiesił głowę.

— Nie doszedł. Ktoś zabił go na Fredry.

— Zabił?! Jak?!

— Nożem albo czymś jeszcze gorszym. Znaleźli go w bramie kamienicy.

— W bramie?! Co on tam robił?!

— Też chciałbym to wiedzieć. Musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć.

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, w samo południe

Krzepki siedział zdruzgotany, trzymając obolałą głowę w opartych o stół dłoniach. Jego najlepszy kolega z Gimnazjum Marii Magdaleny nie żyje! Relacja, którą usłyszał z ust kuzyna, była tak wstrząsająca, że nie potrafił jej w żaden sposób zaakceptować.

119

— Nie mogę w to wszystko uwierzyć! — Głos mu się łamał, a do oczu cisnęły łzy. — Jesteś absolutnie pewny, że ten nieboszczyk to Janusz?!

— Zidentyfikowali go jego koledzy z „Dwójki”. Większej pewności nie można już chyba mieć — stwierdził Kaczmarek.

Z wnętrza ciasno opinającej jego pierś marynarki wyciągnął niewielką fotografię i podał kuzynowi. Ten spojrział i natychmiast zmiął ją w ręce.

— Przepraszam — wykrztusił z siebie, ledwie powstrzymując wzruszenie. — To rzeczywiście on... Janusz... Jak do tego doszło?

Kaczmarek w zwięzłym wojskowym stylu zrelacjonował kuzynowi najważniejsze fakty. Ponieważ Jan widział przed chwilą makabryczne zdjęcie, oszczędził mu opisu zwłok. Wspomnił o zamordowanym dwa dni wcześniej Wolskim i jego profesji, a także — ścisząc głos — bardzo oględnie zasygnalizował mu, że sprawą zajął się wywiad. Nie ujawnił jednak kuzynowi ustaleń poczynionych z oficerami wywiadu.

Jan słuchał wszystkiego w pełnym rezygnacji skupieniu, jednak kiedy Zbigniew wspomnił mu o wizycie agentów, podniósł wysoko brwi i poderwał się z krzesła.

— To bardzo ciekawe — oświadczył. — Wygląda to tak, jakby ktoś celowo likwidował naszych wywiadowców. Ale kto?

— I tu jest pies pogrzebany. Ale znajdziemy go, nie martw się...

— Chcę wam pomóc! Co mógłbym zrobić? Tylko nie mów, że nie potrzebujesz pomocy!

120
— Janek, uspokój się — Kaczmarek osadził rozgorączkowanego kuzyna na krześle. — Nad tymi morderstwami pracują już dwie służby: my i wywiad. Zapewniam cię, że robią wszystko, co można, aby dopaść tego gnojka. Masz rację: to nie przypadek, że w ciągu dwóch dni w podobny sposób giną dwaj — ponoć utalentowani i dobrze rokujący — pracownicy naszych służb specjalnych. Jednak w tej sprawie najwięcej mogą zrobić profesjonaliści. No bo powiedz sam, co miałbym z tobą zrobić? Zatrudnić cię jako swojego asystenta?

— A chociażby! Mam teraz wolnego czasu od groma!

— Sam mówiłeś, że za tydzień musisz być z powrotem w jednostce w Kowlu, nieprawdaż? Pardon, nie za tydzień, tylko już za pięć dni...

— Biniu, pięć dni to szmat czasu! Tylko mi pozwól, a sam się zdziwisz! Pamiętaj, że mam broń...

— E! Stary, chyba naprawdę żartujesz! Mam pozwolić, żeby szanowany oficer Wojska Polskiego na zasłużonym urlopie po frontowych zmaganiach ganiał po ulicach Poznania z bronią w rękę, poszukując zwykłego rzezimieszka?!

Krzepki zbliżył twarz do nalanego oblicza kuzyna i rzucił mu groźne spojrzenie prosto w oczy.

— Jak ci zaraz strzelę w tę twoją głupią kalafę*!... — ryknął z grubej rury. *kalafa — twarz — Nie takiego znowu zwykłego rzezi-
mieszka, to po pierwsze! A po drugie, wojna się skończyła, wróciłem do domu, a na urlopie to ja nie jestem żaden kapitan, tylko zwykły, szary obywatel, który domaga się odrobiny praworządności i robi wszystko,

by się do niej przyczynić! Zwłaszcza, że właśnie zabito jego najlepszego kolegę z klasy, a takich rzeczy się nie wybacza! Nigdy! Nikomu!

Zaniepokojony Ignacy Krzepki przytruchtał z kuchni do pokoju syna i stanął w drzwiach, rzucając badawcze spojrzenia na obu kuzynów.

— Tylko żebyście mi się tutaj nie pobili — pogroził im sękatą pięścią. — Wprawdzie swoje lata już mam, ale jeszcze uspokoić potrafię!

— Dobrze, ojciec, dobrze. — Jan uśmiechnął się słabo. — Bić się nie będziemy, tylko niech Biniu się nie zgrywa i mnie do sprawy dopuści.

Ignacy Krzepki spojrzał na syna, a potem podszedł do komisarza i położył mu rękę na ramieniu.

— Janek i Janusz to byli przyjaciele na śmierć i życie. Chyba to rozumiesz, Zbigniewie? Twój ojciec na pewno nie wahałby się ani przez chwilę.

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, czternasta z minutami

Lepki upał wlewał się przez otwarte okno na poddasze gmachu Prezydium Policji. Położone na samej górze południowego skrzydła budynku archiwum przez całe przedpołudnie zdążyło

się już nagrzać niczym blacha piekarnika. Pochylony nad lekko pożółkłymi aktami komisarz Kaczmarek pocił się niesamowicie, co chwila poluzowując ucisk krawatu pod szyją. W końcu wpadł w furję i jednym gwałtownym ruchem pozbył się ozdobnika, który wpijał się w jego pulchną szyję. Od razu poczuł się lepiej.

122

Doktor Marciniak miał fenomenalną pamięć do ludzi i dat. Dzięki niemu Kaczmarek bez trudu odnalazł tekturowy segregator z 1938 roku, ukryty wśród setek jemu podobnych, zamieszkujących regał z umorzonymi śledztwami.

Na zakurzonym biurku studiował właśnie trzecią teczkę „sprawy Krzysztofa Magiera” — jak w policyjnym żargonie określono przed pięciu laty niewyjaśnioną sprawę morderstwa na dworcu kolejowym. Im dłużej przeglądał te akta, tym bardziej był pewny, że zbieżność tego wydarzenia z wypadkami ostatnich dni jest tylko pozorna.

W pierwszej teźce znalazł szczegółowe opisy miejsca zbrodni z załączonymi do nich makabrycznymi zdjęciami zamordowanego oraz wyniki oględzin zwłok. Już na pierwszy rzut oka widać było, że zabójstwo przed dworcem musiało być typową pieniacką awanturą. Z zawartych w drugiej teźce zeznań nielicznych osób, które miały jakąkolwiek wiedzę na temat dramatycznych nocnych wydarzeń, wynikało dość jasno, że napastnik był osobą niezrównoważoną psychicznie, w dodatku pijaną. Według zeznań koczujących wokół dworca bezdomnych, podejrzany był okolicznym kłoszardem, który naciągał podróżnych na drobne kwoty, które potem zamieniał na kufel piwa w budce pod mostem Dworcowym. Cóż, najwidoczniej Magiera znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

W trzeciej teźce natknął się na zdjęcia narzędzia zbrodni, odnalezione na nieużytkowanym torowisku na zapleczu dworca. Był to długi, ostry jak szpikulec, pruski bagnet z końca XIX wieku. Mimo upału po jego szerokich, mokrych plecach przeszedł dreszcz. Jeśli człowiek, którego

123

szukam, posługuje się czymś podobnym, trudno się dziwić efektom jego rzeźnickiego procederu, pomyślał.

Zabójcy spod dworca nigdy nie odnaleziono. Zdziwił się, bo skoro podejrzany był zwyczajnym lumpem, dostarczenie go na dworcowy komisariat policji nie powinno nastęczać przesadnych trudności.

Przekartkował kilka kolejnych stron. Na jednym ze zdjęć zobaczył zakrwawioną koszulę ofiary sprzed pięciu lat i nagle przypomniał sobie, co od rana nosi w kieszeni spodni. Sięgnął do niej ze złością, że pomyślał o tym tak późno.

W dłoni trzymał szary, płaski, szeroki jak dwuzłotowa moneta guzik ze strzępkim czarnej nici, uwikłanej między czterema ustawionymi w kwadrat dziurkami. Jednym słowem, guzik jakich wiele można zobaczyć i kupić choćby na targu na placu Sapieżyńskim.

Na pewno są na nim ślady palców, pomyślał. Kaziu musi go koniecznie obejrzeć. Ale na razie... Przynaglony skurczem żołądka, zerknął na zegarek. Muszę dopaść kaszanke! Tym razem mi nie ucieknie.

Poznań, czwartek 3 czerwca 1944, kwadrans po siedemnastej

Kręcił się w okolicy „Arkadii”, rozglądając się bacznie na wszystkie strony. Jeśli miał wykonać polecenie szefa, musiał być uważny i czujny. To właśnie tu, niedaleko kina „Słońce”, dostrzegł wczoraj wieczorem człowieka, którego szukał; dobrze zbudowanego, wąsatego bruneta o posturze wojskowego. Jak wyłowić tę twarz spośród tłumu poznaniaków?

124

Muszę być cierpliwy, powtarzał sobie w duchu. Na razie wszystko układało się zgodnie z planem. Pojawienie się tego trzeciego wprowadziło trochę zamieszania, ale wierzył, że szybko naprawi to, co popsuł los. I znowu będzie mógł się pochwalić szefowi z wykonania zadania.

A szef potrafi być wdzięczny.

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, po dziewiętnastej

Brawurowa komedia z Połą Negri w roli głównej nie oderwała myśli Jana od śmierci nieszczęsnego Janusza Pióry. I choć w fotelu obok siedziała jego ukochana Wilhelmina, nie potrafił pozbyć się z pamięci obrazu sceptycznego uśmiechu przyjaciela, który widział kilkakrotnie podczas ich ostatniego spotkania. Kiedy Wika śmiała się, ubawiona gagami na ekranie, on siedział drętwy i nieczuły na dowcipy, rozpamiętując wczorajszy wieczór. Wilhelmina Krantz szybko zauważyła, że jej towarzysz zdecydowanie nie jest w nastroju do zabawy.

— Co się stało, Janie? — zapytała, kiedy tylko poderwali się po projekcji z wygodnych foteli kina „Stylowego” i wyszli do wysokiego, przeszklonego holu.

— Nic, kochanie — skłamał, ale Wilhelminie to nie wystarczyło.

— Martwisz się? Powiedz mi, proszę, o co chodzi?

Krzepki oparł się o ścianę i westchnął głęboko.

— Ostatniej nocy ktoś zabił mojego przyjaciela Janusza Pióro — powiedział.

W oczach Wiki pojawiły się strach i niedowierzanie.

125

— Zabili Janusza? Kto? Dlaczego?

— Tego niestety nie wiem. Ale najgorsze, że stało się to zaraz po tym, kiedy się pożegnaliśmy. Musisz wiedzieć, że spotkaliśmy się wczoraj i rozmawialiśmy do północy w „Arkadii”. Potem pojechałem taksówką do domu, a Janusz poszedł do siebie. Ale nie doszedł. Ktoś zabił go nożem w bramie na Fredry.

Dziewczyna zbladła i oparła się z wrażenia o ścianę, trzymając się dłonią za szyję.

— To straszne! — powiedziała cicho.

Krzepki otoczył ją ramieniem i wyprowadził na powietrze.>

— Nie martw się, Wiczko. — Przytulił ją do siebie. — Policja na pewno znajdzie tego bandytę. Rozmawiałem dzisiaj z Biniem Kaczmarkiem. Wiesz, moim kuzynem z policji...

— Tym słynnym komisarzem? To twój kuzyn?

— Tak, wspominałem ci już kiedyś. No więc Biniu obiecał mi, że dopadną skur...

W ostatniej chwili powstrzymał się przed dosadnym określeniem. W milczeniu przekroczyli Bukowską, mijając strzelisty pomnik Kościuszki. Szli wolno chodnikiem w kierunku mostu Dworcowego. Słońce szybowo nisko nad kompleksem hal wzniesionych na Powszechną Wystawę Krajową, rzucając ich długie, groteskowe cienie na szeroką jezdnię.

— Janek, boję się o ciebie — odezwała się nagle i jeszcze mocniej wtuliła w jego ramię. Poczul, że przez jej szczupłe ciało przeszedł dreszcz.

— Daj spokój, kochanie! — Uśmiechnął się do niej od-

126

ruchowo. — Nie ma się czego bać. Zobaczysz, policja złapie tego drania i otrzyma to, na co zasłużył.

— Mam nadzieję. Mein Gott, nie mogę w to uwierzyć!

Zatrzymali się przed wejściem na targi, na wprost dominującej nad otoczeniem Wieży Wodnej. Jej baniasta kopuła złociła się w blasku słońca, przypominając lśniącą maczugę. Kontrastowały z nią dwa lekkie pylony, w podcieniach których widać było kasy biletowe. Krzepki gwizdnął na stojącą nieopodal taksówkę. Auto podjechało z piskiem opon. Z uchylonego okna wyglądała ku nim pytająco okrągła twarz szofera.

— Na Ogrodową proszę! — zakomenderował pękatem kierowcy Jan.

Auto, kołuszac się po wznajającym się w bruk torowisku, wjechało na most Dworcowy. Z zamyślenia wyrwał Jana głośny śpiew w obcym, twardym języku.

Spojrzał w dół. Na peronie przy Dworcu Łazarskim stał długi, wojskowy skład, pokryty szaro-zieloną siatką maskującą. Dymiąca lokomotywa zdawała się sugerować, że pociąg

specjalny ruszy za chwilę w kierunku Berlina. Część wagonów była zupełnie odkryta. Na platformach stały potężne haubice. Ich masywne lufy były zacopowane. Pośród sprzętu siedziały dziesiątki żołnierzy w mundurach feldgrau i charakterystycznych, stalowoszarych hełmach. Jan dostrzegł szczęśliwe twarze zwycięzców, którzy po wygranej wojnie na wschodzie wracają do domów. To oni śpiewali pieśń, która wydała się Krzepkiemu dziwnie znajoma.

— Co oni śpiewają, Wiczko?

— Nic takiego. „Dziś należą do nas Niemcy, jutro cały świat”.

ruchowo. — Nie ma się czego bać. Zobaczysz, policja złapie tego drania i otrzyma to, na co zasłużył.

— Mam nadzieję. Mein Gott, nie mogę w to uwierzyć!

Zatrzymali się przed wejściem na targi, na wprost dominującej nad otoczeniem Wieży Wodnej. Jej baniasta kopuła złościła się w blasku słońca, przypominając lśniącą maczugę. Kontrastowały z nią dwa lekkie pylony, w podcieniach których widać było kasy biletowe. Krzepki gwizdnął na stojącą nieopodal taksówkę. Auto podjechało z piskiem opon. Z uchylonego okna wyglądała ku nim pytająco okrągła twarz szofera.

— Na Ogrodową proszę! — zakomenderował pękatem kierowcy Jan.

Auto, kołyszac się po wznajającym się w bruk torowisku, wjechało na most Dworcowy. Z zamyślenia wyrwał Jana głośny śpiew w obcym, twardym języku.

Spojrzał w dół. Na peronie przy Dworcu Łazarskim stał długi, wojskowy skład, pokryty szaro-zieloną siatką maskującą. Dymiąca lokomotywa zdawała się sugerować, że pociąg specjalny ruszy za chwilę w kierunku Berlina. Część wagonów była zupełnie odkryta. Na platformach stały potężne haubice. Ich masywne lufy były zacopowane. Pośród sprzętu siedziały dziesiątki żołnierzy w mundurach feldgrau i charakterystycznych, stalowoszarych hełmach. Jan dostrzegł szczęśliwe twarze zwycięzców, którzy po wygranej wojnie na wschodzie wracają do domów. To oni śpiewali pieśń, która wydała się Krzepkiemu dziwnie znajoma.

— Co oni śpiewają, Wiczko?

— Nic takiego. „Dziś należą do nas Niemcy, jutro cały świat”.

ruchowo. — Nie ma się czego bać. Zobaczysz, policja złapie tego drania i otrzyma to, na co zasłużył.

— Mam nadzieję. Mein Gott, nie mogę w to uwierzyć!

Zatrzymali się przed wejściem na targi, na wprost dominującej nad otoczeniem Wieży Wodnej. Jej baniasta kopuła złościła się w blasku słońca, przypominając lśniącą maczugę. Kontrastowały z nią dwa lekkie pylony, w podcieniach których widać było kasy biletowe. Krzepki gwizdnął na stojącą nieopodal taksówkę. Auto podjechało z piskiem opon. Z uchylonego okna wyglądała ku nim pytająco okrągła twarz szofera.

— Na Ogrodową proszę! — zakomenderował pękatem kierowcy Jan.

Auto, kołyszac się po wznajającym się w bruk torowisku, wjechało na most Dworcowy. Z zamyślenia wyrwał Jana głośny śpiew w obcym, twardym języku.

Spojrzał w dół. Na peronie przy Dworcu Łazarskim stał długi, wojskowy skład, pokryty szaro-zieloną siatką maskującą. Dymiąca lokomotywa zdawała się sugerować, że pociąg specjalny ruszy za chwilę w kierunku Berlina. Część wagonów była zupełnie odkryta. Na platformach stały potężne haubice. Ich masywne lufy były zacopowane. Pośród sprzętu siedziały dziesiątki żołnierzy w mundurach feldgrau i charakterystycznych, stalowoszarych hełmach. Jan dostrzegł szczęśliwe twarze zwycięzców, którzy po wygranej wojnie na wschodzie wracają do domów. To oni śpiewali pieśń, która wydała się Krzepkiemu dziwnie znajoma.

- Co oni śpiewają, Wiczko?
— Nic takiego. „Dziś należą do nas Niemcy, jutro cały świat”.

t

■

R*

PRZEBUDZENIE MAGISTRATU

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, siódma trzydzieści wieczorem

Łysawe opony taksówki zabuksowały na śliskim bruku Ogrodowej i wjechały na Piekary.

Pojazd zatrzymał się gwałtownie przy warsztacie szewskim Johanna Krantza.

— Wejdiesz? — Wilhelmina zadała to pytanie z lęklwym spojrzeniem, które nie uszło uwadze Jana.

— Może innym razem, kochanie — odpowiedział i aby osłodzić tę odmowę, pocałował z zaskoczenia jej gorące usta.

Zadowolony szofer uśmiechnął się w lusterku.

— A może lepiej by było, gdybyś wszedł? Może porozmawiałbyś z Vati. Wiesz, on był dzisiaj w dobrym humorze...

Krzepki zawahał się. Nie miał ochoty spotkać się z wyraźnie niechętnym mu szewcem i jakoś nie potrafił sobie wyobrazić go w anielskim usposobieniu. Ich dotychczasowe kontakty były zdawkowe i mało zachęcające. Raz, kiedy

zajrzał do Wiki w mundurze, odniósł nawet nieprzyjemne wrażenie, że jego uniform raził gospodarza. A może mu się tak tylko zdawało?

Wilhelmina chwyciła Jana za ramię i przywarła do niego, jakby chciała poprosić go całą swoją osobą.

Krzepki w jednej chwili zmiękł jak wosk.

— No dobrze. Ale tylko na chwilę, zgoda? — Pogroził jej palcem.

Weisnął szoferowi pięć złotych i wyskoczył pierwszy z fiata, by otworzyć drzwi przed swoją ukochaną.

Kiedy taksówka odjechała, pozostawiając na ulicy duszną chmurę spalin, Krzepki chwycił swoją dziewczynę pod rękę i razem przekroczyli próg warsztatu szewca Johanna Krantza.

Dźwięk dzwonka zamontowanego nad drzwiami wywołał gospodarza. Do niewielkiego ciasnego pomieszczenia, pełnego półbutów i sandałów, wszedł z ciemnego korytarzyka mężczyzna po pięćdziesiątce. Miał na sobie skórzany fartuch i starą, ubrudzoną od kleju koszulę.

W jej klapie Krzepki dostrzegł czerwoną odznakę nsdap.

— Dzień dobry, panie Krantz — ukłonił się kapitan.

— Guten Tag — odpowiedział szewc i nie spojrzawszy nawet w stronę gościa, zaczął się przyglądać dziecięcemu sandałkowi, który stał na ladzie, spięty drewnianą klamrą.

Spod wytartej podeszwy wyzierał żółtawy klej. Johann Krantz chwycił za leżący obok kwadracik papieru ściernego i zabrał się za usuwanie strużek spoiwa z sandałka.

— Vati, wracamy z Janem z kina... — uśmiechnęła się ciepło Wilhelmina.

130

— Sag Deutsch, mein Kind. Wir sind doch eine deutsche Familie. — Głos ojca był drewniany, prawie beznamiętny. — Wo warst du?

Zmieszana Wiki spojrzała na Jana.

— Byliśmy w kinie „Stylowym”. Film z Połą Negri jest naprawdę niezły. Gorąco polecam go panu i małżonce — odezwał się Krzepki.

— Ich hab gehört, dass es wirklich gut ist — stwierdził krótko szewc, nie przerywając pracy.

Odwrócił sandał i na widok wyschniętego kleju zmarszczył swoje siwiejące brwi.

— Vati, bitte... — głos Wilhelminy aż dźwięczał usilną prośbą. — Kannst du ein bisschen mit uns sprechen? Bitte...
Ojciec Wilhelminy sapnął głośno, jakby gdzieś w środku zmagął się z ogromnym ciężarem.
— Warum denn, meine Liebe? Ich habe noch viel Arbeit, ich muss mich beeilen.
Tym razem to Krzepki ciężko westchnął.
— Nie będę zatem szanownemu panu przeszkadzał, Herr Krantz. — Walczył ze sobą, by nie ulec pokusie nadania swojej wypowiedzi ironicznej intonacji. — Do widzenia.
— Janek! Bleib hier, proszę... — Oczy Wilhelminy zwilgotniały, a delikatnie zarysowany tusz pod rzęsami rozmazał się nagle pod uderzeniem słonej fali.
— Może innym razem, kochanie. — Zrobiło mu się przykro i głos uwiązł mu w gardle. Pocałował ją w czoło i stanowczym krokiem wyszedł z warsztatu szewca Krantza.
— Auf wiedersehen, Herr Krzepki — dobiegło go mało serdeczne pożegnanie.

131

Mógł przysiąc, że szewc Johann wypowiedział je z westchnieniem ulgi.
Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, dwudziesta
W niewielkiej, obskurnej knajpce na Półwiejskiej barczysty barman zgrabnym ruchem nalewał do kufla mocno spieniony „Specyjał” z browaru Huggerów. Ceglany moloch, postawiony w ubiegłym wieku przez niemieckich braci Ju-liusa i Alfonsa, a po odrodzeniu Niepodległej przejęty przez polski kapitał, widać było zresztą przez nieco zaparowaną szybę wystawową tego podrzędnego lokalu. >
Taki szlachetny trunek w tej dziurze? Toż to profanacja! Jak to możliwe? — zastanawiał się Kaczmarek, sącząc piwo na wysokim stołku nieopodal szyby.
Ze swoimi podziwu godnymi gabarytami wyglądał odrobinę karykaturalnie na wąskim, wysokim siedzeniu. Jego nadzwyczaj elegancki jak na te spelunę strój i subtelne, acz wyraźne siorbanie przy degustacji trunku spowodowały, że miejscowi żule już dawno odsunęli się od niego nieufnie na bezpieczną odległość.
— To szkiele* — usłyszał stłumione głosy w głębi długiego jak kiszka lokalu. * szkiele —
Z racji niewyszukanej klienteli, w zwykłych
policjant okolicznościach lokal o wdzięcznej nazwie „Perła” na pewno znalazłby się na celowniku podwładnych komisarza. Tym bardziej, że Kaczmarkowi mignęło już przed nosem kilku znanych mu z dawnych spraw alfonsów. Teraz jednak nie zamierzał robić nalotu

132

właścicielom tego radosnego miejsca ani nasyłać na nich inspektorów kontroli sanitarnej. Uważnie wpatrywał się w szybko pustoszącą ulicę. Grzmot, który z głuchym łoskotem przewalił się po nieboskłonie, był aż nadto słyszalny nawet w tym rozpolitykowanym i roznamiętnionym alkoholem grajdole. Zanośli się na potężną burzę i ostatni przechodnie co prędzej szukali schronienia w bramach kamienic.
Chyba przyjdzie? — zastanawiał się Kaczmarek, gdy pierwsze krople rozprysły się na szarym, zakurzonym bruku Półwiejskiej.
Do lokalu wszedł mokry lump i zataczając się, wpadł na komisarza. Jego nieświeży oddech stanowił rzadką mieszaninę tanich win i denaturatu.
— Szanoowny paaaan postawiiii kolejeczkę? — komisarz usłyszał mało sympatyczną propozycję.
Zamiast odpowiedzi odepchnął natręta w stronę wejścia, ale ten nie zamierzał ustąpić.
— Szanoowny paaaan...
Mimo niewątpliwego wstawienia głos intruza zadrżał lekką emocją, a uśmiech zgasł na jego sinofioletowych splekanych ustach, gdy w odchylonej dyskretnym ruchem marynarce dojrzał policyjną legitymację.

— Aaaa, psiepraszam. — Uniósł w pojedynczym geście obie brudne ręce w górę i łagodnym łukiem skierował się ku barmanowi, szukając w podartych spodniach ostatniej dwudziestogroszówki.

Mógłby już przyjść, pomyślał Kaczmarek. Dopił piwo i właśnie miał pójść w ślady menela, kiedy w drzwiach stanął mokry Krzepki.

133

— Witam kuzyna. — Kaczmarek poprowadził go do baru, odpychając mało taktownie lumpa, który nadal nie znalazł groszaka w przepastnej dolinie swoich mizernych spodni. — Panie szefie, dwa „Specyjały”!

— Wolę „Portera” — uśmiechnął się kwaśno Krzepki.

Barman przeciwczonym przez lata ruchem zarzucił

w górę dyskretny czarny lok, który spadł mu na brwi, i nalał swoim nadzwyczajnym gościom dwa kufle.

Kaczmarek cisnął mu złotówkę na ladę, pokazując, że nie chce reszty, i kuzyni z piwem w dłoniach zajęli strategiczne miejsce nieopodal wyjścia. Kaczmarek miał dzięki temu nadal widok na ulicę.

Na zewnątrz zrobiło się ciemno i nieprzyjemnie. Granatowe jak mundur policji niebo pocięły zygzaki błyskawic, a na dodatek lało jak z cebra.

— Zdażyłeś w ostatniej chwili — uśmiechnął się życzliwie komisarz. *gis — deszcz, ulewa — I tak dostałem ładny gis*.

(dostać gis — — Właśnie widzę, żeś jakiś nieku-
zmoknąć solidnie) — „„

maty. Stało się coś?

— E, nic takiego. Stary mojej dziewczyny stroi fochy.

— Ojciec tej twojej Niemeczki?

— Coś mu nie w smak polski zieć, czy jak? Dzisiaj zauważyłem, że zaczął nosić partyjny znaczek w klapie. Chyba zapisał się do nsdap, a to niczego dobrego nie wróży...

Krzepki pociągnął łyk ciężkiej goryczki. Podziałała kojąco na jego sterane nerwy.

— Fiu, fiu! — zagwizdał Kaczmarek. — To rzeczywiście uważaj na tego gagatka. Żeby przypadkiem nie wyskoczył za

134

trzy dni z jakimiś uprzedzeniami rasowymi. Jeszcze ci każe intercyzę z Wilhelminą spisać, żebyś dzieci na porządnym Szkopów wychował...

— Biniu! Daj mi spokój, do jasnej cholery!

— A bo zachciało ci się Niemki, kiedy tyle naszych fajnych dziewczuch tylko czeka na twoje skinienie. Za mundurem panny...

Krzepki trzasnął kuflem o nadgryziony zębem czasu blat, rozlewając wokół ciemną pianę.

— Albo natychmiast skończysz, albo się pożegnamy!

Kaczmarek przełknął z wrażenia wielki haust piwa i wytarł wierzchem swojej pulchnej dłoni wilgotne usta.

— Przepraszam, Janek — wydukał niechętnie. — Masz rację, nie po to tu przyszliśmy.

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, kwadrans po dwudziestej

Zziębnięty i przemoczony do ostatniej nitki opuścił taksówką śródmieście. Wśród tysięcy poznaniaków wracających do domów nie dostrzegł tej jednej, jowialnej twarzy z czarnym wąsem. Nie zobaczył wysokiego bruneta ani pod „Arkadią”, ani pod „Słońcem”, ani w okolicy Prezydium Policji. Nagła burza odebrała mu resztki determinacji.

Samochód objechał mokry plac Nowomiejski i skręcił w Cieszkowskiego, kierując się ku Libelta. W sienie dali zamajaczył most kolejowy i znajomy budynek, który przypominał mu o przełożonym.

Spróbuję jutro od rana, pomyślał. Szef się na pewno nie pogniewa.

135

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, w tym samym czasie

Zupełnie niespodziewanie Kaczmarek przejął inicjatywę.

— O ile dobrze pamiętam, Janku, masz jakieś znajomości w „Dwójce”? — zagaił.

Krzepki wytrzeszczył oczy, bo nie spodziewał się akurat takiego pytania ze strony kuzyna.

— No... Mam kilku znajomych. Ale żadnych przyjaciół. A bo co?

Kaczmarek nachylił się ku kuzynowi, aby napewno nie usłyszał go nikt postronny. Krzepki poczuł lekko kwaśny chuch krewnego na twarzy.

— Trzeba by wyniuchać, o co właściwie chodzi tym pięk-nisiom — zaproponował bez żenady. — Bo to wszystko jest cholernie dziwne i podejrzone. Lekki i Szkot uparcie nie chcieli nam nic powiedzieć. Bąknęli tylko, że to jakaś sprawa wagi państwowej, czy jakoś tak... Traktują nas jak ostatnich durni!

Jan chwycił kuzyna za ramię i mocno nim potrząsnął.

— Chyba ci amba* odbiła, Biniu —

* amba_chyba ci mówił szybko> hamując wzbierającą

amba odbiła — w nim wściekłość. — Czy ty wiesz, czego chyba zwariowałaś Qde mnie żądasz? Za takie sprawy jest sąd polowy i niechybna kulka w łeb!

— A czy ty wiesz, czego ty ode mnie oczekujesz?! Czy wiesz, czym ja ryzykuję?! Jak się dowiedzą, że wtajemniczam w nasze dochodzenie jakiegoś oficera prosto z frontu, to wylecę ze służby na zbity pysk!

Ostatnia fraza poniosła się głuchym echem po niskim wnętrzu lokalu, wzbudzając niezdrową sensację na tyłach baru.

136

Chwilę siedzieli w milczeniu, taksując się niechętnym wzrokiem. Krzepki pociągnął z pasją łyk „Portera” i zlizął pianę z wąsów.

— Kuzynku drogi, nie czas na ceregiele. — Kaczmarek uderzył w kordialną nutę. — Musimy działać w inny niż zazwyczaj sposób, w przeciwnym razie niczego się nie dowiemy, a tajemniczy rzeźnik wyróżnie w tym czasie pół miasta.

— Jeśli będzie działał z taką regularnością, jest to niewykluczone — uśmiechnął się nerwowo kapitan.

Pociągnął jeszcze jeden potężny łyk piwa i spojrzał na pękatego kuzyna życzliwiej.

— No dobra, zobaczę, co się da zrobić. Ale niczego nie obiecuję — zaznaczył.

— Spróbuj, Janeczku. Trzeba działać, tym bardziej, że co nieco już wiemy. — Komisarz rozejrzał się na boki, a nie dostrzegając w pobliżu żadnego ciekawskiego moczymor-dy, opowiedział w szybkich, służbowych zdaniach o swoich ustaleniach dotyczących „sprawy Magiery” z 1938 roku.

Krzepki słuchał z zainteresowaniem. Największe wrażenie zrobiła na nim wzmianka o narzędziu zbrodni. Poruszył się wtedy niespokojnie i pytająco spojrzał na kuzyna.

— To zastanawiająca zbieżność, ale jeszcze o niczym nie przesądza — skomentował tę wątpliwość Kaczmarek. — Najgorsze, że tego gnojka nigdy nie znaleziono. Wsiąkł jak kamfora, a rozesłane po całym * pENER _ kraju listy gończe nie przyniosły żadnego re-mężczyzna zultatu. A potem przyszła mobilizacja i sam z marginesu wiesz, jak się sprawy potoczyły. Wojna. Nawet

policji nie w głowie było uganianie się za jakimś penerem* z dworca pkp.

137

— Ale, jak rozumiem, macie ten bagno? — zapytał trzeźwo Krzepki.

— Tak. I w tym nasza nadzieja, drogi kuzynku. Bo na bagnecie z trzydziestego ósmego zachowały się śliczne odciski palców, należące niechybnie do mordercy.

— Nie bardzo rozumiem... Co to ma do rzeczy?

— Bardzo dużo, Janeczku. Bo wyobraź sobie, że zabójca z Fredry też coś nam zostawił. Choć być może o tym nie wie.

Kapitan aż się zachłysnął. Zanim doszedł do siebie, komisarz potraktował go serdecznie dwa razy otwartą dłonią po plecach.

— Macie jego odciski? Na czym?

— Spokojnie, to się jeszcze okaże. Na razie wiemy, że ten cham jest palaczem i zdaje się, że ma specjalne upodobanie do szwabskich papierosów. W dodatku do dość wyszukanych ćmików.

— Znaleźliście niedopałki?! Pobierzecie z nich odciski i porównacie? — Krzepki poczuł się nagle jak detektyw na tropie zbrodniarza.

— Nie podniecaj się, drogi Watsonie — zażartował sobie Kaczmarek. — Mamy dwa niedopałki, ale oba są tak śladowe, że nie sposób pobrać już z nich niczego. Widać, że ten gnojek zaciąga się do ostatniego sztachy...

— No to o jakich śladach mówisz?

Komisarz odstawił na bok pusty kufel i spojrzał przez szybę na pogrążoną w ciemnościach i strugach deszczu Półwiejską.

— Pióro oberwał zabójcy guzik. Wiem, brzmi to trochę nieprawdopodobnie, ale jest to możliwe. Zwykły, szary gu-

138

zik. Posłałem go naszemu laboratorium do analizy. Kaziu powinien już wysłać odciski z guzika do Warszawy...

— Jaki Kaziu?!

— ...iw ciągu dwóch dni powinniśmy mieć pewność, czy ślady na bagnecie z dworca i na guziku pochodzą od tego samego człowieka.

— Kaziu?!

— Za dużo chciałbyś wiedzieć, Sherlocku. To młody policyjny geniusz, tyle ci mogę powiedzieć.

Krzepki w milczeniu dopił brązowozłoty trunek z browaru Huggerów i w skupieniu analizował to, co usłyszał. Był zaskoczony, jak wiele ustalił już jego krewny na policyjnym etacie.

— A jak myślisz? Ten rzeźnik z dworca i ten drugi, którego szukamy... Czy to ten sam sukinsyn? — zapytał w końcu.

— Prościej by było, gdyby morderca był ten sam — westchnął komisarz. — Ale przecucie mi podpowiada, że coś tu nie gra. Z akt „sprawy Magiery” wnoszę raczej, że tamta historia była wynikiem naglej karczemnej awantury, jakich niestety zdarza się wiele. Tak to przynajmniej wygląda. A na Kantaka i Fredry zginęli członkowie naszej elitarnej służby. Zważ, drogi kuzynku, że „Dwójka” nie zwykła tracić masowo swoich wywiadowców w tak upokarzających okolicznościach.

Krzepki spojrzał na Kaczmarka spode łba.

— Masz rację, Zbigniewie — powiedział śmiertelnie poważnym tonem. — Coś tu nie gra i koniecznie musimy się dowiedzieć, co.

— Zanim pod jakimś burdelem nie zdmuchną nam kolejnego elegancika z wojskowymi papierami w kieszeni — spuentował ponuro komisarz.

139

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, dwudziesta pierwsza

Mocne światła fiata omiotły filary zanurzonego w zieleni modernistycznego

dwukondygnacyjnego budynku, do którego prowadziły granitowe schody. Tysiące kropli odbijało się od nich, tworząc w świetle reflektorów taksówki efektowne, migocące

widowisko. W strugi deszczu z samochodu wyskoczył wysoki, odziany w szary prochowiec

mężczyzna. Rzucił arogancko banknotem w uchylone okno kierowcy i nie zważając na piękny taniec rozbijających się kropli, wbiegł do pogrążonego w ciemnościach budynku. W szerokim holu zaskrzypiały stare, dębowe drzwi i naprzeciw przybyszowi wyszedł równie jak on wysoki, dobrze zbudowany dżentelmen o krótkich blond włosach, zaczesanych pomadą na bok. Jego zimne oczy obrzuciły na moment gościa czujnym spojrzeniem. Ich oczy spotkały się i wtedy mężczyzna w prochowcu zobaczył aprobujący gest ręką. Posłusznie ruszył za swoim przewodnikiem, który poprowadził go ku majaczącym w półmroku drewnianym schodom.

W milczeniu pokonali kilkanaście trzeszczących stopni i znaleźli się na tonącym w mroku korytarzu.

Blondyn zatrzymał się i stanowczym ruchem ręki wskazał przybyszowi, że powinien pójść w prawo. Gość doskonale wiedział, dokąd zmierza, ale uklonił się w podzięcie i ruszył ku drzwiom kończącym długi, wąski korytarz.

Zanim je otworzył, zastukał trzy razy. Nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, nacisnął mosiężną klamkę w kształcie głowy lwa.

140

Poznań, czwartek 3 sierpnia 1944, dwudziesta pierwsza

Mocne światła fiata omiotły filary zanurzonego w zieleni modernistycznego dwukondygnacyjnego budynku, do którego prowadziły granitowe schody. Tysiące kropli odbijało się od nich, tworząc w świetle reflektorów taksówki efektowne, migocące widowisko. W strugi deszczu z samochodu wyskoczył wysoki, odziany w szary prochowiec mężczyzna. Rzucił arogancko banknotem w uchylone okno kierowcy i nie zważając na piękny taniec rozbijających się kropli, wbiegł do pogrążonego w ciemnościach budynku. W szerokim holu zaskrzypiały stare, dębowe drzwi i naprzeciw przybyszowi wyszedł równie jak on wysoki, dobrze zbudowany dżentelmen o krótkich blond włosach, zaczesanych pomadą na bok. Jego zimne oczy obrzuciły na moment gościa czujnym spojrzeniem. Ich oczy spotkały się i wtedy mężczyzna w prochowcu zobaczył aprobujący gest ręką. Posłusznie ruszył za swoim przewodnikiem, który poprowadził go ku majaczącym w półmroku drewnianym schodom.

W milczeniu pokonali kilkanaście trzeszczących stopni i znaleźli się na tonącym w mroku korytarzu.

Blondyn zatrzymał się i stanowczym ruchem ręki wskazał przybyszowi, że powinien pójść w prawo. Gość doskonale wiedział, dokąd zmierza, ale uklonił się w podzięcie i ruszył ku drzwiom kończącym długi, wąski korytarz.

Zanim je otworzył, zastukał trzy razy. Nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, nacisnął mosiężną klamkę w kształcie głowy lwa.

140

Wszedł do ciemnego pokoju oświetlanego jedynie mdłym blaskiem latarni, wpadającym do pomieszczenia przez trzy wąskie okna.

Szef siedział tam, gdzie zwykle — w obitym skórą fotelu ustawionym przy omurowanym klinkierową cegłą kominku. Długim metalowym szpadłem obracał płonące polano w palenisku. Wzniesione wprawą ręką iskry oświetliły grube, obwisłe policzki i podkrążone z niewyspania oczy.

Przybysz dostrzegł w nich błysk napięcia i wyczekiwania. Prężnym krokiem poszedł do przełożonego i bez słowa wręczył mu złożony w pół plik kartek, który wydobyl z kieszeni płaszczu.

Pomiędzy nimi widniały postrzępione fragmenty poznańskich gazet.

Szef, nie zważając na obecność gościa, zatopił się w lekturze. Chybotliwe płomienie w kominku rzucały na jego zmęczoną twarz groteskowe cienie. Po trzeciej kartce oblicze

mężczyzny pokraśniało z zadowolenia, widać wyrwane z gazet artykuły sprawiły mu ogromną radość.

Jest dobrze, pomyślał człowiek w prochowcu i poczuł, jak kamień spadł mu z serca.

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, szósta trzydzieści rano

Z upiornego snu, pełnego białych widm uzbrojonych w długie, skrwawione bagnety wyrwał go drętwy, mechaniczny dźwięk znad biurka. Słuchawka z ebonitu wprost podskakiwała na srebrnych widełkach, dopraszając się podniesienia.

141

Spocony, w samych gaciach, zwał się z trzeszczącego łóżka i klnąc, na czym świat stoi, podszedł do telefonu.

— Kaczmarek, słucham... — zdążył wypowiedzieć tylko te dwa słowa, po czym odruchowo przybrał postawę zasadniczą, wyprężając się jak struna.

Dobrze mu znany, nieco chropawy głos po drugiej stronie był tym razem nie nadskakująco grzeczny, lecz wściekły.

— Czytał pan dzisiejsza prasę, komisarzu?! Co to jest, do cholery?! W jakim mieście my żyjemy?! Dwa trupy w dwie noce?! ,

— To się zdarza, panie wiceprezydencie — starał się zachować spokój i odpowiadać trzeźwo, czym jeszcze bardziej rozsierdził pryncypała odpowiedzialnego za stan bezpieczeństwa w Poznaniu.

— Jak pan śmie tak żartować! To karygodne! Wystąpię o naganę i wpis do akt! — piał z magistratu rozsierdzony włodarz, którego Kaczmarek widział ostatnio w lekko wstydliwym negliżu na korytarzu przybytku madame Gła-deckiej. — To nie Las Vegas, do cholery! To jest Poznań! Tu był i musi być porządek! Rozumiemy się?!

Kaczmarek wyobraził sobie, jak łysy dureń toczy pianę do słuchawki i ogarnął go nagle śmiech. Na biurku przed sobą dostrzegł właśnie plik gazet, podrzucony mu niechybnie przez przodownika Nowaka. Będą z niego ludzie! Szybkim ruchem rozrzucił je po blacie i przebiegł wzrokiem po sensacyjnych czołówkach dzienników.

Zabójca bez twarzy czai się w bramach! — alarmował „Kurier Poznański”.

142

W Poznaniu grasuje bezwzględny nożownik! Policja bezradna! — straszyl „Dziennik Poznański”.

Pod nosem policji mordują poznaniaków! — podniósł larum „Ilustrowany Kurier Codzienny”. Plotka głosi, że zabici to wojskowi — dorzucał bijący po oczach czerwoną czcionką nagłówek.

Cholerne pismaki! — pomyślał z goryczą. Zawsze wleżą tam, gdzie nie trzeba! I jeszcze ten pieprzony Juliusz Bock z „Dziennika”, wschodząca gwiazda poznańskiego dziennikarstwa.

„Policja bezradna!” Już ja mu dam!

Z wrażenia przez chwilę przestał nasłuchiwać pokrzykiwań z magistratu. Ponownie przyłożył ucho do chłodnego ebonitu.

— ...i dlatego domagam się natychmiastowego złapania tego bandyty i osadzenia go w areszcie celem przesłuchania i postawienia mu zarzutów! — grzmiał wiceprezydent. — Proces musi być szybki i pokazowy! Tak, tak, koniecznie pokazowy! Społeczeństwo ma prawo oczekiwać, że w mieście Poznań królują porządek i bezpieczeństwo! Tak było i tak będzie!

— Tak jest! — odkrzyknął w słuchawkę Kaczmarek.

— Rozumiemy się, komisarzu?! Rozumiemy się?!

— Tak jest!

— Czekam na raport! Proszę mi go dostarczyć dziś w samo południe!

— Tak jest!

— Do mojego gabinetu! Osobiście!

— Tak jest!

143

W

— Żegnam pana komisarza! Bardzo, ale to bardzo ozięble!

Trzask słuchawki o metaliczny widelec był jak sztylet pchnięty w ucho Kaczmarka. Z obrzydzeniem odłożył ebonitową tubkę na miejsce i podrapał się po głowie.

— Idź precz, łysa pała! — ulżył sobie akurat w momencie, kiedy piegowata, lekko wystraszona twarz przodownika Nowaka wychynęła zza się drzwi gabinetu.

Obdarzony bujną fryzurą pomocnik posłusznie cofnął się i już zamierzał sprawdzić, czy go nie ma na korytarzu, gdy usłyszał dobrze mu znany, gardłowy ryk:

— Wróć!

Niepewnym krokiem wszedł jednak do gabinetu komisarza.

Jego szef miał rozbiegane oczy i sprawiał wrażenie kompletnie zdezorientowanego.

— Czytał pan komisarz gazety? — zagadnął Nowak przymilnie. — Te pijawki pismaki muszą mieć jakiegoś kreta w policji, bo wiedzą zaskakująco dużo... A ten Bock to wyjątkowa szuja...

— Taaaa... — Kaczmarek słuchał go jednym uchem, głęboko nad czymś rozmyślając. — Słuchajcie, Nowak, macie szansę udowodnić, że nie wypadliście sroce spod ogona i że jeszcze będą z was ludzie.

Nowak skurczył się ze strachu, bo dobrze wiedział, że ten pozornie sympatyczny ton szefa zwykle zwiastuje burzę z piorunami.

— No, nie bójcie się tak, Nowak. — Komisarz podjął już decyzję, bo zbliżył się do podwładnego i niespodziewanie wylewnie przycisnął go do swojego wydatnego brzucha. — Macie szansę się na coś przydać. Spełnić się pisarsko.

144

Weźmiecie akta sprawy Wolskiego i Pióry, które leżą teraz w sekretariacie inspektora Kaysera, i szybko sporządzicie z nich wyciąg, długi na trzy... nie, na pięć stron. No, góra sześć stron. Niech będzie! Niech sobie łysa pała poczyta, i tak nic nie będzie wiedzieć...

— Że co?! — wyrwało się piegusowi.

— Nic, nic. Do siebie mówię. Wyciąg ma być gotowy do jedenastej. Rzucę na niego okiem, a potem popędzisz do Nowego Ratusza, do samego wiceprezydenta Bibki...

— Słucham?!

— Chciałem powiedzieć, do wiceprezydenta Bombki. Konrada Bombki. Jak wiesz, to nasz najwyższy zwierzchnik. Tylko bardzo proszę, nie bądź zbyt szczegółowy. Podstawowe ustalenia, nic więcej. I nie przemycaj żadnych hipotez, które wynotowałem ołówkiem na marginesach, bo nie poznasz swojej matki!

— Tak jest!

Trzask drzwi świadczył o tym, że Nowak pojął, na czym polega jego misja, i bez zwłoki zabrał się do pracy.

— No — westchnął sobie głęboko z ulgą Kaczmarek. — Jednego idioty mniej!

Po raz pierwszy nie myślał bynajmniej o swoim asystencie.

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, ósma

1

Za oknem gabinetu szefa zdążył się rozhuścić całkiem piękny dzień, przyozdobiony istic włoskim niebem bez najmniejszej nawet chmurki. O nocnej ulewie przypominały

145

jedynie resztki ciemniejszych zacieków na płytach chodnika pod „Arkadią”.

— I powiadasz, że był wściekły? — Kayser pyknął pierwszą fajeczkę z rana i wydmuchnął dym w kierunku podwładnego.

— Jak osa. — Komisarz Kaczmarek zrobił małą minę i obaj wybuchnęli siarczystym śmiechem.

— No dobra. — Kayser pierwszy pohamował wesołość. — Podobno najpierw dzwonił do mnie, ale mnie nie zastał, więc poszło na twoje konto. Ważni panowie w magistracie denerwują się, bo we wrześniu wybory. A tu taki pasztet...

Komisarz pogmerał dłonią w teczkę i powolnym ruchem wyciągnął z niej biało-czarny rysunek naszkicowany ołówkiem.

— Przyniosłem portret pamięciowy tego gagatka, sporządzony przez naszego rysownika na podstawie wywiadu u dozorczy Wojcieszaka. Jeśli ten podejrzanie zachowujący się mężczyzna na Kantaka i zabójca to ta sama osoba, to wygląda on mniej więcej tak...

Kayser chwycił podany mu rysunek i wykrzywił z niesmakiem twarz.

— Amantem filmowym to on nigdy nie zostanie — mruknął znad fajki.

— To prawda. Wyjątkowo szpetny osobnik — przyznał Kaczmarek, wpatrując się w naszkicowane ołówkiem rysownika oblicze.

Z ostrych, niepokojących rysów pociągłej szarej twarzy o zapadniętych policzkach i głębokich oczodołach wyzierało coś szatańskiego. Po plecach komisarza przeszedł dreszcz. Wolałby nie spotkać się z tym człowiekiem twarzą w twarz

146

w ciemnej uliczce albo, co gorsza, w mrocznej bramie. O ile osobnik ten w ogóle był człowiekiem...

— Brakuje mu tylko rogów — zażartował ponuro Kayser. Najwyraźniej nachodziły go podobne skojarzenia. — No dobrze, portret mi się podoba. Bardzo twarzowy. Każ go natychmiast powielić i rozesać pędem do wszystkich naszych komisariatów. Nie zawadzi też dyskretnie przesłać go do ważniejszych instytucji. Sam wiesz: do magistratu, szpitali, domów pomocy ubogim i bezdomnym, do muzeów, a nawet bibliotek i innych takich... Im szerzej pójdziemy, tym lepiej. A nuż znajdziemy tę igłę w stogu siana. A co z tym guzikiem?

— Na razie guzik. — Komisarzowi udzielił się wisielczy humor szefa. — Wczoraj wysłałem ekspresem próbkę do analizy. Jak dobrze pójdzie, dziś wieczorem, a najpewniej jutro będziemy mieć pierwsze dane, czy mamy te odciski w naszym archiwum centralnym w Warszawie. I czy są tożsame z tymi na bagnecie znalezionym w trzydziestym ósmym...

— Daj Boże, żeby tak było — westchnął Kayser. — Przynajmniej wiedzielibyśmy, kogo szukać. I nie musielibyśmy prosić o nic tych milczących obwiesiów z wywiadu. A propos... Zwróciłem się drogą służbową do przełożonych Lekkiego i Szkota o wyjaśnienie, na jakiej podstawie odmawiają nam niezbędnych informacji w śledztwie. I wiesz, drogi Biniu, co mi odpisali? Jedno krótkie zdanie: „Zgodnie z ustawą o ochronie tajemnicy państwowej, odmawiamy podania szczegółów w wyżej wymienionej sprawie ze względu na ważki interes państwa"! Jakbyśmy, do cholery, nie służyli tej samej Rzeczypospolitej Polskiej!

147

Kaczmarek machnął ręką i uśmiechnął się dziko do swojego szefa.

— I tak nie wiedzają tyle, co my — powiedział, dumny ze swojej przewagi.

— Biniu?! — Inspektor zdawał się zaskoczony. — Nadal nie uzupełniłeś akt o najnowsze ustalenia?

— Szefie, jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Po co mają spijać nam śmietankę?

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, około dziesiątej

Zapłakane oczy Wilhelminy Krantz wyglądały wyjątkowo niedobrze po nieprzespanej nocy. Jej ostatnie rozstanie z Janem było bolesnym wspomnieniem, po którym zupełnie nie mogła się pozbierać. Jan nie zasłużył na coś takiego, rozmyślała przez długą, niekończącą się noc, podczas której słyszała za oknem natarczywy szum drzew cmentarza ewangelików i małego

wodospadu utworzonego przez strugę deszczówki, lejącej się wprost na chodnik z dziurawej rynny.

Nie rozumiała, skąd wzięła się oschłość jej ukochanego ojca w stosunku do Jana. Przecież jeszcze niedawno Vati uśmiechał się na jego widok, podawał mu rękę na powitanie. Mówił o tym, że nareszcie dwa narody porozumiały się i że to dobrze wróży na przyszłość. Aż tu nagle coś się odmieniło. Wika nie wiedziała, co. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej wszystko to było dla niej absurdalne i niedorzeczne.

Zaraz po przebudzeniu pobiegła do przedpokoju i zadzwoniła do Jana, ale po trzecim sygnale zrezygnowała

148

-

i wystraszona własną odwagą, odłożyła słuchawkę na widelki. Pomyślała, że Janowi musi być strasznie przykro i nie była pewna, czy telefon od niej nie obudzi w nim kolejnych udręk. Może mama coś mi doradzi? Uśmiechnęła się, bo nagle przypomniała sobie, że nie jest sama. Jej „mamuś” na pewno znajdzie swoje sposoby, żeby naprawić to, co nagle zepsuło się między ojcem i jej ukochanym Janem.

Szukając mamy, zeszła z piętra na parter. Z kuchni dobiegały do niej wesołe, skoczne rytmy radiowej muzyki. Nagle z głośnika popłynął modulowany głos lektora:

„Tu Polskie Radio Warszawa. Nadajemy wiadomości. Z oficjalną wizytą gości w Warszawie Reichsführer ss Heinrich Himmler, który dziś podjęty zostanie rautem przez prezydenta RP oraz szefa rządu. Szanowny gość omówi z kierownikami naszej nawy państwowej najbardziej pilne sprawy we wzajemnych stosunkach...”

— Mamo?. Jesteś tu? — Zajrzała przez drzwi do kuchni, ale nie było w niej nikogo.

„...które wymagają jednoznacznych uregulowań. Wieczorem przedstawiciel kanclerza Rzeszy wróci do Berlina...”

— Mamo? — Zajrzała do pokoiku obok, ale on również był pusty.

Zdziwiła się, bo w piątce mama zawsze zostawała rano w domu. Cofnęła się do korytarza i wtedy zauważyła blask światła na przeciwległej ścianie. Ktoś zszedł po schodkach do piwnicy. W tej samej chwili usłyszała odgłos szurania,

149

jakby ktoś mocował się z ciężkim przedmiotem i przesuwał go po posadzce.

Zaintrygowana dziwnym hałasem, podeszła do zejścia. Na dole, za załomem ceglanego muru, dostrzegła ojca mocującego się ze sporej wielkości drewnianą skrzynią. Nigdy wcześniej nie widziała jej w piwnicy.

— Vati? Was machst du dort? — zapytała.

Vati poderwał się w górę gwałtownie, uderzając głową w zawieszoną nisko nad jego sylwetką lampę. Rozhuśtane światło omiotło wnętrze niewielkiego pomieszczenia. Wilhelmina zauważyła, że skrzynia jest zamknięta żelazną sztabą, którą blokowała sporej wielkości kłódka.

— Nichts interessantes, meine Liebe. — Głos ojca drgał, jak nigdy dotąd. — Ich habe Kartoffeln gekauft...

— Ach so... — Udała, że przyjęła to do wiadomości bez zdziwienia, i pewnym krokiem odeszła od drzwi.

Odniosła jednak przykre wrażenie, że ojciec nie powiedział jej prawdy. Czy ktoś widział, żeby ziemniaki zamykać na kłódkę?

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, kwadrans po jedenastej

Krzepki wyskoczył z dorożki zde gustowany. Razem z fiakrem utknęli w długim sznurku pojazdów na wysokości Grochowych Łąk. Przepychając się między stłoczonymi na trotuarze

przechodniami, dostrzegł w oddali barwny tłum demonstrantów podążających z transparentami i biało--czerwonymi flagami od strony Świętego Wojciecha ku Chwaliszewu.
50

jakby ktoś mocował się z ciężkim przedmiotem i przesuwał go po posadzce.

Zaintrygowana dziwnym hałasem, podeszła do zejścia. Na dole, za załomem ceglanego muru, dostrzegła ojca mocującego się ze sporej wielkości drewnianą skrzynią. Nigdy wcześniej nie widziała jej w piwnicy.

— Vati? Was machst du dort? — zapytała.

Vati poderwał się w górę gwałtownie, uderzając głową w zawieszoną nisko nad jego sylwetką lampę. Rozhuśtane światło omiotło wnętrze niewielkiego pomieszczenia. Wilhelmina zauważyła, że skrzynia jest zamknięta żelazną sztabą, którą blokowała sporej wielkości kłódka.

— Nichts interessantes, meine Liebe. — Głos ojca drgał, jak nigdy dotąd. — Ich habe Kartoffeln gekauft...

— Ach so... — Udała, że przyjęła to do wiadomości bez zdziwienia, i pewnym krokiem odeszła od drzwi.

Odniosła jednak przykre wrażenie, że ojciec nie powiedział jej prawdy. Czy ktoś widział, żeby ziemniaki zamykać na kłódkę?

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, kwadrans po jedenastej

Krzepki wyskoczył z dorożki zde gustowany. Razem z fiakrem utknęli w długim sznurku pojazdów na wysokości Grochowych Łąk. Przepychając się między stłoczonymi na trotuarze przechodniami, dostrzegł w oddali barwny tłum demonstrantów podążających z transparentami i biało--czerwonymi flagami od strony Świętego Wojciecha ku Chwaliszewu.
150

Wykorzystując mocne łokcie, przebrnął przez morze ludzkich głów i znalazł się na skraju Małych Garbar. Pochód kilkuset młodych mężczyzn wlewał się właśnie w Wielkie Garbary. Rzucił okiem na prawo i dostrzegł, że końcówka demonstracji mijała ceglasty gmach synagogi, zwieńczonej monumentalną kopułą.

— O co tu chodzi? — zagadnął pierwszego z brzegu policjanta, który dbał o to, by gapie nie utrudniali ruchu manifestantom.

— Narodowcy, szanowny panie — odparł grzecznie funkcjonariusz. — Idą spod konsulatu Rzeszy. Nie podoba się im współpraca z Adolfem.

— A ja myślałem, że im do niego blisko.

— Pozory mylą, szanowny panie.

Krzepki skłonił się policjantowi i przyjrzał uważnie demonstrantom. Szli karnie, równo, unosząc wysoko podbródki. W kłapie niejednej koszuli dostrzegł mieczyki Chrobrego, znak młodzieży narodowej. No, no, Dmowski byłby z was dumny, pomyślał. Nie rozumiał jednak, dlaczego protestują akurat teraz, kiedy wojna już się skończyła.

Zerknął w stronę szerokiego na całą ulicę transparentu, niesionego nad manifestacją przez dwóch tęgich młodzieńców. „Precz z polityką ugody!” — wymalował ktoś czerwoną farbą na białym płótnie.

— Rzech-pos-po-li-ta z da-la od Rze-szy! — skandował przez archaiczny megafon przejęty swoją rolą okularnik.

Dziwacy, przemknęło mu przez myśl. Dziwacy i awanturnicy. Jeszcze będzie z tego coś złego!

151

Zerknął zły na zegarek. Był już spóźniony. Dawny kolega z „Marynki”, a dziś podoficer „Dwójki”, od piętnastu minut czekał na niego w knajpie na Woźnej.

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, w samo południe

Purpurowy z emocji wiceprezydent Konrad Bombka trzymał przed sobą na baczność rudawego przodownika, napawając się swoją władzą. Nerwowym wzrokiem przebiegał liniжки elaboratu przygotowanego dla niego przez policję. W połowie lektury poderwał nagle spojrzenie w górę i gniewnie zmarszczył siwiejące, rzadkie brwi.

— Wzywałem komisarza Kaczmarka, nie żadnego przodownika! — ryknął.

Blady, wystraszony Nowak dostrzegł w kąciку wykrzywionych ust pryncypała zlepek białej piany. Cholera, to szalenie! Zaraz mnie zabije, przemknęło mu przez głowę. Z heroicznym wysiłkiem przypominał sobie, co miał odpowiedzieć na takie dictum.

— Pan komisarz usilnie prosi o wybaczenie — wyjąkał w końcu. — Obowiązki względem tej sprawy...

— Co wy mi tu pieprzycie, sierżancie?! — Bombka był urażony i rozsierdzony niską szarżą, z jaką przyszło mu się zadawać. — Jaka sprawa jest ważniejsza niż wezwanie do Urzędu Miejskiego?!

Nowak wzdrygnął nerwowo ramionami i zdobył się na odpowiedź:

— Pan komisarz jest aktualnie na tropie zabójcy i uprzejmie prosi jeszcze o kilka dni...
152

— Co?! — Bombka wpadł w delirium. — Jeszcze kilka dni?! Czy ten Kaczmarek oszalał?! Ile jeszcze trupów potrzeba, żeby ruszył się zza biurka i znalazł wreszcie tego rzeźni-ka?! Obywatele tego miasta czują się zagrożeni i domagają się bezzwłocznych działań! Mają do tego święte prawo, albowiem Poznań był, jest i będzie miastem rozmiłowanym w porządku! Mają do tego prawo, albowiem po to nas wybrali. Mają prawo domagać się bezpieczeństwa, albowiem...

Nowak słuchał polityka z szeroko otwartymi ustami. Natchniona przemowa Bombki przypomniła mu nagle osiem błogosławieństw, wygłaszanych co roku z kościelnej ambony. Po raz pierwszy miał okazję wysłuchać mowy, która skrzyła się od sformułowań zarezerwowanych zwykle na czas kampanii wyborczej. Urzeczony kwiecistym stylem wiceprezydenta, wpatrywał się w niego z podziwem.

— ...a my im w tym pomożemy! — zakończył Bombka, chwytając znowu za przyniesione mu kartki. — A wy co się tak gapicie?! Moim świętym obowiązkiem jest zapewnić wszystkim poznaniakom spokój i pomyślność!

— Tak jest! — przytaknął przodownik i dla zwiększenia efektu powtórzył za Bombką: — A my w tym pomożemy!

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, tuż przed trzynastą

W ogródku kawiarni Wincentego Dobskiego panowała zgoła nie miejska atmosfera. Oddzielony od ruchliwej ulicy Fredry pasem kamienicznej zabudowy, siedząc w ocie-
153

nionym zaciszu przy stygnącej kawce, komisarz Kaczmarek studiował z uwagą najnowsze informacje „Dziennika Poznańskiego” na temat wizyty Himmlera w stolicy. Zdjęcie bladego Reichsführera w czarnym mundurze stojącego przed dwoma osiłkami dzwigającymi wieniec pod Grobem Nieznanego Żołnierza zdobyło czołówkowy tekst, okraszony dodatkowo bijącym po oczach tytułem: Wizyta przyjaźni w Warszawie.

Też mi zaszczyt, zachnął się na myśl o antypatycznym polityku z Niemiec. Nie cierpiał nazistów i z trudem znosił ich umizgi do rządu w Warszawie. Gdyby to on kierował państwem, już dawno uciałby ten romans. To trwa stanowczo za długo, rozmyślał. Ostatnie pięć lat zszargało nam opinię na całym świecie...

Zegar na smukłej wieży ewangelickiego kościoła Św. Pawła wybił godzinę trzynastą.

Kaczmarek oderwał wzrok od gazety i powiódł wzrokiem po najbliższym otoczeniu. Cholera, znowu się spóźnia. Amory mu w głowie, czy co?

Zaszeleścił „Dziennikiem”, składając go wpół. U dołu strony dostrzegł frazę Policja bezradna, która rano doprowadziła go do pasji, a teraz przypomniła mu o wścibs-kich dziennikarzach i

o jego cholernym zadaniu. Humor poprawił mu widok krępego mężczyzny o znajomej twarzy.

— No, kuzynie! Widzę, że lata spędzone na froncie stepły u ciebie poznańską punktualność — wyrzucił z siebie wzbierającą z wolna irytację. — Niech zgadnę. Byłeś u Wilhelminy?

Krzepki skrzywił się na ten przytyk.

— Moja Wilhelmina miała metr dwadzieścia w pasie i nie ogoliła się tym razem — odpowiedział również z grubej

154

rury. — Przecież wiesz, że miałem dziś z rana poniuchać wśród moich znajomych z „Dwójki”.

Jan dosiadł się do stolika i zamówił u kelnera pucharek lodów.

— Wiem, wiem. Ale mógłbyś od czasu do czasu zerknąć na zegarek — zrzędził komisarz. — A teraz gadaj, co ustaliłeś.

Krzepki rozejrzał się wokół, a upewniwszy się, że nie ma obok nich niepożądanych słuchaczy, pochylił się nieco ku kuzynowi.

— Sprawy nie mają się dobrze, Biniu — zaczął. — Wypiłem dwa „Kozłaki” z Alfredem Sprutym, kolegą z gimnazjum. Od trzech lat robi w „Dwójce” jako analityk. Teoretycznie wie bardzo dużo, ale akurat w tej sprawie okazał się mało przydatnym źródłem. Kiedy po dobrej godzinie skruszyłem wreszcie jego opory, by w ogóle porozmawiać co nieco na temat nieboszczyków z ich szeregów, przyznał mi szczerze, że to sprawa o specjalnym statusie, o której wie tylko kilka osób z najwyższego kierownictwa. Owszem, inni plotkują o tym na korytarzach, ale ile w tym wszystkim prawdy, Bóg raczy wiedzieć...

— Ale coś ci przecież powiedział? — Kaczmarek dopił chłodną kawę i stracił fusy pod nogi. — Chyba nie przyszedłeś z pustymi rękami?

— Nie denerwuj się, Biniu. Wypiłeś właśnie czarną kawę, a w twoim wieku trzeba już uważać na ciśnienie...

— Jak ci zaraz pacnę! — Komisarz zamachnął się bynajmniej nie teatralnie swoją filiżanką z chodzieskiej porcelany.

— No już dobrze, stary. To za ten żart na początku. Wyjątkowo słaby żart.

155

— Powiesz w końcu?

— Spruty nie był pewny, czy dobrze słyszał, ale ponoć obaj nieboszczycy, znaczy się świętej pamięci Wolski i Pióro, pracowali od miesiąca nad cholernie utajnioną sprawą. Tak tajną, że nie wiadomo nawet, czego dokładnie dotyczyła...

— Też mi odkrycie! — wybuchnął Kaczmarek. — A może jeszcze ten twój kolega powiedział, że obaj zginęli w związku z tą sprawą?!

— Skąd wiesz?

Kaczmarek w ataku furii kopnął nogą w stolik, przewracając filiżankę. Nadchodzący z lodami kelner spojrzał na niego mało przyjaźnie.

— O co chodzi, panowie? — zapytał.

— Nic takiego, proszę nie zwracać uwagi. — Krzepki wepchnął mu w dłoń piątką, który natychmiast uspił jego niepokój.

Oglądając się na nich przez ramię, zniknął w cieniu lokalu. Jan postawił filiżankę kuzyna.

— Szanowny kuzyn strasznie dzisiaj nerwowy — zauważył spokojnie.

— Też byś się pieklił, gdyby zadzwonił do ciebie kretyn z Urzędu Miasta, który ma cię w garści tylko dlatego, że inni idioci postawili go na stanowisku wiceprezydenta! — Kaczmarek dał upust swojej starannie dotąd skrywanej niechęci do Konrada Bombki. — Ale wracajmy do sprawy, bo krew mnie tu zaraz zaleje...

— A tego byśmy nie chcieli. — Krzepki miał teraz przed oczyma zaaferowaną twarz swojego kolegi z „Marynki”. — Sprawa, za którą chodzili Wolski i Pióro, dotyczyła praw-

156
dopodobnie bezpieczeństwa państwa. Sprutemu obilo się o uszy tylko tyle, że szło ponoć o jakieś listy...

— Listy? Kogo do kogo?

— Czort wie. Spruty nie potrafił mi powiedzieć niczego więcej. Zresztą, zaraz potem wystraszył się tego, co mi powiedział, i musiałem mu solennie obiecać, że nie podzielę się z nikim moją wiedzą.

Kaczmarek zamyślił się nad pustą filiżanką. Ach, gdyby dorwać jakiś dziwny list! Gdybyż choć jeden z denatów miał przy sobie coś, co można by odczytać i rozszyfrować! Sprawa na pewno ruszyłaby z kopyta do przodu!

— Zapytałeś go, co myśli o tym, że zabójca zabrał im dokumen-ty? — szturchnął Krzepkiego.

— Tak. Ale nie potrafił mi odpowiedzieć. Stwierdził tylko, że to niezwykle tajemnicza historia...

— Naprawdę? I powiadasz, że ten Spruty jest u nich analitykiem?

Z ostatnich słów komisarza przebijała drwina, przemieszana za skrajnym rozżaleniem.

Zrozumiał, że „Dwójka” jest szczelna bardziej, niż podejrzewał. A to oznaczało, że Lekki i Szkot jeszcze długo będą go wodzić za nos.

Nagle w głębi lokalu powstało jakieś zamieszanie i do ogródka wbiegł chuderlak w granatowym mundurze. Szybko zlokalizował komisarza i w te pędy dopadł do jego stolika.

— Co jest, Nowak? Miałeś tu przyjść w wyjątkowej sytuacji. Stało się coś? —

Kaczmarek poderwał się na równe nogi.

— Ekspertyza z Warszawy — bąknął przodownik, podając przełożonemu szarą kopertę.

— Właśnie przyjechała pociągiem.

157

Szybko się spisali, pomyślał z uznaniem Kaczmarek

0 specach ze stolicy. Nowak miał nadzieję, że szef zapyta go o wizytę w magistracie, ale komisarz miał najwyraźniej inne rzeczy na głowie.

— Brawo, Nowak. Jednak będą z was ludzie — spławił piegusa wątpliwym pochlebstwem i opadł na metalowe krzeselko.

Gwałtownym ruchem rozdarł kopertę z nadrukiem Komendy Głównej. Wydobył z niej złożoną w czworo kartkę, zapisaną gęstym drukiem. U dołu widniała czerwona, rozmazana pieczętka z orłem.

Kaczmarek natychmiast zabrał się za lekturę. Przez dłuższą chwilę przeżuwał dolną wargę, przebiegając zmrużonymi oczyma kolejne linijki. Na koniec głośrio westchnął

1 rzucił pismo na stolik.

— Złe wieści, Biniu? — zagadnął Jan.

— Raczej tak — odparł komisarz. — Pamiętasz, jak ci opowiadałem o zabójstwie pod Dworcem Głównym...

— Tym w trzydziestym dziewiątym?

— W trzydziestym ósmym. Morderca, którego nigdy nie złapano, zostawił wtedy na pruskim bagnecie swoje linie papilarne. Zleciłem porównanie tych śladów z odciskami palców pozostawionych na guziku odnalezionym w bramie niedaleko stąd przy twoim przyjacielu Januszu Piórze.

— Ico?

— I szlus! To ślepa uliczka. Wolskiego i Pióre zabił ktoś inny.

STRASZNE OBRAZKI

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, kwadrans po piętnastej

Zadowolony z siebie wyszedł z kolonialki na rogu Świętego Marcina i Piekar i ruszył w stronę Ogrodowej i cmentarza ewangelików. Miał dostarczyć pilną przesyłkę szewcowi. Rozglądając się wokół, przeszedł na oświetloną słońcem wschodnią stronę Piekar i zatrzymał przy kiosku z prasą, by nabyć najnowszy „Kurier”.

Za plecami usłyszał stukot podkutych metalem butów. Obrócił się na tyle powoli, by nie zwrócić uwagi nadchodzącego z naprzeciwka mężczyzny. Udając, że czyta rozpostartą płachtę gazety, rzucił znad krawędzi czujne spojrzenie w stronę przechodnia i poczuł, że serce uderzyło mu tak mocno, jakby nagle wlał w siebie piekielnie mocne espresso.

To był on! Mężczyzna spod „Arkadii”!

159

Nie wierząc własnemu szczęściu, odczekał skryty za zadrukowanym papierem, aż budzący swoją posturą respekt przechodzień minął go szybkim krokiem, podążając w stronę Ogrodowej. Zaintrygowany kierunkiem, w którym zmierzał nieznajomy, i udając leniwe ociąganie się — dokładnie tak, jak go szkolili — ruszył niespiesznie za nim.

Krępy mężczyzna o szerokich ramionach szedł pewnym krokiem ku ocienionemu zbiegowi Piekar z Ogrodową. Jego wędrowka zakończyła się nagle w zaskakujący sposób — nieznajomy zatrzymał się przed jedną z witryn, zastanawiając się nad czymś głęboko.

To warsztat szewca Krantza! — zorientował się i jego puls przyspieszył jeszcze bardziej. Czyżby coś zwąchał?

Pozorując zainteresowanie kwiatami wystawionymi w wiaderku na chodniku przed kwiaciarnią, obserwował z ukosa postawnego mężczyznę. Nieznajomy trzepnął kilka razy — jakby nerwowo — wierzchem dłoni po spodniach i niespodziewanie wszedł do warsztatu Krantza.

Zamarł w bezruchu, nie wiedząc, co robić, ale po chwili ogarnęła go ogromna radość. Teraz był pewien, że dokończy dzieła. Musiał być tylko ostrożny i cierpliwy.

Bardzo cierpliwy.

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, w tym samym czasie

Dzwonek nad drzwiami hałaśliwie oznajmił, że do warsztatu Johanna Krantza wszedł właśnie klient. Krzepki zamknął drzwi i stanął zaraz za progiem. Za ladą nie dostrzegł ojca

160

Wieża kościoła św. Marcina

fot. 4 Ulica Fredry

Most Chwaliszewski

fot. 8 Most Chwaliszewski i wjazd do dzielnicy prawobrzeżnej

OZNAIŚJ

fot. 9 Widok na Plac Wolności od strony „Arkadii”

fot. 10 Poznaniacy przed kioskiem z gazetami u zbiegu

Al. Marcinkowskiego i ul. Nowej (dziś Paderewskiego)

fot. 11 Plac Wolności

fot. 12 Dawny budynek Prezydium Policji przy ul. Ratajczaka

fot. 13 Plac Sapieżyński (dziś Wielkopolski)

Wilhelminy. W warsztacie było pusto i cicho. Tylko niedokończone obcasy i sklezione półbuty na półkach świadczyły o tym, że ktoś tu dzisiaj pracował.

— Dzień dobry! — zawołał. — Jest tu ktoś?

Odpowiedziało mu słabe echo z korytarza na zapleczu.

— Wika? To ja, Jan!

Znowu nie było żadnej reakcji. Stąpając ostrożnie, przeszedł za ladę i trzymając się framugi drzwi, zajrzał w głąb korytarza.

— Halo! Jest tu ktoś?! — zawołał.

Dopiero teraz gdzieś w mieszkaniu zaszurały czyjeś buty i Krzepki usłyszał powolne kroki zmęczonego, starszego człowieka. Na korytarzu pojawił się właściciel warsztatu. Miał umorusaną twarz, jakby dopiero co przerzucił węgiel w piwnicy.

Na widok Krzepkiego zatrzymał się, wyraźnie zaskoczony.

— Dzień dobry — przywitał się Krzepki.

Wyciągnął rękę i zrobił krok w kierunku Krantza. Ten

jednak nie miał ochoty na żadne oficjalne przywitanie. Stanowczym ruthem ręki osadził gościa w miejscu.

— Wilhelmina ist nicht da — powiedział. — Sie musste mit Mutter zu Einkaufe gehen.

— Ach tak. — Krzepki nie potrafił ukryć rozczarowania. — W takim razie proszę jej przekazać, że będę na nią czekał o siedemnastej pod Ratuszem. Do widzenia.

Cofnął się do warsztatu i szybkim krokiem opuścił to smutne miejsce. Był prawie pewny, że stary Krantz nie wspomni o nim córce ani słowem.

161

g0

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, szesnasta

— I jak tam nasza łysa pała? To znaczy, chciałem powiedzieć pan wiceprezydent? —

Komisarz Zbigniew Kaczmarek był tego popołudnia w dobrym nastroju.

Po rozmowie z Janem w kawiarni Dobskiego obko-łędował raz jeszcze mieszkańców pobliskiej kamienicy przy Fredry, pod którą zginął Janusz Pióro. Efekty były mizerne. Tamtej nocy nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Mieszkaniec, który znalazł ciało, mimo upływu dwóch dni nie przypomniał sobie niczego godnego wpisania do notesu. Kiedy zamiast informacji znowu pokazał komisarzowi zabandażowany palec i zaczął przebąkiwać o odszkodowaniu, Kaczmarek o mało nie dał mu w pysk. Co za gnida! — pomyślał, zanim opuścił jego nędzne lokum. Tuż obok zginął człowiek, a ten dba tylko o swój interes! Mimo mało korzystnej informacji z Warszawy, komisarz szybko pocieszył się myślą, że jednak posunął się o krok do przodu. Lepszy nastrój szefa nie uszedł uwadze przodownika Nowaka.

— Na początku pan Bombka dużo krzyczał i uderzał pięścią w biurko. A potem zaczął przemawiać. Pan wie, panie komisarzu, jak oni potrafią. Zachowywał się tak, jakby występował na wiecu wyborczym. —Piegus miał niezłą uciechę, relacjonując wizytę w Nowym Ratuszu.

— Bo w istocie wybory już się zaczęły, mój chłopcze — poinstruował go łaskawie Kaczmarek. — Az pewnością panowie prezydenci i radni znaleźli już sobie motyw przewodni jesiennej kampanii. Bezpieczeństwo i porządek, mój

162

chłopcze, to będzie tej jesieni hasło w cenie. Albo, mówiąc językiem Biblii, prawo i sprawiedliwość...

Nowak uwielbiał te niezwykle rzadkie momenty, kiedy szef zaczynał wyklądać tonem kaznodziei. Był to widomy znak, że tego dnia ze strony komisarza nie grozi przodownikowi nic złego. A może nawet zdarzyć się cokolwiek dobrego.

— Co powiedział na moją nieobecność? — I po raz kolejny Kaczmarek nie bez zażenowania przypomniał sobie swoje ostatnie spotkanie z wiceprezydentem.

— Przykro powiedzieć, panie komisarzu, ale raczej nie uwierzył moim zapewnieniom, że jest pan na tropie...

— Taaaa. Ja go jeszcze nauczę szacunku dla naszej ciężkiej pracy — sapnął komisarz.

Wrzucił do szuflady niepotrzebne już akta „sprawy Magiery” i podszedł do okna. Do „Arkadii”, w której przed godziną zjadł niezłego dorsza z bukietem surówek, właśnie schodzili się majętni poznaniacy na kawę i coś słodkiego. Na zewnątrz zaczynał się kolejny bez troski koniec tygodnia.

Nagle drzwi gabinetu otworzyły się z trzaskiem i do środka wbiegł zdyszany funkcjonariusz z jakimś papierem w dłoni. Ciągnął za sobą okrągłego, łysiejącego jegomościa w delikatnych drucianych okularkach.

— A pukać was nie uczono?! — huknął Kaczmarek na bezczelnego policjanta, w którym od razu rozpoznał starszego posterunkowego Adamczaka.

— Uprzejmie proszę o wybaczenie, panie komisarzu. — Pąsowy od wysiłku funkcjonariusz gwałtownie szukał oddechu. — To rzecz niecierpiąca zwłoki. Pan Karolczak, 163

dyrektor Archiwum Państwowego, rozpoznał tego... tego mężczyznę z portretu!

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, szesnasta z minutami

Okrągły mężczyzna w okularach nerwowym skinieniem głowy przytaknął słowom posterunkowego.

Komisarz poczuł, jak jego otłuszczone serce podskoczyło mu w jednej chwili do gardła. Dopadł do dyrektora archiwum chwycił go za ramię i zaczął nim potrząsać jak kukielką.

— Jest pan absolutnie pewny, dyrektorze?! J,est pan pewny, że to on?!

Wystraszony tą żywiołową reakcją szef Archiwum Państwowego, przytrzymując wolną ręką ledwo siedzące na nosie okulary, przytaknął niepewnym skinieniem głowy.

— Rozpoznałem go od razu, gdy spojrzałem na ten rysunek pokazany mi przez pana Adamczaka. To on! Od dwóch dni przychodzi do nas wczesnym rankiem i cały dzień przesiaduje nad aktami. A potem wychodzi w ostatniej chwili! To jakiś dziwny facet. Mówi po niemiecku...

— Niemiec?!

— Przedstawił się jako doktor Wiese z Uniwersytetu w Lipsku. Tak przynajmniej wpisał się w naszą księgę.

— I co on tak uporczywie studiuje?!

— Straszne obrazki. — Karolczak pobladł i z wrażenia zdjął okulary. — Zazyczył sobie akta procesów o czary.

— Że co?! — Komisarz Kaczmarek klapnął na krzesło. — Jakie czary?! Co wy mi tu, Adamczak, za bzdury wciskacie?!

164

— Pan słucha, panie komisarzu. — Adamczak nie dał się zbić z tropu. — Tu wszystko się zgadza!

— Co się niby zgadza?!

— Rysopis się zgadza, panie komisarzu — odezwał się znowu Karolczak. — Ten mężczyzna jest jak odbitka rysunku, który mi pokazał pan posterunkowy. Tak samo chudy, tak samo upiorny. I dziwnie się ubiera, bo nawet w środku dnia chodzi w takim cienkim płaszczu i kapeluszu. To naprawdę podejrzane.

Komisarz nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Ogarnęły go wątpliwości. W jaki sposób poważny uczonec z Niemiec mógłby mieć coś wspólnego z makabrycznymi mordami w miejskich bramach?

Kaczmarek podniósł się z krzesła i raz jeszcze zbliżył do Karolczaka.

— Powiada pan, że ten cały Wiese studiuje od dwóch dni akta jakichś czarów?

— Tak, tak! — potwierdził skwapliwie dyrektor archiwum. — Chodzi o akta procesów o czary, czyli o procesy czarownic z osiemnastego wieku...

— Rozumiem. — Kaczmarek nadal nie rozumiał niczego. — A co konkretnie interesuje naszego doktora z Lipska?

Uwadze policjanta nie uszło, że Karolczak drgnął.

— Doktor Wiese zażyczył sobie przede wszystkim nowożytnych rycin oraz opisów dotyczących metod torturowania — wyszeptał, a w jego nerwowych oczkach odmalowało się przerażenie.

— Torturowania?! — zdębiał Kaczmarek. — Jak to: torturowania?!

165

— Po prostu torturowania. Musi pan wiedzieć, panie komisarzu, że z makabrycznych czasów, kiedy sędzono, a potem palono na stosach czarownicy, zachowała się fura mniej lub bardziej drastycznych rycin i opisów tych męczarni. Sądy europejskie między szesnastym a osiemnastym wiekiem zrobiły naprawdę wiele — w jak najgorszym tego słowa znaczeniu — by oskarżone o czary osoby przyznawały się do spółkowania i innych kontaktów z diabłem.

— Z diabłem... — wymamrotał Kaczmarek.

Nagle przypomniał sobie, jak podejrzanego mężczyznę w prochowcu odmalował dozorca Wojcieszak.

— ...zwierzęcy fanatyzm i chęć udowodnienia winy prowadziły do wynaturzeń człowieczeństwa i makabrycznych wręcz tortur na podejrzanym o czary — ciągnął dyrektor archiwum.

— A pan? Skąd to wszystko wie? — wypalił zaskoczony Kaczmarek.

— Jak to skąd? Jako pierwszy przestudiowałem akta dotyczące tak zwanych poznańskich czarownic z osiemnastego wieku. Mamy ich w naszym archiwum całkiem sporo...

— I powiada pan, że tego Wiese interesują metody męczenia ludzi?

— Takie odniosłem wrażenie.

Po słowach szefa archiwum w gabinecie zapadła grobowa cisza. Uwięziona między szybami okna mucha brzęczała dramatycznie, przywodząc Kaczmarkowi na myśl ostatnie jęki rozciągniętej na belce czarownicy.

— To zboczenie, panie komisarzu — odezwał się milczący dotąd Nowak. — Ani chybi zboczenie. Tylko tacy napawają się cudzym cierpieniem.

166

— Po prostu torturowania. Musi pan wiedzieć, panie komisarzu, że z makabrycznych czasów, kiedy sędzono, a potem palono na stosach czarownicy, zachowała się fura mniej lub bardziej drastycznych rycin i opisów tych męczarni. Sądy europejskie między szesnastym a osiemnastym wiekiem zrobiły naprawdę wiele — w jak najgorszym tego słowa znaczeniu — by oskarżone o czary osoby przyznawały się do spółkowania i innych kontaktów z diabłem.

— Z diabłem... — wymamrotał Kaczmarek.

Nagle przypomniał sobie, jak podejrzanego mężczyznę w prochowcu odmalował dozorca Wojcieszak.

— ...zwierzęcy fanatyzm i chęć udowodnienia winy prowadziły do wynaturzeń człowieczeństwa i makabrycznych wręcz tortur na podejrzanym o czary — ciągnął dyrektor archiwum.

— A pan? Skąd to wszystko wie? — wypalił zaskoczony Kaczmarek.

— Jak to skąd? Jako pierwszy przestudiowałem akta dotyczące tak zwanych poznańskich czarownic z osiemnastego wieku. Mamy ich w naszym archiwum całkiem sporo...

— I powiada pan, że tego Wiese interesują metody męczenia ludzi?

— Takie odniosłem wrażenie.

Po słowach szefa archiwum w gabinecie zapadła grobowa cisza. Uwięziona między szybami okna mucha brzęczała dramatycznie, przywodząc Kaczmarkowi na myśl ostatnie jęki rozciągniętej na belce czarownicy.

— To zboczeniec, panie komisarzu — odezwał się milczący dotąd Nowak. — Ani chybi zboczeniec. Tylko tacy napawają się cudzym cierpieniem.

166

1*

Komisarz zmarszczył czoło, intensywnie nad czymś myśląc. Naraz drgnął i raz jeszcze chwycił Karolczaka za ramię.

— Ten Niemiec... Czy on pali papierosy?!

— Bo ja wiem? — archiwista zastanawiał się przez moment. — Chociaż tak! Pamiętam, że gdy dzisiaj zrobił sobie przerwę na obiad, to wrócił z papierosem w dłoni. Tak, na pewno!

— Jakie to papierosy? Jaka marka?

— Tego nie wiem. Ale jak Szwab, to pewnie pali niemieckie...

— Jest pan pewny, dyrektorze?

— Musi mieć swoje, bo u nas szwabskich nie sprzedają.

Kaczmarek zasepił się na moment.

— To za mało — stwierdził. — Za mało, żeby go zatrzymać. Czy zauważył pan jeszcze coś podejrzanego? Niech się pan zastanowi...

Karolczak chwycił się za brodę i zmarszczył brwi.

— To chyba nic takiego... — zaczął bez przekonania — ...ale kiedy wieszalem za niego jego prochowiec...

— Prochowiec?! — poderwał się znowu Kaczmarek.

— Tak, to dziwne, że nosi go w tak ciepłe dni. Otóż gdy przyjąłem od niego ostatnio ten płaszcz, to byłem nieco zaskoczony. Brakowało w nim dwóch guzików...

Komisarz aż klasnął z uciechy w swoje pulchne dłonie.

— Mamy go! — krzyknął w uniesieniu.

I na oczach zbaraniałych świadków odtańczył na środku gabinetu wojenny taniec Apaczów.

167

Warszawa, piątek 4 sierpnia 1944, w tym samym czasie

Rolety w pokoju były szczelnie zasłonięte. Jedyńm źródłem światła była lampa stojąca na biurku.

Wysoki mężczyzna w mundurze studiował w milczeniu wielką mapę wiszącą naprzeciw wejścia. Po jej prawej i lewej stronie widniały szpilki z czerwono-biało-czarnymi chorągiewkami. To był porażający widok.

Cholera, mają nas! — pomyślał i nagły dreszcz przeszedł po jego gładko wygolonym karku.

f

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, kwadrans po szesnastej

Kaczmarek poczuł, że świat wokół niego przyspieszył z prędkością lux-torpedy, kursującej między Poznaniem i Warszawą. Czasu było niewiele i podskórnice czuł, że trzeba działać natychmiast. Błyskawicznie!

Odprawił Adamczaka i Nowaka i podszedł do archiwisty. Dyrektor Karolczak wypił łąpczywie szklankę wody i spojrzał z respektem na potężną sylwetkę komisarza.

— On przyjdzie dziś jeszcze raz, o osiemnastej — powtórzył. — Dwa dni wcześniej przedstawił mi coś w rodzaju listu polecającego z Uniwersytetu w Lipsku. W tym piśmie jego przełożony prosił o wszelką pomoc w wypełnieniu przez niego zadań. Z tego listu wiem, że dzisiaj miał zakończyć kwerendę w naszym archiwum, ale do przerwy o piętnastej nie zdążył przejrzeć wszystkich akt i zapowiedział, że przyjdzie jeszcze raz, po południu. Powołując się na „przyjaźń polsko-niemiecką” poprosił, żeby mógł posiedzieć

168

rf * 0

w czytelni po godzinach. Widać zależy mu bardzo na tym, by skończyć pracę jeszcze dziś.

— A potem wyjedzie nocnym pociągiem do Berlina i tyle go zobaczymy —
dopowiedział Kaczmarek. — Oczywiście nie możemy na to pozwolić.

Pochylił się nad Karolczakiem i zbliżył swoje usta do jego ucha.

— Pan rozumie, że pańska pomoc będzie dzisiaj niezbędna i bezcenna — zaczął
konfidencyjnym tonem. — Proszę wysłuchać mnie uważnie...

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, szesnasta trzydzieści

Kuzyn Jan zadzwonił zgodnie z umową. Punktualnie o wpół do piątej stojące na biurku
komisarza ebonitowe cacko za-kołysało się od drgań. Niespodziewane wieści od komisarza
wprawiły Krzepkiego w euforię.

— Tylko błagam cię, Biniu: nie mów nic szefowi! — Głos Jana w słuchawce aż
wibrował emocjami. — Zróbmy to własnym sumptem, a jak drań się przyzna, wtedy
przekażemy go policji.

Komisarz starł pot z czoła i wpadł we wściekłość.

— Czy ci odbiło? — wrzasnął w słuchawkę. — Do czego mnie namawiasz?! To ja jestem
policja, do jasnej dupy! Za takie sprawy wylatuje się ze służby na zбитy pysk, w dodatku z
wilczym biletem! Muszę zawiadomić szefa, że mamy nowy trop!

— Nie chcę, żeby on coś zepsuł! — Kapitan nie dawał za wygraną. — Jeśli coś nie
wypali, nie podarowałbym sobie

169

tego! Jestem to winny Januszowi! Czy ty to w ogóle rozumiesz, Biniu?!

— A jak myślisz?! Jasne, że rozumiem! Ale w policji ważna jest dyscyplina! Ślubowałem
posłuszeństwo przełożonym! — Kaczmarek niemal wyrecytował ostatnią frazę. — Ale nie
martw się, Kayser jest swój chłop. Może przymknie oko...

— Nie łudź się, Biniu! Nie przymknie! Błagam cię: zróbmy to, a potem przekażmy łotra
w ręce policji! Zabiję się, jeśli jakiś granatowy dureń...

— No, no! Miarkuj się, kuzynku! Za dużo sobie pozwalasz!

— .. jeśli jakiś granatowy dureń spłoszy gagatka albo nie daj Boże go sprzątnie!

Rozumiesz, Biniu?! Zabiję się! Masz to jak w banku!

Siła determinacji bijąca ze słuchawki poraziła komisarza. Wiedział, że Janek to gorąca głowa.
Pamiętał, jak ciężko przeżył śmierć kolegi ze szkolnej ławki, i czuł, że teraz nie rzuca słów na
wiatr. A w tej sprawie Kaczmarek nie potrzebował kolejnych nieboszczyków, a już na pewno
męczenników. Dwóch denatów na okrasę tej tajemniczej historii to i tak było aż nadto. A już
z pewnością trzeciego nieboszczyka nie przeżyłby szanowny pan wiceprezydent.

— To szantaż, wiesz o tym — warknął do słuchawki, wściekły na kuzyna.

— Wiem. Ale nie blefuję! Zabiję się, a ty mnie będziesz miał na sumieniu! Słyszysz
mnie, Biniu?! Jesteś tam jeszcze, ty stary pierdoło?!

Kaczmarek dyszał ciężko. Ciężar odpowiedzialności uciskał mu klatkę piersiową. Od kilku lat
miał problemy z sercem. Choroba niedokrwienność, psia mać!

— Zgoda...

170

— Co powiedziałeś?! — Po drugiej stronie słuchawki dało się wyczuć euforię.

— Nie każ mi tego powtarzać. Zrobimy to...

— Biniu! Kocham cię!

— ...i wiem, kto nam w tym pomoże.

— Kto?!

— Dowiesz się w swoim czasie.

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, tuż przed siedemnastą

Knajpa „U Grubego Jasia” tonęła w chmurze dymu z tanich papierosów. Przez liche
zaparowane okienka przedostawało się tu niewiele światła, w którym ledwo widać było
twarze bywalców pochylonych nad kuflami z piwem. Gdzieś z niewidocznej głębi lokalu

dobiegała skoczna muzyka grana na harmonii. Podziemne życie Chwaliszewa kwitło, owocując szemranymi interesami ubijanymi przy stoliku albo nieprzystojnymi ofertami szeptanymi na ucho przez podpierające ściany tego nędznego przybytku, wyzywająco skąpo odziane, acz mało apetyczne kokoty.

Jedna z nich uczepliła się szyi dziwnego pękatego gościa i owionęła go oddechem przywodzącym na myśl piątkowego śledzika, zapitego po męsku setką wódki. Nienagannie skrojony granatowy garnitur niecodziennego gościa spowodował, że rzuciła się na niego serdecznie, licząc na szybki i niezły zysk.

— Poszła, stara zdiro! — Mężczyzna odpędził ją siarczystym ciosem w podbródek, po którym panienka wylądowała pod szynkwasem.

171

Krzyk zranionej damy lekkich obyczajów odwrócił na moment uwagę klientów lokalu od wyszczerbionych kufli. Najbliżej siedzący menele rzucili na komisarza puste, wypalone spojrzenia, ale najwyraźniej uznali, że incydent z kokotą mało ich obchodzi, bo szybko zatopili wzrok i usta w lichej pianie zdobiącej napój zwany tu górnolotnie piwem.

Kaczmarek zignorował złorzeczenia ladacznicy i ruszył ku miejscu, w którym urzędował Gruby Jasiu. Tłuściutki właściciel knajpy omiół go podejrzliwym wzrokiem, który rzadko się mylił w ocenie nowych klientów. Komisarz poczuł, że Gruby Jasiu wie, kim jest szeroki nie tylko w barach gość, który właśnie poskromił kokotę.

— Piwko? — Gruby Jasiu uprzedził komisarza, uśmiechając się do niego całym swoim rzadkim uzębieniem.

— Może innym razem — odparował Kaczmarek, rozglądając się po zadymionym pomieszczeniu. — Szukam Ślepego Antka.

Właściciel knajpy momentalnie skwaśniał.

— A kto pyta?

— Przyjaciel.

— Cha, cha! Nie ma takich. A poważnie?

— Przyjaciel.

Gruby Jasiu sięgnął po stojący na metalowym blacie kufel obrócony do góry dnem.

— Widzę, że szanowny pan musi jednak wypić piwka, żeby się szanownemu panu dowcip wyostrzył..

Dwa ostatnie słowa Gruby Jasiu wypowiedział już z potężną jak kilogramowy worek cukru pięścią na swoim

172

#

Krzyk zranionej damy lekkich obyczajów odwrócił na moment uwagę klientów lokalu od wyszczerbionych kufli. Najbliżej siedzący menele rzucili na komisarza puste, wypalone spojrzenia, ale najwyraźniej uznali, że incydent z kokotą mało ich obchodzi, bo szybko zatopili wzrok i usta w lichej pianie zdobiącej napój zwany tu górnolotnie piwem.

Kaczmarek zignorował złorzeczenia ladacznicy i ruszył ku miejscu, w którym urzędował Gruby Jasiu. Tłuściutki właściciel knajpy omiół go podejrzliwym wzrokiem, który rzadko się mylił w ocenie nowych klientów. Komisarz poczuł, że Gruby Jasiu wie, kim jest szeroki nie tylko w barach gość, który właśnie poskromił kokotę.

— Piwko? — Gruby Jasiu uprzedził komisarza, uśmiechając się do niego całym swoim rzadkim uzębieniem.

— Może innym razem — odparował Kaczmarek, rozglądając się po zadymionym pomieszczeniu. — Szukam Ślepego Antka.

Właściciel knajpy momentalnie skwaśniał.

— A kto pyta?

— Przyjaciel.

— Cha, cha! Nie ma takich. A poważnie?

— Przyjaciel.

Gruby Jasiu sięgnął po stojący na metalowym blacie kufel obrócony do góry dnem.

— Widzę, że szanowny pan musi jednak wypić piwka, żeby się szanownemu panu dowcip wyostrzył...

Dwa ostatnie słowa Gruby Jasiu wypowiedział już z potężną jak kilogramowy worek cukru pięścią na swoim

172

spoconym wdzianku, w dodatku przewieszony przez szyn-kwas.

— Spójrz na to, stary capie — Komisarz przeciągnął grubasa przez pół lady, aby ten mógł rzetelnie zaznajomić się z jego służbową legitymacją. — Jeśli zaraz nie dowiem się, gdzie znajdę Ślepego Antka, to zapomnisz w ogóle, co to jest dowcip. W trzy minuty mogę zamknąć tę twoją budę z dziwkami i podrabianym piwem, więc...

— Oczywiście, panie szefie. To nieporozumienie, upraszam o wybaczenie... — bąknął Gruby Jasiu, uwolniony z żelaznego uścisku. — Ślepy Antek siedzi o... o tam!

Brudny paluch wycelował w najciemniejszy kąt speluny. Kaczmarek ani myślał dziękować za wskazówkę. Szerokim krokiem podszedł do porysowanego nożem stolika, przy którym przy butelce mętnej wódki siedział ogromny osobnik z czarną przepaską na prawym oku. W wytartych, nieco przykrótkich spodniach, spod których wystawały potężne, żylaste łydki, wyglądał niczym korsarz z Karaibów. Ślepy Antek, zwany w tej okolicy „Dumą Chwaliszewa”, właśnie kończył obiad, zgarniając z talerza dłońmi szerokimi jak brony resztki kwaszonej kapusty.

Zaaferowany Gruby Jasiu wychylił się zza baru, by zobaczyć, co wyniknie z niespodziewanej wizyty tęgiego policjanta. Jakież było jego zdumienie, gdy Ślepy Antek poderwał się na widok komisarza i krzyknął wesoło:

— Biniu! Kopę lat! Co cię tu sprowadza?!

Zdumiony Gruby Jasiu ledwo dosłyszał zduszone słowa komisarza:

— Interes. Mam pilną sprawę do załatwienia.

173

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, siedemnasta

Krzepki siedział na ławeczce przed głównym wejściem do Ratusza, przysłaniając dłonią oczy. Chowająca się z wolna za zachodnią pierzeję Rynku słońce raziło go w źrenice, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Przypomniało mu to na moment nie tak dawne, frontowe chwile, kiedy w okopach spoglądał za siebie. Zastanawiał się wtedy, czy tak samo pięknie wygląda słońce w Poznaniu i czy takim właśnie widzi je Wika. Teraz czekał na nią w samym środku miasta i wcale nie był pewny, czy przyjdzie.

Ratuszowy zegar wybił piątą, a smętne echo metalicznych uderzeń poniosło się po garbatym bruku opustoszałego Rynku. No tak, przecież to piątek, pomyślał. Nie wszyscy pracują w sobotę, więc już teraz cieszą się wolnością w domach.

Chciał, żeby przyszła. Chciał jej powiedzieć, że na kilka dni muszą się rozstać. Nie zamierzał jej wyjaśniać, dlaczego, ale chciał dać jej jasny sygnał, że nie ma niczego złego na myśli.

Wręcz przeciwnie. Chciał, żeby była pewna jego uczucia. Chciał jej powiedzieć, że jej ojciec...

Przejeżdżający obok ławki rower zadzwonił raźnie, wytrącając go z coraz bardziej gorzkich rozważań. Niech już przyjdzie, pomyślał. Niech przyjdzie, a wtedy wszystko sobie wyjaśnimy.

Rozglądał się na wszystkie strony, ale nigdzie nie dostrzegł dumnej, wyprostowanej sylwetki dziewczyny, którą kochał. Zerknął na zegarek. Kwadrans po piątej. Jeszcze pięć minut. Jeśli nie przyjdzie...

174

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, siedemnasta

Krzepki siedział na ławeczce przed głównym wejściem do Ratusza, przysłaniając dłonią oczy. Chowająca się z wolna za zachodnią pierzeję Rynku słońce raziło go w źrenice, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Przypomniało mu to na moment nie tak dawne, frontowe chwile, kiedy w okopach spoglądał za siebie. Zastanawiał się wtedy, czy tak samo pięknie wygląda słońce w Poznaniu i czy takim właśnie widzi je Wika. Teraz czekał na nią w samym środku miasta i wcale nie był pewny, czy przyjdzie.

Ratuszowy zegar wybił piątą, a smętne echo metalicznych uderzeń poniosło się po garbatym bruku opustoszałego Rynku. No tak, przecież to piątek, pomyślał. Nie wszyscy pracują w sobotę, więc już teraz cieszą się wolnością w domach.

Chciał, żeby przyszła. Chciał jej powiedzieć, że na kilka dni muszą się rozstać. Nie zamierzał jej wyjaśniać, dlaczego, ale chciał dać jej jasny sygnał, że nie ma niczego złego na myśli.

Wręcz przeciwnie. Chciał, żeby była pewna jego uczucia. Chciał jej powiedzieć, że jej ojciec...

Przejeżdżający obok ławki rower zadzwonił raźnie, wytrącając go z coraz bardziej gorzkich rozważań. Niech już przyjdzie, pomyślał. Niech przyjdzie, a wtedy wszystko sobie wyjaśnimy.

Rozglądał się na wszystkie strony, ale nigdzie nie dostrzegł dumnej, wyprostowanej sylwetki dziewczyny, którą kochał. Zerknął na zegarek. Kwadrans po piątej. Jeszcze pięć minut. Jeśli nie przyjdzie...

174

Kwadrans później podniósł się z ławki i krokiem człowieka idącego na szafot ruszył w stronę Góry Zamkowej. Wiedział, że będzie tam dużo wcześniej niż kuzyn.

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, siedemnasta trzydzieści

Oderwał się od straganu z kwiatami i leniwym, nie wzbudzającym podejrzeń tempem poszedł za wąsatym brunetem. Z otwartego okna gmachu Nowego Ratusza spojrziała na niego przez moment sprzątaczką w chustce na głowie. Miał wrażenie, że myjąc parapet, skłoniła mu się z ironicznym uśmiechem. Szybko uznał jednak, że mu się przywidziało. To przez te nerwy, uśmiechnął się cierpko.

Śledzony przez niego brunet wspinał się teraz w górę wąską, zagłębioną w cieniu ulicą Zamkową. Począł, aż zniknie za zakrętem, i dopiero wtedy ruszył jego śladem.

Idzie w stronę kościoła Franciszkanów, pomyślał. Jaka szkoda, że jeszycze nie jest ciemno...

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, kwadrans przed osiemnastą

Usiadł na ławeczce pod kościołem — ze wspaniałym widokiem na Wzgórze Przemysła, na którym od wieków stały resztki murów piastowskiego zamku króla Przemysła 11. Westchnął nad jego krótkim panowaniem i plotkami o niegodnej śmierci jego żony Ludgardy — a może jednak przede wszystkim nad swoją niedolą. Smutne myśli o Wice

175

i jej ojcu starał się jednak odgonić jak najdalej. Musiał się teraz skupić na czymś, co uzgodnił przed godziną z kuzynem. Jeśli chcieli ująć zabójcę Janusza, plan musiał być wykonany perfekcyjnie. Początek miał nastąpić właśnie tu, w poznańskim Archiwum Państwowym.

Mimo że brukowana uliczka Franciszkańska tonęła już w cieniu, unoszące się w wieczornym letnim powietrzu ciepło czyniło wypoczynek na ławce przyjemnością. Szkoda, że nie mam ze

sobą gazety, pomyślał. Ciekawe, co też nasz rząd uzgodnił z Himmlerem? Najpierw nasz minister był w Berlinie, teraz Reichsfuhrer przyjechał do Warszawy... Janusz Pióro miał rację, to wszystko jest lekko podejrzone.

Spojrzał w stronę Pocztowej akurat w momencie, kiedy zegar na Ratuszu wybił szóstą. Spojrzał — i od stóp po szyję jego ciało przeszedł dreszcz podniecenia. Od strony placu Sapieżyńskiego wspinał się wąskim chodnikiem w górę szczupły, wysoki mężczyzna w garniturze i lekkim kapeluszu. Przez lewe ramię przewieszony miał szary prochowiec. W prawej dłoni trzymał okazałą skórzaną teczkę z metalowym zatraskiem.

Nieznamy ewidentnie zmierzał w stronę archiwum. Kiedy mijał Krzepkiego, ten udał, że pochyla się, by zawiązać sznurówkę przy bucie — w ten sposób rzucił szybkie spojrzenie na twarz mężczyzny.

Miał wychudłe policzki, które kontrastowały z wydatnymi kośćmi. Ostry nos i zacięte rysy sprawiały, że już na pierwszy rzut oka nie wzbudzał zaufania, a tym bardziej sympatii.

Rzeczywiście, ma w sobie coś szatańskiego, pomyślał Krzepki. Opis sporządzony przez kuzyna jak ułaj pasował do postaci tajemniczego mężczyzny!

176

Naukowiec z Lipska skręcił ku szczytowi wzgórza i stąpając ostrożnie po wyslizganych kamiennych schodkach, przekroczył bramę zamkową. Znalazł się na dziedzińcu archiwum, znikając Krzepkiemu z oczu.

Pewnie wszedł do budynku, pomyślał Krzepki. Gdzie on jest, do cholery?! Gdzie jest Biniu?! Nerwowo spoglądał na zegarek i rozglądał się na boki, ale komisarz Zbigniew Kaczmarek najwyraźniej nie spieszył się do swoich obowiązków.

Nagle po nierównym bruku Franciszkańskiej zastukotały końskie kopyta. Od strony ulicy Nowej przed kościół podjechała dorożka. Z pojazdu z trudem zeskoczył tęgi jegomość w wytartej marynarce i równie starej czapce z kaszkietem. Dopiero gdy niedbałym ruchem zapłacił fiakrowi, Krzepki rozpoznał w nim swojego kuzyna.

Poderwał się z ławki i podbiegł do Kaczmarka.

— Miałeś być przed szóstą! — rzucił do niego z przy-ganą.

— Ciiiiii! — Komisarz zgromił go tak łagodnie, jak tylko potrafił. — Nie tak głośno, kuzynie. Nie chcę, by cały Poznań kibicował naszej nikczemnej akcji.

— Kiedy tu nikogo nie ma.

— Mam nadzieję, Janeczku. Mam nadzieję. I co, przyszedł?

Oczy Krzepkiego zapłonęły blaskiem emocji i nadziei.

— Tak, punktualnie o szóstej. I muszę ci powiedzieć, że jest kropka w kropkę taki, jak ci go opisał ten dozorca z Kantaka...

— Diaboliczny?

— Prawdziwy Lucyfer! To co teraz robimy, szefie Biniu?!

— Jak to co? Czekamy.

177

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, osiemnasta trzydzieści

Co oni robią?! I co to za jeden, ten gruby niechluj w zbyt małej marynarce, który przyjechał dorożką i w dodatku zapłacił fiakrowi za kurs?! O co w tym wszystkim chodzi?!

Sytuacja skomplikowała się w ciągu ostatniej godziny tak potężnie, że rozważał już rezygnację. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że grubas towarzyszący śledzonemu przez niego mężczyźnie utrudnia, a nawet uniemożliwia skuteczną akcję w starym stylu. Jeśli nie odejdzie, cała akcja spali na panewce. Cholera jasna!

Wychylił się ostrożnie z bramy przy Zamkowej i upewnił się, że dwaj mężczyźni nadal tkwią na ławce przed kościołem. Nie zdążył jednak zakląć, bo nagle usłyszał za sobą czyjeś szybkie kroki. Instynktownie cofnął się w głąb obskurnego podwórza.

W górę Zamkowej biegł wielki, ciężki drab z czarną opaską na oku.

Bal przebierańców, czy co?! Zupełnie skołowany wyjrzał zza muru w stronę kościoła. „Pirat” poklepał się wylewnie z grubasem i podał temu trzeciemu szeroką dłoń.

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, w tym samym czasie

— To jest Antek, juchta* z Chwaliszewa. — Kaczmarek przedstawił szeptem nowego towarzysza: — hta - chuligan, sza swojemu kuzynowi. - A to mój łobuz krewniak Jan.

178

H

— Witam szanownego pana. — Żelazny uścisk dłoni potężnego Antka z przepaską na oku zrobił na Krzepkim ogromne wrażenie.

— Witam — wybelkotał, zupełnie zbity z tropu.

Biniu wspominał mu o „starym znajomym z doświadczeniem”, który pomoże im w przeprowadzeniu akcji, ale w najgorszych snach Krzepkiemu nie przyśniłoby się, że „stary znajomy” będzie miał fizjonomię chwaliszewskiego zabijaki.

— Jesteś pewny, że... — szepnął Kaczmarkowi na stronie.

— Absolutnie. To zawodowiec — uciał komisarz. — Ma wobec mnie dług i właśnie go spłaca.

Pocieszony tym stanowczym zapewnieniem, Krzepki uśmiechnął się niewyraźnie do Ślepego Antka. W odpowiedzi ten ostatni zaprezentował mu swoje niepełne uzębienie.

— To co robimy, panie szefie? — Ślepy Antek podrapał się obok swojego pustego oczodołu, uśmiechając się zawadiacko do Kaczmarka.

— Zaraz się okaże — komisarz spojrział w stronę archiwum.

Po śliskich schodkach biegł ku nim okrągły, rozdygotany dyrektor Karolczak. Tak mu się spieszyło z wieściami, że zapomniał swoich okularów i nie widząc dobrze kamiennych stopni, omal nie wyłożył się jak długi tuż za bramą.

— Jest! — krzyknął do trójki pod kościołem. — Właśnie zamówił ostatnie akta i za chwilę będzie je czytał!

— Pan chyba zwariował, Karolczak! — zgromił go Kaczmarek. — Co się pan tak drzesz jak opętany?!

Okrągły, spocony jak polna mysz dyrektor ledwie wytrzymał huśtawkę emocji. Stanowczo nie nadawał się do

179

konspiracyjnej roboty i komisarz zastanawiał się przez chwilę, czy w ogóle puścić go z powrotem do jego placówki.

— Ile osób siedzi w czytelni? — skierował sprawę na właściwe tory.

— Trzy albo cztery — wysapał Karolczak.

— Weź się pan w garść, do jasnej dupy! Trzy czy cztery?! Nawet tego pan nie pamięta?!

— Trzy. To znaczy cztery.

— I gówno! — zaklął Kaczmarek, co oznaczało, że się zdenerwował. — Musimy zatem poczekać, aż szanowny doktor Wiese, czy jak tam temu Belzebubowi na chrzcie dali, skończy swoją pracę i opuści archiwum. Podejrzewam, że to trochę potrwa, a w tym czasie pozostała tłójka opuści czytelnię i uda się do domów.

— Rozumiem, Biniu. Znaczą się, tak jest szefie — wyrwało się Ślepemu Antkowi. Ręce świerbiły go do bitki, ale musiał się powstrzymać.

— Czyli co? — Rozbiegane oczka Karolczaka tańczyły wokół, świadcząc o jego kłopotach z koncentracją.

Kaczmarek objął go szeroko ramieniem.

— Czyli szanowny pan dyrektor wraca — ale spokojnie! — na salę i udaje, że wszystko jest w jak najlepszym porządku... Lubimy porządeczek, prawda? No więc wraca pan do czytelni i czyta tam sobie, co chce. Kiedy jednak nasz niemiecki gość zechce opuścić pańskie szacowne archiwum, proszę łaskawie minutkę wcześniej zapalić nam tę latarnkę, która wisi

nad wejściem do budynku, dobrze? A o resztę proszę się już nie martwić, nasza w tym głowa. A może raczej ręce.

180

— To mi się podoba — skwitował Ślepy Antek, uderzając swoją szeroką pięścią w rozpostartą dłoń.

Oparł się o ścianę kościoła i sięgnął do kieszeni po papierosa.

Karolczak zbladł, wziął dwa głębokie oddechy i poszedł z powrotem do siebie.

Mam nadzieję, że nie mamy żadnych świadków, pomyślał gorzko Kaczmarek. Każdy normalny człowiek uznałby nas za stado pomyleńców.

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, około dwudziestej

Przedostatni miłośnik starych archiwaliów — mężczyzna o wyglądzie księgowego jakiejś podrzędnej firmy — skłonił się nisko siedzącemu za biurkiem u szczytu czytelni dyrektorowi Karolczakowi i odkładając przed nim szarożółte, przewiązane starym sznurkiem teczki, opuścił salę. W rogu czytelni, przy ostatniej włączonej lampce, studiował akta tajemniczy naukowiec z Lipska.

Był tak pochłonięty swoją pracą, że nie spostrzegł, iż — poza szefi archiwum — pozostał na sali sam. Z wypiekami na pociągłej twarzy tkwił pochylony nad osiemnastowiecznymi zapiskami i wynotowywał z nich coś piórem na wydobytych z teczki tekturowych kartach. Tyle zauważył Karolczak, gdy pod pozorem odstawienia jednego z segregatorów na półkę zrobił sobie spacer między rzędami stołów. Poprzez szkła okularów dostrzegł jeszcze, że karty naukowca z Niemiec miały nadrukowane dziwne tabele, które Wiese skrupulatnie wypełniał.

181

Ósma, stwierdził Karolczak, zerkając na zegarek. Lekko uniósł się nad biurkiem i spojrzał na dwa stosy przeglądanych przez Niemca szpargałów. Ten po prawej stronie ławki rósł w szybkim tempie, bo Wiese pracował szybko i sprawnie. Po lewej jego ręce pozostała jeszcze tylko jedna, zresztą wąska teczka do przestudiowania.

Zajmie mu to najwyżej kwadrans, ocenił szef archiwum. Ciśnienie znowu mu skoczyło.

Zrozumiał, że sprawa dojrzeła do przesilenia.

Powoli wstał z krzesła i niespiesznym krokiem podszedł do porcelanowego pstryczka obok drzwi.

Ostatni czytelnik archiwaliów nawet nie oderwał wzroku od akt.

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, dwudziesta z minutami

Grupka postrzeleńców spod kościoła Franciszkanów poderwała się na równe nogi.

Największy z nich obmacał swoje kieszenie i uspokojony nieco się odprężył. Grubas szybkim ruchem wskazał swoim towarzyszom jakieś miejsce przy bramie prowadzącej na dziedziniec Archiwum Państwowego. Rozglądał się przy tym uważnie, jakby sondując, czy ktoś przypadkiem nie obserwuje ich gorączkowych przygotowań.

O co w tym wszystkim chodzi?! Jeszcze bardziej zaintrygowany, cofnął znowu swoją nieogoloną twarz za załom muru. Nie chciał ryzykować. Tym bardziej teraz, kiedy sprawa nabrała niezmiernie interesujących kształtów.

182

Poznań, piątek 4 sierpnia 1944, dwudziesta trzydzieści

Doktor Wiese zamknął starannie swoją skórzaną teczkę, narzucił na siebie prochowiec, chwycił pod pachę stertę przestudiowanych akt i z teczką w drugiej dłoni podszedł do biurka Karolczaka.

Łagodnym ruchem odłożył na nim archiwalia i uśmiechnął się sztucznie.

— Danke schön für alles. Auf wiedersehen — powiedział i zakładając kapelusz, wyszedł z czytelni.

Spocony Karolczak podbiegł do okna, ale Niemiec zdążył już pokonać dziedziniec i zniknął mu z oczu.

W bramie oddzielającej dziedziniec Archiwum Państwowego od Starego Miasta Wiesie zatrzymał się, postawił na moment teczkę na pochyłym bruku i sięgnął po papierośnicę. Jasny płomień zapalniczki był ostatnim obrazem, który zapamiętał. Potężny cios w tył głowy zwałił go z nóg.

Osuwając się na ziemię, usłyszał jeszcze szybkie kroki kilku osób i nerwowy okrzyk:

— Do góry z nim!

Zaraz potem zapadł się w ciemność.

Gdzieś pod Kutnem, piątek 4 sierpnia 1944, dwudziesta druga

t

Monotonny stukot żelaznych kół z trudem przebijał się przez podłogę i ściany do wnętrza luksusowej salonki. Mrok za oknami z rzadka przecinała samotna latarnia, stojąca przy torach.

183

Dziki kraj, pomyślał z przyjemnym poczuciem wyższości mężczyzna w czarnym uniformie, siedzący wygodnie w obitym skórą fotelu. Był już grubo po czterdzieście, ale w rysy jego twarzy wpisana była jakaś naiwna, dziecinna niewinność. Wspierając głowę na łokciu, drapał się palcami po wygolonej nad uszami czaszce.

Na stoliczku obok stała butelka whisky. Sięgnął po kieliszek i wychylił go jednym haustem. Rozkoszne ciepło rozlało mu się po gardle.

Zadowolony z siebie sięgnął po leżący obok butelki skoroszyt. Na tekturowym wierzchu widniała wymalowana flamastrem wielka litera h. Mężczyzna z wesołym, krotko-chwilnym uśmiechem otworzył teczkę.

W środku zobaczył czarno-białe zdjęcia, spięte metalowym zszywaczem.

Na pierwszym planie dostrzegł rycinę przedstawiającą palenisko. W wysokich językach płomieni czyjaś wykrzywiona bólem twarz wołała o miłosierdzie.

Mężczyzna w fotelu uśmiechnął się z satysfakcją i wyraźnie rozluźniony znowu sięgnął po whisky.

Zapowiada się ciekawy wieczór, pomyślał.

7

TWARZĄ W TWARZ

Poznań, sobota 5 sierpnia, trzecia w nocy

— Musiałeś go rąbnąć tak mocno, pierdoło saska?! — Głos Kaczmarka był coraz bardziej nerwowy.

— Biniu, znaczy się szefie, nie chciałem — jękał się drab, pochylony nad nieprzytomnym mężczyzną, leżącym na barłogu w rogu piwnicy.

Z rzadką w swoim życiu czułością Ślepy Antek z Chwa-liszewa cucił Niemca mokrą ścierką, którą wyżywał co chwila nad emaliowaną miednicą.

— Co za poruta*! Wszystko nam się pomajtało**! — komisarz chodził w tę i z powrotem w poprzek szerokiego, oświetlonego jedynie chybottliwym światłem świeczek pomieszczenia. — Jak ten Szwab nie dojdzie do siebie, to leżymy jak plyndz na patelni. Jak ja to wszystko wytłumaczę Kayserowi?

* PORUTA — wsty kompromitacja

**POMAJTAĆ —

pomieszać

185

— Spokojnie, kuzynie. — Krzepki tonował niepokój Kaczmarka. — Niemiaszek żyje, dycha wyraźnie. Prędzej czy później dojdzie do siebie.

— Mam nadzieję, do jasnej dupy. — Kaczmarek już dawno rzucił w kąć idiotyczną czapkę i szarpał teraz prawicą swoje rzadkie włosy. — Mówiłem ci, Antek: „puknij go lekko”. Ale ty jak zwykle, uszy miałeś nad Wartą...

— Kiedy to naprawdę było lekko. Jak Boga Kocham! — zaklinał się zrozpaczony juchta, przykładając do czoła Niemca wilgotną szmatkę.

— Ty mi o Bogu nie opowiadaj! — zaperzył się Kaczmarek. — Lepiej doprowadź klienta do porządku, bo jak ci zamaluję w gębę, to ruski miesiąc popamiętasz! Ładnie mi się odwdzięczasz za tamtą umorzoną sprawę...

Komisarz w ostatniej chwili ugryzł się w język, ale jego uwadze nie uszły szeroko otwarte ze zdumienia oczy kuzyna.

— Biniu, co ty opowiadasz?! — Krzepki był w szoku.

— Nic ciekawego, wierz mi — odburknął mu Kaczmarek.

Żeby uciec od niewygodnego tematu, zabrał się gorliwie za przeglądanie teczki nieprzytomnego delikwenta.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, trzecia z minutami

Mężczyzna w płaszczu stojący w jednej z czarnych bram na Grobli palił papierosa za papierosem, ciskając pety gdzie popadnie. To, co kilka godzin temu zobaczył na Franciszkańskiej, nie mieściło mu się w głowie. Trzech bandytów

186

ogłuszyło mężczyznę wychodzącego z Archiwum Państwowego, porwało go i wrzuciło jak worek ziemniaków do dorożki, przygotowanej na zapleczu kościoła Franciszkanów! Ten największy, bez oka, przypominający recydywistę z Młyńskiej, chwycił lejce w swoje ogromne jak bochny chleba dłonie i zaciął nimi z pasją, pędząc na złamanie karku pustą Nową w stronę Rynku.

Z trudem za nimi nadażył, biegnąc niczym cień pod murami kamienic po wyludnionych staromiejskich uliczkach. Zdyszany dobiegł przez Wodną i Garbary na tonącą już w mroku Groblę. Chcą go utopić przy moście św. Rocha, czy jak?!

Nie, jednak nie! Porywacze zatrzymali pojazd przed jedną z odrapanych kamienic ulicy Za Groblą, zwróconych frontem do rzeki. Ten największy i najbardziej odrażający przerzucił ciało przez ramię i wraz z towarzyszami zniknął w ciemnej klatce schodowej.

Co robić? — zastanawiał się gorączkowo. Po tylu godzinach na nogach był już głodny i wściekły. Wiedział jednak, że nie może odpuścić.

Nie w takiej chwili.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, kwadrans po trzeciej

Z teczki wypadły na wilgotną, betonową podłogę dziesiątki zapisanych, sztywnych kart. Kaczmarek schylił się z wysiłkiem i czerwony jak marchewka uniósł w stronę świeczek ustawionych na parapecie piwnicznego okienka jedną z szarych tekturek. Podniósł i zbaraniał.

187

ogłuszyło mężczyznę wychodzącego z Archiwum Państwowego, porwało go i wrzuciło jak worek ziemniaków do dorożki, przygotowanej na zapleczu kościoła Franciszkanów! Ten największy, bez oka, przypominający recydywistę z Młyńskiej, chwycił lejce w swoje ogromne jak bochny chleba dłonie i zaciął nimi z pasją, pędząc na złamanie karku pustą Nową w stronę Rynku.

Z trudem za nimi nadażył, biegnąc niczym cień pod murami kamienic po wyludnionych staromiejskich uliczkach. Zdyszany dobiegł przez Wodną i Garbary na tonącą już w mroku Groblę. Chcą go utopić przy moście św. Rocha, czy jak?!

Nie, jednak nie! Porywacze zatrzymali pojazd przed jedną z odrapanych kamienic ulicy Za Groblą, zwróconych frontem do rzeki. Ten największy i najbardziej odrażający przerzucił ciało przez ramię i wraz z towarzyszami zniknął w ciemnej klatce schodowej.

Co robić? — zastanawiał się gorączkowo. Po tylu godzinach na nogach był już głodny i wściekły. Wiedział jednak, że nie może odpuścić.

Nie w takiej chwili.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, kwadrans po trzeciej

Z teczki wypadły na wilgotną, betonową podłogę dziesiątki zapisanych, sztywnych kart. Kaczmarek schylił się z wysiłkiem i czerwony jak marchewka uniósł w stronę świeczek ustawionych na parapecie piwnicznego okienka jedną z szarych tekturek. Podniósł i zbaraniał.

187
W równych, nadrukowanych liniach z niemieckimi hasłami widniały naniesione błękitnym atramentem notatki rzekomego naukowca. U dołu wszystkich kart Kaczmarek odkrył ten sam skrót: „Wie”.

Ten „Wie” to niby Wiese?! — Zmarszczył brwi, podnosząc kolejne karty tego samego formularza, zapisane starannym pismem.

— Przeszukać go! — rzucił nagle, jakby olśniony myślą, że dotychczas tego nie polecił. Wielkie, niezgrabne dłonie juchty zanurzyły się w czeluściach marynarki i kamizelki nieprzytomnego Niemca.

Gdy Ślepy Antek obmacywał kieszenie delikwenta, coraz bardziej osłupiały Kaczmarek czytał jedną z kart. Biegła znajomość niemieckiego spowodowała, że włos zjeżył mu się na głowie.

— „...Ona mówi, że jest niewinna. Założono więc jej na godzinę śruby i kamienie na nogi...” — wymamrotał, tłumacząc na poczekaniu to, co w jednej z rubryk zapisał tajemniczy osobnik rozciągnięty na kozetce. — „...Ona krzyczy: Jezu, nie opuszczaj mnie! Czterdzieści uderzeń różgą, znowu nic. Posadzona na ćwiekowanym krześle i rozciągnięta na koźle na trzy godziny, nie przyznała się...”

— Jezu... — jęknął Krzepki. — To jakiś zboczeniec! Co to jest?!

Błady jak kreda komisarz wzdrygnął się bynajmniej nie z zimna.

— Cholera wie — odrzekł nie bez odrazy. — To wygląda jak protokół z przesłuchania...

— Jakiegoś strasznego przesłuchania, a raczej tortur — wyszeptał Krzepki i wyrwał Kaczmarkowi tekturowy for-

188

mularz z rąk. — Spójrz, Biniu, tu są jakieś bliższe dane... Jezu słodki, przecież to... Przecież tu chodzi o czarownicę!

Karta wypadła mu z ręki, z czego skorzystał komisarz. W chybotliwym świetle dostrzegł u góry strony godność nieszczęsnej przesłuchiwanej.

— „...posadzona o czary, obcowanie z diabłem i szkodzenie zwierzętom, szczególnie krowom. Paskudziła ich mleko...” — odczytał dwie linijki, wpisane w rubrykę „zarzuty”. Z jeszcze większym zaskoczeniem prześlizgnął się wzrokiem po kolejnych piętrach kilkudziesięciostopniowego formularza. Wiese wynotował w nich majątek przesłuchiwanej, opisał jej pozycję społeczną, przepisał zeznania podejrzanej o czary, rodzaj zastosowanych tortur, nazwisko sędziego, obrońców i donosicieli, a na samym końcu kata.

Tajemniczy mężczyzna z Lipska był po niemiecku skrupulatny. Nie omieszkał odnotować nawet tego, że między protokołami sprawy odnalazł rachunek za trzydniowe utrzymanie kata na dworze.

— Kat Michał... Jak to ładnie brzmi. Zanim skrócił męki „czarownicy”, nieźle sobie użył na książęcym wikcie — zauważył zgryźliwie Kaczmarek.

— Ale po co?! — Krzepki trzymał się za głowę — Po co komu takie informacje?!

Kaczmarek nie zdążył niczego odpowiedzieć, bo masywne dłonie Ślepego Antka wyszarpaneły coś niedużego z wewnętrznej kieszeni marynarki Niemca.

— Mam coś, Biniu! — ryknął drab.

— Cuć go, ale bystro! — Spocony jak mysz komisarz, który odebrał Antkowi zdobycz, nie dał się zbyć byle czym.

189

J

— Jak go nie przywołasz do życia, to skończysz pod mostem Chwaliszewskim!

Gdy juchta energicznie zabrał się za nieprzytomnego, Kaczmarek z Krzepkim pochylili się nad niewielkim, oprawionym w sztywne skórzane okładki dokumentem.

Obok zdjęcia aż nadto dobrze im znanej twarzy zobaczyli czerwony stempel „Reichsuniversitat Leipzig”.

— Doktor Rudolph Wiese, Wydział Historyczny — przetłumaczył Krzepki.

Kaczmarek poczuł, jak pod koszulą cierpnie mu skóra. Albo to jakaś cholerna, upiorna maskarada, albo wpadliśmy po same uszy w gówno, pomyślał.

Nagle poczuł, że brakuje mu powietrza. Chwycił się za kołnierzyk, by dać więcej swobody swojej krtani i tchawicy. Zmora niepewności nie dała się jednak zrzucić z jego piersi. Lekko się zataczając, podszedł do uchylonego okienka, by pełnią zduszonych płuc zaczerpnąć świeżego powietrza.

— Co ci jest, Biniu? — Kuzyn podtrzymał go mocno za ramię.

— Nic takiego. To dusznica. Cierpiałem na nią jako dzieciak.

— Chcesz wyjść na powietrze? Zaprowadzę cię...

— Nie trzeba.

— Myślisz, że...

— Nic już nie myślę, do jasnej dupy! — wybuchnął Kaczmarek, zrzucając z siebie troskliwą rękę kuzyna. — Niech ten pieprzony juchta obudzi w końcu nieboszczyka, bo inaczej niczego się nie dowiemy!

Antek, unikając wściekłego spojrzenia szefa, odwrócił się od Niemca, by na nowo zwilżyć szmatkę w miednicy.

190

Właśnie kiedy wyżywał ścierkę, ciało na kozetce poruszyło się nieznacznie, a jedna z dłoni cuconego powędrowała do czoła.

— Ooooh, Mein Gott! — W piwnicy rozległo się przerażające westchnienie udręczonego człowieka.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, czwarta z minutami

Felek Bamber, znany w okolicy Dworca Głównego jako nieszkodliwy dziwak i nałogowy zbieracz pustych butelek, z których utrzymywał się od pamiętnych czasów Powszechnej Wystawy Krajowej, rozpoczął ten dzień jak zwykle. Wczesnym rankiem, gdy słońce było jeszcze głęboko za horyzontem i ledwie słabe blaski po wschodniej stronie zwiastowały sobotę, chwycił za uszy swojej parcianej, mocno zużytej torby i wyruszył na kolejne łowy, zostawiając za sobą nędzne lokum w rozpadającym się baraku na bocznicu.

Z doświadczenia wiedział, że w sobotę warto wyjść na tory. Wiedział, że jakimś szczęśliwym zrządzeniem po każdym piątku na spękanych, śmierdzących podkładach znajdzie więcej flaszek niż zwykle. Mało tego, ten jeden wyjątkowy poranek w tygodniu nęcił pokusą odnalezienia w niektórych z butelek resztek wysokoprocentowych trunków! Felek wiedział, że w sobotni poranek popracuje się może i intensywniej, za to z dużą satysfakcją.

Ciepły przedsmak dnia nastroił go optymistycznie do życia. Jak dobrze pójdzie, to w godzinę obrócę po całym terenie, pomyślał radośnie i niewiele się zastanawiając, schylił się nad pierwszą butelką.

191

Jest jeszcze trochę na dnie! — ucieszył się. Wprawnym ruchem przetaił wnętrzem dłoni szyjkę flaszki i wlał w siebie resztkę złotawego płynu.

Gorzki alkohol rozgrzał jego wnętrze i jeszcze bardziej wzmocnił pozytywny stosunek do soboty i roboty. Obok dostrzegł mniejszą butelkę, ani chybi od „Kryształ” albo „Specyala”. Do browaru Huggerów stąd niedaleko, uśmiechnął się. Trudno się dziwić, że ludziska akurat na tory popić sobie przychodzą...

Torba z każdym schyleniem stawała się coraz cięższa i coraz głośniej brzęczała. Z przyzwyczajenia zerknął na dworcowy zegar, umieszczony na fasadzie dominującego nad otoczeniem gmachu z cegły. O piątej od strony Ka-poniery na dworzec wjeżdżał zwykle spowity w parę pospieszny z Warszawy do Berlina, który nie raz porządnie go nastraszył. Gwizd lokomotywy tuż przed nosem i dramatyczny uskok w bok — w ten sposób już kilkakrotnie uszedł z życiem, powtarzając sobie w duchu, że ta pazerność na butelki kiedyś go zgubi. Tym razem myślał wyjątkowo trzeźwo: gdy tylko z daleka usłyszał wytężone sapanie ciężkiej maszyny, przezornie zszedł z dwóch głównych torów.

Na poboczu też błyszczały flaszki.

Pospieszny przetoczył się obok niego, by za chwilę z potężnym metalicznym piskiem wyhamować wzdłuż peronu. Z wagonów wyskoczyli nieliczni zaspani pasażerowie. Felek Bamber nie zwrócił na nich uwagi. Z namaszczeniem czyścił pobocze, zachodząc w głowę, gdzie pomieści całe to dobro, które hojni poznaniacy zostawili dla takich ja on.

192

m mam,

Butelkowy trop mimowolnie skierował jego kroki ku rampie na wschodnich obrzeżach dworca. Pochylony nad nitkami kolejnych torów, coraz bardziej oddalał się od ce-glastego gmachu. Kiedy podniósł ostatnią butelkę po piwie i wyprostował swoją wychudłą sylwetkę, mocno się zdziwił.

Przy dawno już nieużywanej rampie stał zagadkowy skład, złożony z nowoczesnej, raczej nie polskiej lokomotywy, węglarki i trzech wagonów. Drugi z wagonów, ten środkowy, pasował do reszty jak soból do sztucznego lisa.

Nawet Felek Bamber z miejsca dostrzegł tę różnicę.

Zaintrygowany zbieracz podreptał w stronę tajemniczego pociągu, skrytego w oparach porannej mgły. To jakaś salonka, a jak salonka, to może nią jechać ktoś ważny, pomyślał. A jak ważny, to mogą tam też być butelki...

Jeszcze dwa kroki, jeszcze jeden i... Felek stanął nagle jak wryty, rozdziawiając z przejęcia gębę.

Łoskot wypadającej mu z rąk torby nie przywrócił go do rzeczywistości.

W oknie najbardziej eleganckiego wagonu dostrzegł wściekłą twarz, doskonale mu znaną z wałających się wokół dworca gazet. Twarz, która go śmiertelnie przeraziła.

— Chryste Panie! — wymamrotał, choć nigdy nie był specjalnie nabożny.

Żegnając się odruchowo, poderwał się do ucieczki. Porzuciwszy cenną torbę, zmykał przez tory w stronę dworca z twarzą wykrzywioną strachem. Te butelki kiedyś mnie zgubią! — kołatało mu się po głowie.

Kiedy wpadł do dworcowej hali, na jego twarzy malował się obłęd.

193

s

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, w tym samym czasie

Mocne ramiona Ślepego Antka osadziły przytomniejszego Niemca na miejscu. Widok łobuzerskiej twarzy przepasanej czarną wstęgą przeraził porwanego. Szamotając się z nieznanym, piekielnie silnym strażnikiem, Wiesie spadł z kozetki, pociągając za sobą trzymającego go osiłka.

— Was ist los, Mensch?! — zacharczał, dociśnięty kolanem do zimnej posadzki przez juchtę.

— Postaw go! — rzucił Kaczmarek, zdeglustowany sceną przemocy.

Mimo zaangażowania do akcji „Dumy Chwaliszewa” nie czuł się dobrze w roli oprawcy. Kiedy Ślepy Antek postawił delikwenta w pionie z taką łatwością, jakby stawał przy murze drabinę, energicznym krokiem podszedł do Niemca i spojrział mu w z bliska w oczy.

Biła z nich buta i poczucie wyższości.

— O co chodzi, meine Herren? — zapytał niespodziewanie po polsku Wiese. — Was ist das, zum tausend Teufel?!

Z kącika jego ust płynęła wąska strużka krwi.

— Mówi pan po polsku? — Kaczmarek raczej stwierdził, niż zapytał.

— Ein bisschen — przyznał drżącym głosem Niemiec — Also, was ist los, panowie? Cholera, niedobrze, pomyślał Kaczmarek. Będzie wiedział, o czym ze sobą rozmawiamy...

— To my pytamy, a ty odpowiadasz — warknął komisarz.

Pogrzebał dłonią w koszuli i wydobył na powierzchnię swoją policyjną legitymację.

— Jestem z policji — machnął nią przed oczami zde-

194

• >

zorientowanego Niemca na tyle szybko, by ten zdążył zobaczyć jedynie orła w koronie.

Był pewien, że zatrzymany nie zdołał odczytać jego nazwiska.

— Co pan robi w Poznaniu?! — zapytał.

Wiese nie potrafił zaakceptować faktu, że ma być przesłuchiwany. Szarpnął się do przodu, ale Ślepy Antek nie spał — mocnym chwytem osadził go na miejscu.

— Co to za maskarada?! — Kaczmarek wskazał na teczkę, z której wysypały się tekturowe formularze wypełnione zapiskami Niemca.

— Jestem obywatel njemjecki! Wy tak nie wolno! — zaprotestował łamaną polszczyzną Wiese.

— Stul pysk! — uciszył go komisarz. — Z twoich papierów wynika, że jesteś naukowcem z Lipska. Po co zbierasz te idiotyczne dane o czarownicach?!

Niemiec najwidoczniej zrozumiał, że trójka Polaków wie już o nim co nieco, bo nagle spuścił z tonu.

— Ja obywatel njemjecki — powtórzył łagodnym tonem. — Ja piszacz pracza naukowa.

— Gdzie byłeś pierwszego sierpnia rano i drugiego sierpnia w nocy?! — Kaczmarek nie przejął się tą odpowiedzią i groźnie zmarszczył brwi. — No, gdzie byłeś, gagatku?! Wo warst du am ersten oder am zweiten August?! Antworte sofort, oder...

— Ich weiss nicht...

— Brama na Kantaka! Mówi ci to coś, bydlaku?!

— Was ist das „brama“?! Am ersten August war ich noch in Leipzig. Ich bin in Posen ab zwei Tagen... — Na przybrudzonym czole Niemca pojawiły się kropelki potu. Gorącz-

195

kowo szukał odpowiedzi, która zadowoliliby rozsierzonego policjanta.

Kaczmarek nie wytrzymał i dzielił Niemca z pięści w twarz.

— Nie kręć, Szwabie! — krzyknął. — Wiemy, coś zrobił na Kantaka!

— Kan-ta-ka?! Was ist das Kan-ta-ka?!

— Już ja ci przypomnę, Szwabie! A gdzie twój pieprzony scyzoryk?! — Kaczmarek chciał raz jeszcze przyłożyć więźniowi, ale nie zdążył.

— Ich habe... Ja mieć bilety... — jęknął nagle Niemiec. — Bilety nach Berlin...

— Gdzie?!

>

— W moja torba.

Krzepki był pierwszy. Błądząc dłońmi wśród papierów i formularzy, natknął się na dwie tekturki mniejszego rozmiaru. Zaskoczony, podszedł z nimi do okna.

Na zewnątrz budził się do życia nowy dzień. Ulicą Grobla przejeżdżał właśnie pierwszy wóz z mlekiem.

— To rzeczywiście bilety — westchnął rozczarowany Krzepki. — Jeden ma datę 2 sierpnia i dotyczy przejazdu na trasie Berlin-Poznań. Wyjazd o 3.30 rano...

— Pokaż! — komisarz nie uwierzył na słowo.

Wystarczyło jedno spojrzenie na blankiet, by serce zabiło mu niespokojnie. Fakt, że bilet był przedziurkowany przez konduktora, ugodził go w pierś jeszcze mocniej. Czyżby to była pomyłka?! To niemożliwe!

Rzucił okiem na drugi bilet. Wynikało z niego, że Wie-se od trzech godzin miał już być w drodze powrotnej do stolicy Niemiec.

196

Kaczmarek skinął na kuzyna i razem odeszli na bok.

— Wiesz, co to oznacza? — zagał. — To oznacza, że facet ma cholernie mocne alibi. I że niewiele możemy mu zrobić. ..

— To niemożliwe! — szepnął Krzepki. — To niemożliwe, żeby to nie był on! Przecież wygląda tak jak w waszym policyjnym opisie! To niemożliwe, żeby ta cała sprawa tak nagle spaliła na panewce...

Nagle w Kaczmarka jakby piorun strzelił.

— Ćmiki! — zawołał. — Gdzie są jego papierosy?!

Na kilka sekund w piwnicy zapadła kłopotliwa cisza. Komisarz wiedział, dlaczego. Ślepy Antek z wyraźną niechęcią sięgnął do tylnej kieszeni swoich wytartych spodni. Z ociąganiem, acz bez zażenowania zwrócił swój wojenny łup — szeroką, srebrną papierośnicę.

W metalowym pudełku znajdował się ostatni, nietknięty papieros. Kaczmarek wyjął go ostrożnie dwoma palcami i obejrzał pod lichym światłem jak relikwię.

To był niewątpliwie papieros niemieckiej marki. Na bibułce widniał słabo widoczny nadruk.

— „Eckstein” — odczytał komisarz i struchlał. — No to już po nas...

Nagle pożałował, że Antek ocucił Niemca.

*

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, kwadrans po czwartej

Komisarz ze skwaszoną miną psa gończego, który zgubił trop, zwrócił się do Antka:

— Puść go!

197

Zaskoczony juchta niechętnie zluzował obręcz swoich twardych ramion. Półprzytomny Niemiec zsunął się na podłogę, ale zaraz poderwał się w górę i skoczył ku słabo widocznym, zbitym z desek drzwiom. Nie zdążył, bo Ślepy Antek jednym susem dopadł do wyjścia i zagroził mu drogę.

Kaczmarek jeszcze nie pogodził się z klęską.

— I powiadasz, że jesteś naukowcem?! — zmierzył Niemca nieufnym spojrzeniem. — Może i jesteś. Ale najpierw sprawdzimy, co z ciebie za ziółko.

Wiese nie zrozumiał, o co chodzi.

— Was möchten Sie von mir?! Warum?! — skulił się w oczekiwaniu kolejnego ciosu.

— Rozbieraj się! — rozkazał Kaczmarek. — Zieh dich aus! Sofort!

— Biniu, czy ty... — Krzepki chwycił go za rękę, ale komisarz nie zamierzał go słuchać.

— Cicho bądź, Janie! Jak już brniemy, to do końca. A nuż znajdziemy ten cholerny bagnet albo coś równie ważnego!

Wiese stał bez ruchu, zaskoczony rozkazem Kaczmarka. Komisarz nie wytrzymał. Wyciągnął zza koszuli rewolwer i skierował go w stronę więźnia.

— Schneller! — zakomenderował głosem nieznoszącym sprzeciwu. Niemiec powoli zaczął zdejmować z siebie odzienie, protestując cicho pod nosem. Kaczmarek odbierał od niego poszczególne części garderoby i szczegółowo je obmacywał. Przez moment wydawało mu się, że znalazł coś zaszytego w kołnierzu koszuli, ale kiedy rozpruł go szczyrykiem, jego podejrzenia okazały się bezpodstawne. Niczego nie znalazł też w spodniach ani w marynarce.

198

Po chwili Wiese stał przed nimi na bosaka w samych majtkach, trzęsąc się z zimna. Ogłupiałym wzrokiem przyglądał się, jak gruby policjant z pasją drze jego podkoszulek.

— To bez sensu, Biniu. — Krzepki miał już dosyć tego przedstawienia. — To nie on. Musimy się z tym pogodzić...

— Daj mi spokój — szarpnął się komisarz. — Działam zgodnie z procedurą. Lepiej obejrzyj jego skarpetki.

— Biniu, odpuść. Przecież widać, że to nie ten, którego szukamy...

Kaczmarek podszedł do Wiesego tak blisko, że mógł mu splunąć prosto w oko. Raz jeszcze zamachnął się na niego, by po raz ostatni go nastraszyć. Niemiec odruchowo podniósł prawą dłoń, by się zasłonić. I wtedy komisarz zobaczył coś, co podcięło mu ostatki nadziei.

Na wewnętrznej stronie ramienia Wiesego widniał niewielki, czarnogranatowy tatuaż. Miał kształt dwóch błyskawic.

Kaczmarek pojął w lot, że te zygzaki zapowiadają burzę. Prawdziwą nawałnicę z piorunami.

— SS... — wyrwało mu się z szeroko rozdziawionych ust.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, czwarta dwadzieścia

Krzepki dopadł do Niemca i przytrzymał jego rękę w górze, by przyjrzeć się demaskującemu go tatuażowi. Charakterystyczny znak ss był aż nadto widoczny na zsiniałym z zimna ramieniu.

199

0

Kaczmarek szybko ochłonął z zaskoczenia. Na wszelki wypadek znowu wycelował w Wiesego swojego służbowego browninga.

Chłód ciężkiej stali w dłoni przywrócił mu jasność myślenia. Wiedział, że w tym momencie już nie tyle wpadł w szambo, co zanurzył się w nim po same uszy. I podskórnie czuł, że żadna siła nie jest w stanie go z tego bagna wydobyć. Co robić? — myślał gorączkowo, wpatrując się w butną twarz Niemca, który odzyskał nagle pewność siebie i stanowczo odepchnął Krzepkiego. Cokolwiek zrobimy, i tak będzie draka na skalę międzynarodową. Skandal dyplomatyczny jak cholera murowany... A wszystko przez...

— Pan wybaczy — w jednej chwili uznał, że pozostaje mu już tylko jedno wyjście — zaszło... hm... kolosalne nieporozumienie. Totale Missverständnis, verstehen Sie?...

Entschuldigen Sie bitte... Das war ein Missverständnis...

Pełen skruchy podał Niemcowi ubranie i buty. Usłużnie pomógł mu włożyć koszulę, a potem marynarkę.

Zaskoczony Wiese był z początku nieufny, ale szybko odzyskał wigor, wdziękając kolejne elementy dopiero co odebranej mu garderoby. Zanim skończył, wskazał palcem na rozpruty kołnierzyk, a na jego wychudłej, antypatycznej twarzy wykwitł pogardliwy, ironiczny uśmiešek.

— Das war ein grosser Fehler, Herr Polizmeister — wycedził przez zaciśnięte szczęki, a w jego zimnych oczach rozbłysła złowroga determinacja. — Das ist ein Skandal und Provokation! Ich werde protestieren!

200

— Ja, ja... — Kaczmarek puścił tę groźbę mimo uszu. — Janek, skocz po bułkę i jakąś piersiówkę dla szanownego pana — zaproponował. — Na Garbarach na pewno otworzyli już jakiś sklep...

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, wpół do piątej

Rozedrgany od emocji, ale również z powodu porannego chłodu, wyłonił się z piwnicznych ciemności na szarzejący, nabierający z wolna kolorów świat. Kopnął drzwi dzielące piwnicę od klatki schodowej i znalazł się przed kamienicą. Przed sobą miał skwer i widok na wyłaniający się z porannej nadwarciańskiej mgły most Świętego Rocha.

Co my, do licha, tu robimy? — pomyślał. To wszystko śmierdzi wielkim międzynarodowym skandalem. Porwanie z nadużyciem siły, przemoc fizyczna i psychiczna, udrczenie więźnia... W głowie kołatały mu same najgorsze myśli. Tak właśnie może brzmieć sentencja wyroku, a to może oznaczać jedno: pożegnanie ze służbą, infamię albo coś jeszcze gorszego...

— Szlag by to wszystko, do kurwy nędzy! — ulżył sobie, splunął soczyście na krawężnik i ruszył ku Grobli, rozglądając się za jakimś sklepikiem.

Okolice nie wyglądała jednak na nadzwyczaj ruchliwą. Od razu rzuciło mu się w oczy, że na ulicy nie widać żywego ducha. No tak, przecież dzisiaj sobota — od czasu pokonania Wielkiego Kryzysu dzień ustawowo wolny od pracy... Ech, trudno będzie znaleźć jakąś flaszkę dla tego Niemiaszka...

Na rogu zatrzymał się, spętany przez coraz gorsze myśli. Zadarliśmy nie tylko z Niemcami, uprzytomnił sobie nagle. Zadarliśmy z ss, a to naprawdę nie wróży niczego dobrego.

Wprawdzie wszystko wydarzyło się na terenie Rzeczypospolitej Polskiej, jednak jest pewne jak amen w pacierzu, że liderzy tej odrażającej formacji będą się domagać od naszych władz przykładowego ukarania winnych tej cholernej „prowokacji”. A potem już tylko pokazowy proces i wstyd...

Chwycił się latarni, bo uliczny bruk zawirował mu nagle przed oczyma rojem czarnych cętek. Poczł straszny ból w skroni. Migrena! Jeszcze tylko tego mu brakowało!

Dotknął chłodnymi jak lód dłońmi swojego rozpalonego czoła, co przyniosło mu kilka sekund ulgi. Ale tylko kilka.

Rozmazany świat przed nim, pełen błyskawic i zygzaków, stał się groteskowy i nieprzyjazny. Zrobił kilka kroków do przodu, ale objawy jego przykrych przypadłości tylko się nasiliły. Poza żarzącą się linią krawężnika nie wiedział niemal niczego, co dawałoby mu jakieś oparcie w terenie.

Trzeba zawrócić, pomyślał, i w tym samym momencie wykonał obrót w tył. Zygzaki przed oczyma złośliwie utrudniały mu orientację, ale wyczuwalne pod stopami płyty chodnika sygnalizowały, że zasadniczo trzyma się kursu. Jeszcze tylko kilkanaście kroków i znajdzie się w chłodnej piwnicy, a tam dojdzie do siebie...

Głośne, nonszalanckie chrząknięcie za plecami osadziło go w miejscu.

202

— Czy szanowny pan ma ogień? — usłyszał szorstki, przepalony głos.

Kiedy odwracał się, żeby przez kurtynę z błyskawic dostrzec twarz nieznajomego, czyjeś mocne dłonie pchnęły go w bramę i przycisnęły do ceglanej ściany.

Zrozumiał, że jest bez szans.

ODDECH KOSTUCHY

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, wpół do piątej

Wilhelmina zerwała się z łóżka. Śniło się jej coś tak strasznego, że obudziła się z gwałtownym łomotaniem serca. Usiadła na brzegu łóżka i rozplakała się w głos.

Miała przekonanie, że właśnie utraciła coś niezwykle wartościowego. Coś niepowtarzalnego, jedyne w życiu.

Całe szczęście, że to był tylko sen, powtarzała w myślach, ale łzy nieustannie płynęły jej z oczu. To nie mogła być prawda, rozmyślała chaotycznie, spoglądając na fosforyzujące strzałki zegarka na nocnej szafce. Czwarta trzydzieści. Dlaczego obudziła się właśnie teraz? Dlaczego jej się to przyśniło?! Nie, to na pewno nieprawda! To tylko głupi, niedorzeczny sen, jakich wiele!

Spojrzała ze złością na puste miejsce na ścianie, w którym jeszcze wczoraj wisiało zdjęcie Jana. Budzący się dzień rzucał w to miejsce złote promienie, jeszcze mocniej podkreślając brak ukochanego oblicza. Była pewna, że to sprawka

205

ojca. Kiedy wróciła z matką z zakupów, Vati był jakiś dziwny. Odpowiadał półsłówkami, jakby za wszelką cenę chciał uniknąć rozmowy. Jakby chował w sobie jakąś tajemnicę. Gdy weszła do pokoju, od razu zauważyła, że nie ma zdjęcia, które wisiało pod obrazem Jezusa. Fotografia na pewno sama nie spadła: nie znalazła jej bowiem za szafką ani za łóżkiem. Ktoś musiał ją zabrać, schować.

Vati zbył jej natarczywe pytania wzruszeniem ramion. „Nie wiem, o czym mówisz, córeczko” — odpowiedział ponurym głosem. — „Widocznie zdjęcie się gdzieś zawieruszyło”.

Nie uwierzyła mu. Już po raz drugi w ciągu ostatnich dni. Vati stał się ostatnio jakiś dziwny, zamknięty w sobie. Zwłaszcza od czasu, kiedy zaczął do niego zachodzić Herr Schultze. Choć nigdy nie należał do ludzi przesadnie towarzyskich, teraz zrobił się zupełnym odludkiem. Nie ma się co dziwić Janowi, że czuł się w jego towarzystwie nieswojo.

Dzwoniła wczoraj do Jana kilkakrotnie, ale ani razu nie zastała go w domu. Raz odebrał pan Ignacy, jego ojciec. Wlał w nią słowa otuchy. „Jan wspominał, że ciebie odwiedzi” — powiedział.

Tyle że Jan się wczoraj nie pojawił...

Nagły hałas dobiegający z parteru sprawił, że się wzdrygnęła. Co tam się dzieje?

Po cichu wstała z łóżka i na palcach podeszła do drzwi. Delikatnie nacisnęła klamkę. Lekkim ruchem, by nie skrzypnęły, uchyliła drzwi i ostrożnie wyjrzała na korytarz.

Mieszkanie tonęło jeszcze w półmroku, przez który wdzierала się do wnętrza domu świetlista zapowiedź soboty.

206

Znowu będzie pogoda, pomyślała. Ach, poszłabym z Janem nad Wartę! Woda w rzece musi być ciepła...

Znowu usłyszała trudny do określenia, niepokojący dźwięk. Ktoś robił coś piętro niżej.

Uważając, by ominąć najbardziej trzeszczące stopnie, zeszła na boso po schodach i zatrzymała się na chwilę, nasłuchując uważnie.

Zza półotwartych piwnicznych drzwi wpadało do przedpokoju liche światło lampy naftowej albo świeczki. Wilhelmina podeszła bliżej do zejścia do piwnicy. Na nagich stopach poczuła powiew chłodu i wilgoci. I wtedy właśnie usłyszała stłumioną, męską rozmowę.

— ...gemacht, fétzt können wir nur warten — powiedział nieznany jej głos.

— Sie haben Recht. Bis Morgen — usłyszała odpowiedź ojca.

Zaraz potem światło na ścianie korytarzyka zakołysało się i do jej uszu dobiegł odgłos rytmicznych kroków dwóch osób idących po kamiennych schodkach.

Szybko wycofała się, by nikt jej nie zauważył. Ledwo ukryła się za wysoką balustradą, kiedy z piwnicy wyszedł Vati, a za nim niewysoki, nieznany jej mężczyzna w kapeluszu.

Vati przyłożył palec do ust, a potem podał mu dłoń na pożegnanie i przybysz w milczeniu opuścił mieszkanie szewca Krantza.

Gospodarz z twarzą czerwoną od wysiłku pomaszzerował prosto do kuchni. Wilhelmina usłyszała, jak odkręcił kran i dokładnie mył ręce.

Muszę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, pomyślała. Dziwne zachowanie ojca nie dawało jej spokoju.

207

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, kwadrans przed piątą

— Antek! Zawieziesz pana na dworzec...

— Nein! — zaprotestował esesman w cywilu, a jego głos nabrał już wystarczająco dużo zdecydowania i władczości, by komisarz pomyślał o oporze. — Ich brauche keine Hilfe! Das ist Skandal und meine Herrschaft muss darüber wissen! Ich muss zum deutsche Konsulat! Sofort!

Kaczmarek westchnął zrezygnowany.

— Dobra jest, Antek. Zawieziesz pana Wiese do konsulatu. Wedle życzenia. Ale... —

Kaczmarek nagle zawiesił głos, szukając za paskiem swojego browninga — ale najpierw przytrzymasz tu szanownego pana z ss jeszcze przez dwie godziny. Zegarek masz?!

Niemiec patrzył osłupiałym wzrokiem na komisarza, który przekazał potężnemu jednookiemu oprawcy swoją broń. Ślepy Antek bez przekonania wycelował policyjny rewolwer w Wiesego.

— Ale... niby po co? — zagadnął kompletnie zaskoczony.

— Nieważne. To rozkaz. — Kaczmarek nie zamierzał się zwierzać juchcie, a już tym bardziej z takich rzeczy i wobec takiego audytorium.

Zerknął na zegarek.

— Kiedy Janek przyniesie żarcie, daj mu coś zjeść i się napić. Wypuście go o... o wpół do ósmej, nie prędzej. Ja w tym czasie muszę załatwić coś bardzo pilnego...

Wizja rozmowy z inspektorem Kayserem przerażała go, ale zdawał sobie sprawę, że tylko w ten sposób może ocalić cokolwiek lub kogokolwiek. Tylko jego szef może powstrzy-

208

mać zbliżający się kataklizm. A już na pewno osłabić jego moc...

Muszę jeszcze zamienić dwa słowa z Jankiem, pomyślał. Niech przypilnuje całego interesu.

Wyskakując z piwnicy, usłyszał za sobą stek najbardziej wulgarnych niemieckich wyzwisk.

— A on niby lepszy, esesman pieprzony — mruknął sam do siebie.

Myśłami był już w Prezydium Policji.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, w tym samym czasie

Odczekała w swoim pokoju, aż ojciec wrócił do sypialni, i znowu zeszła na bosaka na parter.

Było jej chłodno w stopy, ale musiała być dzielna. Żeby się czegoś dowiedzieć, trzeba się poświęcić, pomyślała i uśmiechnęła się, bo akurat to poświęcenie wcale nie wydawało się jej aż tak wielkie.

Cichutko jak myszka dotarła w samej halce do drzwi prowadzący do piwnicy. Postanowiła

nie zabierać ze sobą żadnej świeczki. Po ciemku, macając stopami zimne, lekko wilgotne

kamienne schodki, zagłębiała się w czarną czeluść piwnicy. Doskonale wiedziała, ile ich

trzeba pokonać, by znaleźć się na samym dole — liczyła je jako uczennica szkoły

podstawowej i pamiętała tę liczbę do dziś. Jeszcze dwa stopnie, jeszcze jeden...

Betonowa posadzka okazała się zimniejsza niż schody. Ale Wilhelmina nie zawracała sobie

tym głowy. Jest jasno! — zauważyła z radością. Nowy dzień zajrzał już przez

209

niewielkie okienko do ciasnego wnętrza i wydobył z mroku zaskakujący widok.

W najdalszym zakamarku pomieszczenia stała już nie jedna, a dwie identyczne drewniane

skrzynie. Obie zamknięte były na żelazne sztaby, których z kolei strzegły solidne i budzące

respekt kłódki.

Wilhelmina podeszła do jednej ze skrzyń i przyjrzała się jej uważnie. Pomiedzy wąsko zbitymi deskami nie można było nic dostrzec. W dodatku odniosła wrażenie, że wewnątrz skrzyń wyścielono strzepami jakiegoś szarego materiału.

To chyba stare płótno, pomyślała i natychmiast rozejrzała się wokół siebie.

Na półeczce pod oknem zauważyła kilka gwoździ, długich jak jej kciuk. Niewiele się namyślając, chwyciła jeden z nich i zaczęła nim szurać w najszerszej szparze, jaką znalazła na pełnej drzazg ścianie skrzyni.

Pierwsze próby nie były udane, ale szybko doszła do wprawy. Za piątym razem zawadziła czubkiem gwoździa o skrawek materiału i odgięła go nieznacznie w górę.

Utrzymując gwóźdź w otworze, wygięła się jak akro-batka w dół i sapiąc z wysiłku, spojrzała w odsłoniętą szparkę.

To z całą pewnością nie były kartofle.

W skrzyni leżał rząd równo ułożonych, lśniących świeżym lakierem drewnianych form. Znała ten kształt.

Kiedy przypomniała sobie, skąd, jej oczy rozszerzyły się ze strachu.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, za dziesięć pięta

— Janku!... Janeczku kochany! Matko Boska, ratunku!

Dramatyczny krzyk wstrząsnął siwiutkim mleczarzem roznoszącym butelki po ulicy Za Groblą. Z wrażenia wypuścił jedną z nich, a rozlane mleko spłynęło pomiędzy rozbitym szkłem do kratki kanalizacyjnej.

Mleczarz przycupnął wystraszony i rozejrzał się ostrożnie na boki.

W najbliższej bramie zobaczył szokującą scenę. Gruby mężczyzna klęczał przy drugim, nieprzytomnym, i dłonią owiniętą w kraciatą chustę próbował rozpaczliwie zatamować krew, która buchała spod koszuli ciężko rannego.

— Ludzie! Co ja zrobiłem! Pomocy! — ryczał z obłędem w oczach.

W mleczarzu odezwały się z dawna zapomniane frontowe instynkty, wyćwiczone w zamierzchłych czasach cesarza Wilhelma. Porzucił siatkę z mlekiem i mimo skurczu w kolanach podreptał ku ratującemu życie.

— Co robić, panie?! — zagadnął, nie mogąc powstrzymać drżenia rąk.

— Człowieku, pędź po pomoc do Szpitala Przemienienia Pańskiego! Tylko prędko, do jasnej cholery!

— Zu Befehl! — krzyknął z pruska dziadek, stuknął zniecka obcasami i puścił się nieco pokracznym biegiem w stronę kościoła Bernardynów.

Pędził jak natchniony, bo zdawało mu się, że na swoich starych plecach poczuł zatęchły oddech kostuchy.

211

«

Kaczmarek wznosił zaszklone oczy ku niebu. Zaciskając szkarłatną chustą poszarpaną ranę w boku kuzyna, zaczął się modlić tak żarliwie, jakby to robił codziennie. Boże, uratuj Janeczka! Boże, błagam cię... Boże...

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, przed siódmą

J

Zrozumiała, że w tej jednej chwili wszystko w jej życiu zmieniło się raz na zawsze. Ojciec już nigdy nie będzie dla niej cichym, godnym zaufania Vati. Zrozumiała też, że swoją wiedzą musi podzielić się z Janem. Jak najszybciej. Natychmiast!

Jej milczenie podczas śniadania rzuciło się ojcu w oczy, ale nie dbała o to. Niech sobie myśli, co chce. To, co odkryła w piwnicy, brutalnie zerwało więź, jaka łączyła ją z tym człowiekiem, który jeszcze dwa dni temu wydawał się jej ostoją wszelkich cnót. Szewc Johann Krantz w

ciągu kilku sekund stał się dla niej obcą osobą. Nawet nie spostrzegła, jak łatwo się z tym pogodziła.

— Córuś, źle się czujesz? — Zafrasowane oblicze matki uprzytomniło jej, że kiepsko skrywa swoje emocje.

— Mutti... Mamo, to nic takiego. Nie martw się — poprawiła się świadomie, nie tylko po to, by sprawić matce przyjemność.

— Masz takie rozpalone czoło... Może to gorączka?

— Mamo, jestem zdrowa. Na pewno — odpowiedziała wymijająco i zerwała się z krzesła. — Muszę zadzwonić do Jana.

212

• >

w

Niespokojne spojrzenie ojca zza stołu nie należało do przyjemnych, ale je zignorowała.

Niemal wybiegła z kuchni, pędząc do telefonu.

Mama Wilhelminy nie rozumiała, co się dzieje.

Na talerzu córki stygł niedokończony omlet — ulubione poranne danie Wiki.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, siódma piętnaście

Jeszcze tego bandyty tu brakowało! — pomyślał inspektor Kayser, zaciskając ze złości zęby.

— Oczywiście, panie prezydencie — powiedział do słuchawki, siłąc się z trudem na swobodny ton. — Zaopiekujemy się naszym gościem.

Powstrzymał się, by okrasić słowo „gość” zwyczajowym przymiotnikiem „szanowny”. W tym przypadku byłoby to bowiem ogromnym nadużyciem.

— Wiem, że mogę na pana liczyć, inspektorze — powszechnie nie lubiany w Prezydium Policji wiceprezydent Konrad Bombka ściszył głos i dodał poufałym tonem: — A jak wszystko pójdzie dobrym torem, to i o awansiku jakimś pomyślimy. Rozumiemy się?

— Mhm — mruknął Kayser.

Walczył ze sobą, żeby nie powiedzieć zwierzchnikowi czegoś naprawdę niemiłego.

— A co z tym nożownikiem?! — Pytanie Bombki było tym razem bardziej natarczywe.

— Macie go?

— Szukamy go, panie prezydencie. Jesteśmy blisko — zbył szefa ładnie brzmiącym ogólnikiem.

213

— No! To ładnie! Czekam na jakiś raporcik i na gagatka w areszcie! Powodzenia! — usłyszał z drugiej strony i połączenie z magistratem zostało przerwane.

Masz babo placek! Psiakrew! — przeklinał w duchu najnowszą informację, odkładając słuchawkę na widelki. Jakby mało było problemów, to jeszcze musiała się nam napatoczyć ta nazistowska szych! Kaczmarek... Gdzie jest Kaczmarek?!

Raz jeszcze podniósł słuchawkę i wykręcił wewnętrzny numer.

— Nowak, słucham — Nerwowy głos przodownika Nowaka poznałby zawsze.

— Niech twój szef zaraz do mnie wpadnie. Natychmiast!

— Kiedy go nie ma, panie inspektorze.

— Jak to, nie ma?! Przecież sypia w swoim gabinecie!

— Eee...

— Nie udawaj, że nie masz o niczym pojęcia! Odkąd w maju żona wystawiła go z walizką na ulicę, śpi w swoim gabinecie. Wiem o tym, bo strasznie chrapie. Zwłaszcza nad ranem!

— W istocie rzeczy...

— Więc gdzie teraz jest, do diabła?! Nie wierzę, że o szóstej rano pobiegł po bułki!

Przodownik Nowak zawahał się na chwilę.

— Pan komisarz wyszedł wczoraj po południu i nie wrócił na noc — zeznał niechętnie.

— Mówił, gdzie go niesie?

— Nie, panie inspektorze. Powiedział, zdaje się, że do rana na pewno wróci...

214

No to kicha, wściekł się Kayser. Co on sobie myśli, ten cały Biniu?! Zapomniał, że sobota to dla policji dzień powszedni?!

Rozłączył się z Nowakiem i wybiegł na korytarz.

— Borowczak, do mnie! — wrzasnął na całe gardło w stronę dyżurki na półpiętrze. Kiedy wysoki blondyn w mundurze wbiegł po schodach i stanął z czapką w dłoni przed Kayserem, ten rzucił mu krótką komendę:

— Bierz natychmiast swoją ekipę i wal prosto na Dworzec Główny! Mamy niespodziewaną wizytę dyplomatyczną najwyższej rangi!

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, siódma trzydzieści

Minuty i kwadrans pod białymi, przesłoniętymi firankami drzwiami sali operacyjnej wlokły się Kaczmarkowi jak najgorsza pokuta. Szalał po korytarzu, rwąc z głowy zmierzwiłone włosy, wznosząc ku niebu ręce i wykrzykując wciąż tę samą, pełną bólu i rozpaczony frazę:

— Boże, co ja zrobiłem! Wystawiłem kuzyna!

Jego przebłagalnym rytuałem przyglądał się z boku spocony mleczarz — cichy bohater akcji ratunkowej. Umorusany, zdyszany i skrajnie wymęczony, przysiadł skromnie na ławeczce w rogu korytarza, wypoczywając po trudach walki o czas i życie młodego człowieka.

Piękny, nadzwyczaj spokojny, letni poranek za oknami nadawał całej scenie wymiar groteski. Ale nikomu nie było do śmiechu.

215

Komisarz już dawno zrzucił swoją znoszoną, pijącą pod pachami marynarkę i biegał po korytarzu w samej przepoconej koszuli, spod której przeświecał jego okazały brzuch. Co chwila wyszarpywał z kieszeni swój złoty zegarek i z rosnącym niepokojem odnotowywał każdy znaczący ruch dużej wskazówki. Operowali Jana już prawie półtorej godziny, a on ciągle nic nie wiedział! Pielęgnarka, która wyszła pół godziny temu zza drzwi sali operacyjnej, nawet słowem nie odpowiedziała na jego natarczywe, niegrzeczne zaczepki.

— Boże, co ja zrobiłem! — jęknął znowu Kaczmarek.

Podszedł do okna i wyjrzał na szpitalny dziedziniec. Pod szpital zajechała właśnie furgonetka ze świeżym pieczywem i szpitalny kucharz wnosił do budynku wiklinowe kosze pełne bułek. Kaczmarek nie mógł uwierzyć, że kilkanaście metrów od niego, za cienką przegrodą szyby życie płynie tak monotennie i bez nerwów.

Nagle drzwi w końcu korytarza zaskrzypiały i pojawiło się w nich dwóch mężczyzn w białych fartuchach. W jednym z nich, wysokim i siwym, rozpoznał ordynatora oddziału chirurgicznego.

Na jego fartuchu dostrzegł ślady krwi i nagle zrobiło mu się słabo. Walcząc z omdleniem, dopadł do chirurga i chwycił go za poły.

— Błagam, panie ordynatorze... Będzie żył?!

Lekarz spojrział na niego swoimi wodnistymi oczyma i gestem człowieka, który nie wie, co odpowiedzieć, zaczesał dłonią siwą falę nad skronią.

216

— Stracił bardzo dużo krwi. Bardzo dużo. Niech pan się za niego modli, bo my zrobiliśmy wszystko, co można tu było zrobić. Reszta w rękach opatrności...

— }est aż tak źle? — zapytał słabnącym głosem.

Ciągle nie dopuszczał do siebie myśli, że może go stracić.

— Bardzo źle. Rana jest paskudna, głęboka. Jakby ktoś go rozplątał bagnetem...
— Matko Boska...
— ...ale miał w tym wszystkim trochę szczęścia. Albo raczej Bóg nad nim czuwał. Zdażył zasłonić się dłonią, która nieco sparowała impet ciosu. Ostrze musiało ześlizgnąć się po ręce, bo bandyta nie trafił go czysto w jamę brzuszną.

— To znaczy...
— ...to znaczy, że ostrze trafiło w skraj żeber. A że nasz pacjent ma klatkę piersiową jak tur, więc napastnik przebił mu jedynie śledzionę i naruszył żołądek. Całe szczęście, że nie trafił w aortę...

Kaczmarek miał wrażenie, że poranne słońce, wlewające się przez wysokie okna korytarza do wnętrza szpitala, nagle podwoiło swoją moc. Rzucił się do dłoni chirurga, by ją wyciągnąć.

— Ależ co pan?! — Lekarz wyrwał się z rąk komisarza i ruszył ku schodom. — I proszę nie wdzierać się na salę operacyjną. Pacjent potrzebuje teraz przede wszystkim modlitwy i spokoju!

— Oczy... wiście... — wybełkotał Kaczmarek.

Zatoczył się jak pijany i wyhamował dopiero przed ławeczką, na której siedział niemy świadek tragicznych wydarzeń. Stary mleczarz obrzucił go krótkim, serdecznym spojrzeniem.
217

Komisarz klepnął go po ramieniu i po raz pierwszy spojrzał na staruszkę z wdzięcznością.

— Dobrze się pan spisał — przemówił. — Ratował pan życie...

Zawahał się i zaraz się poprawił:

— Uratował pan życie kapitana Wojska Polskiego, bohatera spod Winnicy i Kijowa.

Oczy starego wiarusa rozbłysły dumą i satysfakcją.

— Wiedziałem, że to oficer — wyszeptał.

Kaczmarek narzucił na siebie marynarkę, przyliżał

dłonią zmierzwił resztki włosów na głowie, podał dłoń mleczarzowi i obrał kurs na pobliski kościół Bernardynów.

Czuł się trochę nieswojo, bo już dawno nie zaglądał do żadnej świątyni. Wiedział jednak, że tego pięknego poranka nie wymiga się od złożenia Bogu pilnej, pojednawczej wizyty.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, kwadrans przed ósmą

Niepokój Wilhelminy, który tlił się w niej od rana, wzmógł się jeszcze bardziej, kiedy okazało się, że mimo tak wczesnej pory nie zastała Jana pod telefonem.

— Nic nie rozumiem. — Ignacy Krzepki miał głos zmęczonego człowieka, który nie przespał ostatniej nocy. — Wczoraj, kiedy wychodził z domu, mówił wyraźnie, że jedzie do ciebie, Wilhelmino. Potem miał się jeszcze spotkać ze Zbigniewem, swoim kuzynem. Mówił wprawdzie, że wróci w nocy, ale do tej pory nie widzieliśmy go u nas na Szelażu...

218

— I nie dzwonił? Nie dał żadnego sygnału? — Serce dziewczyny zaczęło bić nieregularnie, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

— Nie. Ale nie martw się, dziewczyno. To przecież dorosły człowiek. Dorośli ludzie nie giną ot tak sobie... Może zabalowali wczoraj z Biniem, albo co?

— Na pewno ma pan rację, panie Ignacy. Proszę do mnie zadzwonić, kiedy już Jan wróci. Muszę z nim pilnie porozmawiać.

— Oczywiście, skarbie. Możesz na mnie liczyć.

— Auf wiedersehen.

— Bóg z tobą, dziecko.

Jeśli nie wróci do dziesiątej, pojedą go szukać. To zbyt ważna sprawa, by mogła czekać, pomyślała Wilhelmina. Oby tylko nie było za późno!

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, około ósmej

Wrócił tam, dokąd nie chciał wracać.

W jednej ze starych, zasikanych przez psy bram na Grobli znalazł to, czego szukał. Na nierównym bruku leżało kilkanaście takich samych niedopałków z charakterystycznym znaczkiem w kształcie herbu.

Schylając się po nie, Kaczmarek poczuł, że serce bije mu jak młotem. Musiał tu wypalić całą paczkę albo nawet dwie, pomyślał. A to znaczy, że zaczął się i czekał na swoją ofiarę od dawna. Tylko dlaczego właśnie padło na Jana?

Potoczył wzrokiem po smętnej, mało reprezentacyjnej ulicy. Sąsiedztwo ponurego gmaszyska gazowni nadawało

219

okolicy specyficznego klimatu. To tędy wieźli wczoraj ogłuszonego Wiesego. Nagle naszło go straszliwe podejrzenie. Czyżby morderca ich śledził i przyszedł tu za nimi?

Muszę pilnie przydzielić Janowi ochronę w szpitalu, zanotował w myślach.

Pod powiekami czuł piasek, z niewyspania i emocji ostatnich godzin miał zachwiania równowagi, ale wiedział, że musi wziąć się w garść. Musi uporządkować myśli, żeby przetrwać.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, ósma z minutami

Inspektor Kayser stał przed lustrem w galowym mundurze uszytym dla niego trzy lata temu i czuł się fatalnie. Z przykrością stwierdził, że znowu przybrał kilka kilogramów. Wszystko przez ten siedzący tryb życia. Co innego, gdy byłem posterunkowym, przypominał so-*szlankowny — bie z rozrzewnieniem. Szlankowny* był szczupły ze mnie gość...

Zadumał się na moment nad szybkością życia, ale chwila nie sprzyjała dłuższym medytacjom.

Musiał gnać na dworzec. Właśnie przytroczył do boku zdobną w fantazyjny frędzel szablę, kiedy w drzwiach gabinetu zobaczył swoją sekretarkę, przepychającą się z jakimś grubym, spoconym i nad wyraz wzburzonym menselem.

— Biniu, to ty?! Jak ty wyglądasz?! Co się... — Głos uwiązał Kayserowi w gardle, bo na rękawie marynarki Kaczmarka dostrzegł rudawoczerwone plamy.

Zdumiona sekretarka, która nadal nie rozpoznała gościa, przepuściła go do gabinetu inspektora.

220

Kayser zatrzasnął drzwi i skoczył do biurka, na którym stała karafka z wodą. Nalał całą szklankę i podał swojemu podwładnemu.

Kaczmarek pił łapczywie, wywracając ze zmęczenia oczyma. Jego wymizerowana, nieogolona twarz z szerokimi cieniami pod oczyma świadczyła o tym, że przeżył ostatnią noc nadzwyczaj intensywnie. Wyglądał jak upiór.

Kayser posadził go na krześle i dopiero wtedy zadał pytanie.

— Gdzie ty byłeś?!

— W kościele — wysapał Kaczmarek.

— Ty w kościele? A co tam robiłeś?!

— Jak to co?... Modliłem się.

— Przez całą noc?!

— Modliłem się o życie mojego kuzyna. Dopadł go ten cholerny zabójca... W bramie na Grobli...

Inspektor usiadł z wrażenia na krześle obok. Przez chwilę dyszał ciężko, luzując przyciasny kołnierzyk.

— Żyje? — wykrztusił w końcu.

— Mhmm. Ale ledwo, ledwo.

— Gdzie léży?

— W Przemienienia Pańskiego.

— Chwała Bogu. Mają tam świetną chirurgię. Ordynator pierwsza klasa. Słuchaj... Za godzinę wracam. Wtedy sobie pogadamy.

— A ty?... Dokąd idziesz?

— Muszę pilnie na dworzec. Mamy niespodziewaną wizytę. Nie uwierzysz, kto siedzi w salonce na bocznej przecznicy.

— Goebbels? — rzucił ponury żart Kaczmarek.

221

Kayser zatrzasnął drzwi i skoczył do biurka, na którym stała karafka z wodą. Nalał całą szklanke i podał swojemu podwładnemu.

Kaczmarek pił łapczywie, wywracając ze zmęczenia oczyma. Jego wymizerowana, nieogolona twarz z szerokimi cieniami pod oczyma świadczyła o tym, że przeżył ostatnią noc nadzwyczaj intensywnie. Wyglądał jak upiór.

Kayser posadził go na krześle i dopiero wtedy zadał pytanie.

— Gdzie ty byłeś?!

— W kościele — wysapał Kaczmarek.

— Ty w kościele? A co tam robiłeś?!

— Jak to co?... Modliłem się.

— Przez całą noc?!

— Modliłem się o życie mojego kuzyna. Dopadł go ten cholerny zabójca... W bramie na Grobli...

Inspektor usiadł z wrażenia na krześle obok. Przez chwilę dyszał ciężko, luzując przyciasny kołnierzyk.

— Żyje? — wykrztusił w końcu.

— Mhmm< Ale ledwo, ledwo.

— Gdzie leży?

— W Przemienienia Pańskiego.

— Chwała Bogu. Mają tam świetną chirurgię. Ordynator pierwsza klasa. Słuchaj... Za godzinę wracam. Wtedy sobie pogadamy.

— A ty?... Dokąd idziesz?

— Muszę pilnie na dworzec. Mamy niespodziewaną wizytę. Nie uwierzysz, kto siedzi w salonce na bocznej przecznicy.

— Goebbels? — rzucił ponury żart Kaczmarek.

221

B

— Gorzej. W drodze powrotnej z Warszawy zaszczycił nas sam Reichsfuhrer...

— Himmler? Co on tutaj robi? Kayser westchnął zniecierpliwiony.

— Nikt nic pewnego nie wie. Ale nasz ulubieniec Bombka zadzwonił dziś rano z informacją, że Himmler jest u nas tylko przejazdem, w dodatku zupełnie nieoficjalnie. Incognito.

— Niemożliwe.

— A jednak. Podobno zażyczył sobie odebrać osobiście jakieś cenne archiwalia z naszych poznańskich zbiorów...

— Kayser nagle zerwał się z krzesła i doskoczył znowu do Kaczmarka, bo ten zachwiał się, jakby miał spaść z krzesła.

— Co ci jest, Biniu?! Dobrze się czujesz?!

— Niezbyt. — Kaczmarek był blady, jak ściana. — Stary, nie masz tam po co jechać. Wierz mi...

— Jak to?!

— Muszę ci coś powiedzieć. I to teraz, natychmiast. To będzie coś naprawdę strasznego. Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, kwadrans po ósmej

— Czyś ty oszalał?! — Kayser spurpurowiał na twarzy, gdy sięgał do najniższych zakamarków swojej szafy, gdzie zwykle chował butelkę wódki. — Czy ty wiesz, co zrobiłeś?! Ty nie tylko pożegnałeś się ze służbą! Ty zadarłeś z Trzecią Rzeszą! A to śmierdzi grubszą aferą! Czy ty wiesz, jak to przedstawiają w Berlinie?! Naraziłeś na szwank nie tylko naszą reputację. Wystawiłeś na zagrożenie nasze między-

222
państwowe relacje z Niemcami! Nie muszę ci chyba tłumaczyć, jak bardzo są ostatnio napięte?!

— Wiem, co to znaczy — powiedział spokojnym tonem Kaczmarek. — Dlatego składam rezygnację...

— O nie, przyjacielu! — Kayser poderwał się z krzesła. — Nie pójdziemy na taką łatwiznę!

— Nie to miałem na myśli, szefie. Chodzi mi raczej o dobro służby. I pana, ma się rozumieć. To była moja głupota.

Kayser westchnął głęboko i pochylił się nad swoim wieloletnim podwładnym. Znał go i cenił, tym bardziej więc nie mógł pojąć, co podkusiło starego wygę, by działać niezgodnie z procedurą i za plecami przełożonego. Mało tego: by działać idiotycznie i zupełnie na oślep! Czuł jednak, że w tym szczególnym momencie jest mu coś winien. Choćby dlatego, że Kaczmarek już wiele razy uratował mu tyłek.

— Może nie powinienem ci tego mówić, ale wcale mi nie żal tego skurczybyka, którego postraszyliście w piwnicy — odezwał się, patrząc Kaczmarkowi prosto w oczy. — Mam rodzinę w Niemczech i doskonale wiem, na co stać tych bydlaków z ss. U nas też by sobie pohulali, gdyby tylko mogli. Ale z drugiej strony, nie mogę pozwolić na tak rażące nieporozumienia. Bo to było nieporozumienie, prawda, Biniu?! Po prostu błąd, wypadek przy pracy. To się może zdarzyć każdemu...

Mrucząc coś pod nosem, Kayser przespacerował się w poprzek pokoju.

— Nie pójdziemy na łatwiznę — zdecydował. — Dopóki góra nie zagrzmie, masz szansę się wykazać. A jak zagrzmie, to... hm... to się zobaczy.

223

— Szefie, to chyba nie jest dobry pomysł. Ten cały Wiese na pewno jest już w konsulacie niemieckim i lada chwila zrobi się z tego międzynarodowy skandal.

— Spodziewam się. — Kayser zerknął na zegarek i nagle zmienił swoje plany. — Wiesz co, Biniu? Chromołą Himmlera i tę jego bandycką świtę! Wysłałem tam Borowcza-ka — i wystarczy. Zastanówmy się lepiej, jak wybrnąć z tego bagna, w które wpadłeś. Lekko drżącą ręką nalał dwie setki wódki i podsunął jeden z kieliszków komisarzowi.

— Chyba muszę się zastanowić nad wcześniejszą emeryturą — oświadczył i przymknął oczy, wychylając alkohol.

Kaczmarek nie poznawał swojego szefa. Spodziewał się burzy z piorunami, a spotkała go co najwyżej mżawka. Druga setka, podsunęta mu usłużnie przez szefa, ostatecznie zniszczyła jego wyobrażenie o inspektorze Kayserze, które wyrobił sobie przez ponad dwadzieścia lat wspólnej służby.

— Huh! — Kayser sięgnął po karafkę z wodą. — Cholernie mocna ta żołądkówka. Ale do rzeczy... Musimy dopaść tego skurczybyka jeszcze w ten weekend, zanim zjedzą nas wszystkie poznańskie i europejskie gazety. Bo jeśli nie, to w poniedziałek nie wytłumaczymy się z tej hecy na Grobli, a wtedy możemy obaj złożyć wypowiedzenie na ręce Komendanta Głównego. I nie łudźmy się, że tylko na tym się skończy.

— Dopadnę tego skurwysyna. — Kaczmarek zacisnął pięści tak mocno, aż kostki mu zbieleły. — Dopadnę i uduszę. Przysięgam...

— Lepiej nie przysięgaj. Rzeczpospolita Polska jest państwem praworządnym i niech już tak zostanie. Winny tych

224

zbrodni zostanie ukarany przykładowo, acz w zgodzie z kodeksem karnym.

— Na szczęście mamy w nim zapisaną karę śmierci — dopowiedział ponuro Kaczmarek.

— To co robimy, szefie?

— Ty zawiadom o wszystkim rodziców Janka. Nie powinni trwać w niepewności. Ja biorę na siebie władzę. A potem robimy naradę. Meldujesz się u mnie o dziewiątej. Tylko się przebierz, na miłość boską! Śmierdzisz jak ostatni menel!

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, ósma trzydzieści

Pierwszy odezwał się niezawodny wiceprezydent Konrad Bombka. Zaczął od wysokiego c.

— To kompromitacja i całkowity brak profesjonalizmu! Ta sprawa godzi w dobrosąsiedzkie stosunki z naszym sojusznikiem! — wykrzyczał w słuchawkę. — Żądam wyciągnięcia najwyższych konsekwencji w stosunku do winnych tej prowokacji! To niepojęte i nieodpowiedzialne zachowanie zasługuje na karę...

Kayser odczekał w milczeniu, aż karabin maszynowy po drugiej stronie linii się zatnie.

Nastąpiło to po trzech minutach z małym hakiem.

— Tak jest, panie prezydencie — zapewnił szefa miejskiego decernatu do spraw bezpieczeństwa. — Sęk w tym, że nie wiem, o którego naszego funkcjonariusza chodzi. Ale ustalę to niezwłocznie!

— Natychmiast! — wszedł mu w słowo Bombka i przejął inicjatywę na następne dwie minuty, w trakcie których Kayser odłożył słuchawkę na blat stołu i spokojnie nabił swoją

225

fajkę, by wypuścić ku sufitowi pierwszą tego dnia chmurkę dymu. — Rozumiemy się, inspektorze?!

— Jak najbardziej, panie prezydencie. Jak najbardziej.

— To dobrze... — Bombka nagle się zawahał. — Ale, ale! Dlaczego pan nie jest na dworcu, jak pana o to prosiłem?!

Kayser chrząknął, by nadać swojemu głosowi większą powagę.

— O bezpieczeństwo Reichsführera zadba mój podwładny — powiedział. — Zatrzymała mnie sprawa nożownika. Jak pan sobie zapewne przypomina...

— Macie go?! Gdzie?! Kiedy?!

— Jesteśmy coraz bliżej. To kwestia dni.

— To jeszcze go nie dorwaliście?!

— Panie prezydencie, zapewniam, że dowie się pan pierwszy... Najmocniej przepraszam, obowiązki wzywają.

Bulgocząca złością słuchawka ucichła dopiero na widełkach.

Ale nie milczała długo. Chwilę później zadzwonił konsul. Kayser z miejsca rozpoznał chropawy głos konsula.

— Panie inspektorze, musimy pilnie porozmawiać...

— Tak, znam sprawę. Dzwonił już do mnie wiceprezydent Konrad Bombka — uciął przemowę dyplomaty. — Pan wybaczy, ale to przestępstwo, do którego doszło na terenie Rzeczypospolitej Polskiej, i sprawą zajmują się już właściwe, polskie organa.

— Rozumiem. — Z głosu konsula przebijał słabo skrywany zawód. — Mam nadzieję, że sprawa zostanie szybko wyjaśniona. Berlin domaga się ukarania winnych.

— Oczywiście. Warszawa również — odpowiedział Kayser wymijająco i odłożył słuchawkę.

226

To były prorocze słowa. Zaraz potem zadzwonili kolejno: wysoki przedstawiciel Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej, asystent ministra spraw wewnętrznych, w końcu sam Komendant Główny Policji. Kayser wiał się jak piskorz przy telefonie, zapewniając, że szybko ustali sprawców tego „pożalowania godnego incydentu”, który „zaciążył na pozytywnym wizerunku Policji Państwowej”.

— Nie wątpię, że rozumie pan, jakie to ważne w kontekście międzynarodowym — zakończył sztywną, chłodną rozmowę komendant główny.

Na koniec zadzwonił Juliusz Bock, wschodząca gwiazda dziennikarstwa śledczego z „Dziennika”.

— Podobno wywołaliście panowie kolejną wojnę światową — rzucił z przekąsem do inspektora.

Ta gnida też przyjaźni się z konsulem?! Kayser nie miał czasu, by odpowiedzieć sobie na to pytanie. Dziennikarza potraktował krótko.

— To jakieś koszmarnie plotki — rzucił do słuchawki i zakończył rozmowę.

— Uff!!! — Starł pot z czoła, wpatrując się w wiszący nad głową portret prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Moje kłopoty to błahostka. Prezydent — ten to się musi denerwować, pomyślał. I nagle zrobiło mu się lżej na duszy.

Zrozumiał, że właśnie kupił sobie kilka godzin spokoju.

?

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, dziewiąta z minutami

Dym z fajki inspektora Kaysera utworzył nad głowami zebranych przy stole gęstą, nieprzeniknioną chmurę. Wszyscy

227

wpatrywali się w rozsypane na stole niedopałki marki „Overstolz” jak w święte relikwie. Kaczmarek kręcił palcami nerwowe młynki, przygryzając wargę.

— Możemy porównać odciski palców — zaproponował doktor Marciniak.

— Nie trzeba, Wojtuś. — Kaczmarek machnął ręką. — Sam wiesz, że tej marki u nas nie sprzedają. To zrobił ten sam bydlak, to pewne jak amen w pacierzu.

Inspektor Kayser wypuścił nosem dym i odłożył cybuch na podstawek.

— Nie rozumiem tylko, dlaczego pod nóż trafił mu akurat twój kuzyn, Biniu?! To wygląda na dość przypadkową historię...

— Tylko pozornie — wszedł mu w słowo komisarz. — Przemyślałem sprawę i wiem, że nie było w tym żadnego ślepego losu. Jan był następny, bo jako ostatni rozmawiał z Januszem Pióram tuż przed jego śmiercią. Spotkali się w „Arkadii” i spędzili razem cały wieczór. Zabójca musiał ich widzieć. Diabli wiedzą, dlaczego zdecydował, że zabije obydwóch.

— Tak, to się trzyma kupy — poparł go Marciniak. — Czego zatem obawia się nasz demon?

— Pamiętajmy, że zarówno Pióro, jak i Wolski pracowali w wywiadzie. Zabójca mógł sądzić, że Janek też jest agentem — Kaczmarek zreferował swoje wnioski beznamiętnym tonem.

— A ja się łudziłem, że chodzi o tego furiata z trzydziestego ósmego. — Marciniak uśmiechnął się kwaśno.

— Nie ty jeden, Wojtuś. Nie ty jeden...

228

Kayser westchnął zniecierpliwiony i stuknął pięścią w blat stołu.

— Mam wrażenie, że bez tych lalusiów z „Dwójki” nie ruszymy do przodu. Muszą nam w końcu powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Musimy to wiedzieć, zanim rozpęta się międzynarodowa awantura z powodu jakiegoś szemranego naukowca z ss, który ekscytuje się rysunkami palonych czarownic i zbiera je dla swojego nienormalnego szefa!

— A swoją drogą to ciekawe, po co takie rzeczy Reichs-fiihrerowi Himmlerowi — uśmiechnął się doktor Marciniak.

— To rzeczywiście dobry temat dla lekarza. Ale psychiatry.

Roześmiali się szczerze, po raz pierwszy tego nerwowego, pełnego napięcia i oczekiwania na spodziewany cios poranka.

Ich śmiech przerwał natarczywy dźwięk telefonu. Kayser wstał od stołu i podszedł do biurka. Kiedy podniósł słuchawkę, z miejsca zrobił się czerwony.

— Tak jest, panie ministrze! — odpowiedział sprężyście i mimowolnie stanął na baczność. — Tak jest, niebawem to ustalimy... Oczywiście! Absolutnie! Rozumiem! To rozkaz, rozumiem. Tak jest!

Stukot obcasów Kaysera świadczył o tym, że pryncypał w Warszawie zakończył swój monolog. Inspektor z należnym szacunkiem odłożył słuchawkę i spojrzał zmieszonym wzrokiem na Kaczmarka.

— Nie jest dobrze — przyznał niechętnie. — O wszystkim wie już Ambasada Rzeszy w Warszawie, która przed

229

chwilą złożyła oficjalny protest na ręce naszego ministra spraw zagranicznych. Sprawa wydoszła się już na ulicę, ponoć cała Warszawa huczy o „porwaniu niemieckiego uczonego”. Właśnie zebrał się rząd. Minister domaga się stanowczo, abyśmy jeszcze dzisiaj pofatygowali się do konsulatu i przeprosili osobiście konsula Rzeszy i tego naukowca za tę chryję. Tylko to może zapobiec eskalacji konfliktu.

Kaczmarek przestał kręcić młynka i skrzywił się z niesmakiem.

— Nawarzyłem piwa, to je teraz wypiję — oświadczył bez entuzjazmu. — I tak mnie już nie ma.

Kayser uśmiechnął się kwaśno.

— Jesteś, ale z pewnością już nie w naszym służbie — oznajmił. — Minister nie wie jeszcze, kto ośmielił się porwać naukowca z Lipska, ale dał mi już jasną dyspozycję: winnego tej afery natychmiast wydalić z szeregów policji i przekazać sądowi doraźnemu. Przykro mi, Biniu, wiesz, co to znaczy.

— Tak jak mówiłem. Mnie już nie ma.

Inspektor spojrzał litościwie na swojego podwładnego, jakby był on aspirantem, który dopiero stawia pierwsze, niepewne kroki w zawodzie.

— Może nie będzie tak źle, Biniu — powiedział. — Mam dobre dojście do ministra. Jeden z jego zastępców to mój stary znajomy z Jagiellonki. Może coś szepnie...

— Daj spokój, szefie. — Kaczmarek poczuł się ostatecznie upokorzony. — Zróbmy wszystko, jak należy, bez zbędnych sztuczek. Od razu idźmy do konsulatu i wyjaśnijmy sprawę.

— Masz rację, Biniu. Tak będzie chyba najlepiej...

230

Ciszę, jaka zapadła po tych słowach, rozdarł znowu nieznośny brzęk telefonu.

— To do ciebie. — Kayser podał słuchawkę zbitemu jak pies Kaczmarkowi.

— Słucham...

— Pan komisarz Kaczmarek? Tu mówi Lacki, ordynator oddziału chirurgicznego...

— Tak?! — Słuchawka wypadła na moment ze spoczonej dłoni komisarza. — Proszę mówić... Co się stało?! Czy...

— Chciałem pana zawiadomić, że pacjent Krzepki odzyskał przytomność.

SZOK I UPOKORZENIE

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, dziesiąta trzydzieści

Przed drzwiami szpitalnej sali przeżyli się dwaj rośli policjanci z karabinami u nóg. Na widok zbliżających się szybko mężczyzn natychmiast groźnie zmarszczyli brwi i skierowali lufy w ich stronę. Widok ordynatora w białym kitlu, spieszącego za trójką przybyszów uspokoił ich jednak na tyle, że za chwilę ich "broń mierzyła do lśniącej czystością podłogi.

Kaczmarek machnął im przed oczyma swoją policyjną odznaką.

— Jak tam chłopcy, spokojnie? — zagadnął bez uśmiechu.

— Tak jest, panie komisarzu! — Drągale dopiero teraz rozpoznali sławnego policjanta, z którym nie raz wyjeżdżali na różne szybkie akcje. — Nikt podejrzany się tu nie kręcił.

— To dobrze. Oby tak dalej — wysapał Kaczmarek i pchnął wahadłowe, dwudzielne drzwi, by dostać się do wnętrza sali.

Okna pomieszczenia wychodziły na zachód, więc w otoczonej grubymi murami sali panował przyjemny chłód, kontrastujący z upałem tężejącym na zewnątrz.

233

Przy jedynym łóżku, nad którym wisiał sporych rozmiarów krucyfiks, czuwała siostra szarytka, przecierając zwilżoną w miednicy gazą rozognione czoło i policzki ciężko rannego. Jan Krzepki leżał półprzytomny na lekko uniesionej w górę poduszce. Cały tułów miał szczelnie obandażowany. Po lewej stronie, na wysokości żeber, przez bandaż prześwitywał ogromny, skrwawiony opatrunek. Szkarłatna plama w zestawieniu z trupioblady obliczem zrobiła na przybyłych ponure wrażenie.

Krzepki z ogromną trudnością podniósł oczy w górę, by przywitać się wzrokiem z gośćmi. Na widok Kaczmarka uśmiechnął się słabo, za to jakby z poczuciem ulgi. Poza lekarzem nie znalazł pozostałych dwóch osób, ale domyślił się, że są z policji.

— Panowie, tylko bardzo proszę: nie męczcie pacjenta. Kilka pytań i „do widzenia” — ordynator nie był szczęśliwy z aż tak licznych najścia i nie potrafił tego ukryć. — Ja wszystko rozumiem, ale nasz pacjent naprawdę był już jedną nogą po drugiej stronie.

— Jasne, panie doktorze. — Kaczmarek, korzystając z tego, że spłoszona ich pojawieniem się siostra zwolniła przystawione do łóżka krzesło, przysiadł na nim ciężko. — I jak tam jest u Pana Boga za piecem, mój drogi kuzynie?

Najchętniej uściskałby go serdecznie, ale na razie nie mógł. Ciepłe, słone łzy kapały mu po brodzie, ale nie dbał o to. Kąciki oczu Krzepkiego zwilgotniały równie szybko.

— Nie zdą-ży-łem... się ro-zej-rzeć... — Jan zdobył się na żart, choć widać, było, że każde słowo kosztuje go sporo wysiłku i bólu.

234

— Nie forsuj się tak, kuzynku. — Komisarz przejął porzuconą przez siostrę szmatkę, wyżał ją fachowo nad miednicą i przetarł nią spocone czoło chorego.

— A co z tym Szwa-bem? — Spieczona usta Jana wygięły się z wysiłku.

Kaczmarek westchnął nieszczęśliwy, że musi znowu wrócić do tego żalosego tematu.

— Już nas wszystkich zakapował, gdzie trzeba. A nawet gdzie nie trzeba. Wszystko wskazuje na to, że po raz ostatni składam ci wizytę jako oficer policji. Potem czeka mnie już tylko sąd doraźny i sam wiesz, co dalej...

Uśmiechnął się do Jana, ale nie wywołał bynajmniej wesołości na jego wymizerowanej twarzy.

— Będzie do-brze — usłyszał cichy świst wydobywający się z płuc kuzyna.

— Dzięki za dobre słowo. Ale szkoda twoich sił na czcze gadanie. Janeczku kochany...
— Kaczmarek obtarł końcem rękawa łzy — ...musisz się na chwileczkę skupić i bardzo precyzyjnie opowiedzieć, co pamiętasz z tamtej cholernej chwili, kiedy jak skończony dureń wysłałem cię samego po żarcie dla tego esesmana...

— Daj spo-kój, Bi-niu... Nie two-ja wi-na... — Jan mówił teraz rwanym szeptem, z trudem łapiąc powietrze. — Prawdę mó-wiąc, nie-wie-le pa-mię-tam... Za-szedł mnie od ty-łu... Zda-je mi się, że... że za-py-tał o o-gień, a po-tem we-pchnął w bra-mę i...

— I wiemy, co się stało — przerwał mu Kaczmarek. — Jak wyglądał ten skurwysyn?! Pamiętasz?!

Krzepki zmarszczył czoło. Widać po nim było, że z najciemniejszych zakamarków swojej pamięci stara się

235

J>

wydobyć wszystko to, co odcisnęło się w niej bolesnym piętnem.

— Pa-mię-tam jak przez mgłę... Był wy-so-ki — powiedział świszczącym głosem. — I bar-dzo silny. Miał wielkie dło-nie...

Nagle Krzepki otworzył szerzej oczy.

— ...I ta-tu-aż... — wyszeptał. — Na pra-wej dło-ni...

— Tatuaz?! W jakim kształcie? — zainteresował się Kaczmarek.

— Nie pa-mię-tam... To by-ły se-ku-ndy... Miał straszną twarz...

Oddech Jana przyspieszył nagle gwałtownie, a w jego oczach, które widziały już niejedno, pojawił się błysk paniki.

— Dosyć! — Ordynator precyzyjnie się między policjantami i bezpardonowo szarpnął komisarza za ramię. — Stanowczo nalegam, żeby przerwać to przesłuchanie! Ten człowiek żyje dzięki cudowi, nie rozumiecie tego?!

Kaczmarek powstrzymał nerwy na wodzy i spojrzał z błagalną miną w oczy lekarza.

— Doktorze, to szalenie ważne — poprosił łagodnie. — Szukamy maniakalnego mordercy, który w tym jednym tylko tygodniu posłał do piachu dwóch młodych mężczyzn, a gdyby nie opatrność, mógłby sobie dopisać w kajecie także mojego kuzyna. Jeszcze tylko jedno pytanie, zgoda?!

Ordynator zerknął na Krzepkiego. Pacjent uspokoił się i przymknął oczy.

— Zgoda, jedno pytanie. Ale krótkie! — rzucił lekarz.

Był zły, że musi się godzić na ten kompromis.

Komisarz czule pogłaskał kuzyna po głowie. Jan otworzył powieki i spojrzał na Kaczmarka jak na matkę.

236

wydobyć wszystko to, co odcisnęło się w niej bolesnym piętnem.

— Pa-mię-tam jak przez mgłę... Był wy-so-ki — powiedział świszczącym głosem. — I bar-dzo silny. Miał wielkie dło-nie...

Nagle Krzepki otworzył szerzej oczy.

— ...I ta-tu-aż... — wyszeptał. — Na pra-wej dło-ni...

— Tatuaz?! W jakim kształcie? — zainteresował się Kaczmarek.

— Nie pa-mię-tam... To by-ły se-ku-ndy... Miał straszną twarz...

Oddech Jana przyspieszył nagle gwałtownie, a w jego oczach, które widziały już niejedno, pojawił się błysk paniki.

— Dosyć! — Ordynator precyzyjnie się między policjantami i bezpardonowo szarpnął komisarza za ramię. — Stanowczo nalegam, żeby przerwać to przesłuchanie! Ten człowiek żyje dzięki cudowi, nie rozumiecie tego?!

Kaczmarek powstrzymał nerwy na wodzy i spojrzał z błagalną miną w oczy lekarza.

— Doktorze, to szalenie ważne — poprosił łagodnie. — Szukamy maniakalnego mordercy, który w tym jednym tylko tygodniu posłał do piachu dwóch młodych mężczyzn, a gdyby nie opatrność, mógłby sobie dopisać w kajecie także mojego kuzyna. Jeszcze tylko jedno pytanie, zgoda?!

Ordynator zerknął na Krzepkiego. Pacjent uspokoił się i przymknął oczy.

— Zgoda, jedno pytanie. Ale krótkie! — rzucił lekarz.

Był zły, że musi się godzić na ten kompromis.

Komisarz czule pogłaskał kuzyna po głowie. Jan otworzył powieki i spojrzał na Kaczmarka jak na matkę.

236

— To był Polak? — Pytanie komisarza było rzeczywiście krótkie.

Jan powolnym ruchem szyi pokręcił przecząco głową.

— Miał ob-cy ak-cent — wyszeptał.

Kaczmarek skinął głową na znak, że rozumie, i podniósł się z krzesła.

— Dziękuję, Janie. Zdrowiej szybko. Obiecuję ci... Obiecuję, że złapiemy tego skurwysyna, zanim wrócisz do domu.

Walcząc ze wzruszeniem, komisarz pozdrowił Jana uniesioną dłonią i ruszył ku drzwiom.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, o tej samej porze

Przeciągał się w szerokim łożu. Nie mógł spać, ale bynajmniej nie z powodu krwawej sceny, która co chwila odtwarzała mu się pod powiekami. Rozpierała go duma z dobrze wykonanego zadania. Dopadł trzeciego. Mógł zameldować szefowi, że siatka została zlikwidowana. I że sprawa nie wydostanie się na światło dzienne, aż w końcu ktokolwiek przestanie się nią wzruszać.

Jedynie, co nie dawało mu spokoju, to fakt, że zadał tylko jeden cios. Miałby większą pewność, gdyby kilka razy zanurzył swoje długie ostrze w ciele ofiary. Że też mleczarz pojawił się akurat w takim momencie! Nie mógł jednak ryzykować, że ktoś go zobaczy i zapamięta. Musiał się natychmiast schować. Zresztą poczęstował tego dryblasa taką kosą pod żebro, że na pewno nie ma go już wśród żywych. Nie ma prawa!

237

Obrócił się na bok i wyciągnął rękę w stronę zachęcająco krągłego biodra.

— Guuudrun... — mruknął i przywarł całym ciałem do gorącej kobiety obok.

O tak, należy mi się nagroda, powtarzał obsesyjnie w myślach.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, pięć minut później

Wpadli na siebie na zakręcie schodów.

Wilhelmina od razu zgadła, z kim ma do czynienia. Jej piersi falowały emocjami, czarne, gęste włosy wylewały się falą na ramiona, a złotawokarmelowe oczy z miejsca przykuły wzrok policjanta i nakazały mu się zatrzymać.

— Komisarz Kaczmarek, nicht wahr?! — Wilhelmina była wzburzona.

— Tak...

— Gdzie on leży?! Gdzie?!

— Sala 107, droga pani.

— Czy...

— Bóg nad nim czuwa, Wilhelmino.

— Gott sei Dank! — wykrzyknęła dziewczyna i pobiegła w górę.

Kaczmarek zrobił ledwie dwa kroki, kiedy usłyszał ciężkie sapanie. Z laską u boku wspinał się dziarsko w górę siwiutki starszy pan. Pękata postura i zaawansowany wiek utrudniały mu zadanie. Na widok Kaczmarka zatrzymał się i dyszał ciężko, uczepiony balustrady.

238

— Przykro mi, stryju. — Komisarz czuł się wyjątkowo niezręcznie. — To moja wina, to ja się na to zgodziłem.

Ignacy Krzepki uniół swoje siwe krzaczaste brwi i obrzucił policjanta smutnym spojrzeniem.

— Rozumiem, że to miało związek ze śmiercią Janusza Pióry — powiedział.

— Mieliliśmy podstawy tak sądzić — Kaczmarek wiedział, że cokolwiek teraz powie, i tak będzie niewiarygodny. — Niestety, zśliśmy ślepym torem. W dodatku ciągnąc za sobą mordercę...

Starszy pan spojrzał pytająco na Kaczmarka.

— To był jego pomysł, prawda? — zapytał.

— Nie rozumiem...

— To Jan chciał zrobić tę całą akcję?

Komisarz nie odpowiedział. Stary pokiwał głową.

— Wiedziałem, że to wyszło od niego. Wiesz, Biniu, on bardzo przeżył śmierć kolegi... Z Januszem byli swego czasu jak bracia. Nierozłączni. Od chwili jego śmierci był jakiś nieswój. Ciągłe tylko czyścił pistolet i powtarzał, że musi dorwać mordercę Janusza... Nie mogliśmy już tego z żoną słuchać...

— A jak się czuje stryjenka? — Kaczmarek dopiero teraz zorientował się, że nie ma jej u boku stryja Ignacego.

— Niedobrze, Zbigniewie. Nie była w stanie przyjść tu ze mną...

— Bardzo mi przykro, stryju. Gdybym tylko wiedział...

— Nie wracajmy już do tego. Gdzie on jest?

— W sali 107.

— Jak się ma?

— Jest nadzieja. Odzyskał przytomność.

— Bogu niech będą dzięki!

239

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, kwadrans przed jedenastą

Policjanci przy drzwiach zbaranieli, widząc rozpedzoną piękną dziewczynę. Ordynator Lacki też nie miał żadnych szans. Dziewczyna odepchnęła go od drzwi z siłą, o jaką nigdy by nie podejrzewał tak drobnej i pięknej istoty. Widząc, z jakim uczuciem dobiegła do łóżka i przytuliła się do ręki rannego, skapitulował i przyjął pozycję biernego obserwatora.

Wilhelmina płakała ze smutku i szczęścia, a Jan próbował objąć jej wstrząsane spazmami ciało w pół, ale nie miał siły.

— Tylko nie za długo, proszę. — Ordynator też się wzruszył i wypowiadając te słowa, odwrócił głowę, by nikt nie dostrzegł jego chwili słabości.

Wilhelmina głaskała Jana po dłoni i pocieszała go, jak tylko mogła.

— Do wesela się zagoi — powiedziała nagle i Krzepki zrozumiał, że te słowa nie zostały wypowiedziane przypadkiem.

Na jego zbolalej twarzy pojawił się nagły uśmiech.

— To mu-szę się po-spie-szyć — wyszeptał.

Po twarzy Wiki płynęły słone groszki. Trwali wpatrzeni w siebie, jakby cały świat wokół stał się nagle tylko dekoracją. Siostra szarytka, która weszła na salę z miednicą wypełnioną świeżą wodą, stanęła w drzwiach w niemym zachwycie nad tym obrazem harmonii i uczucia. Nagle czarne brwi Wilhelminy zmarszczył grymas. Pochyliła się nad rannym i zbliżyła swoje usta do jego ucha.

Jan zrozumiał, że chce mu powiedzieć coś niezwykle ważnego.

240

V

— Kochanie, to dziwna sprawa. Wiem, że muszę ci o tym powiedzieć, choć bardzo mi z tym ciężko... — Dziewczyna miała przejętą minę i co chwila rozglądała się na boki. — Chodzi o mojego ojca...

Krzepki wznosił ku niebu swoje zamglone oczy.

— ..to naprawdę ważne, Janie. I nie chodzi o nas. Od jakiegoś czasu ojca odwiedzają nieznani mi mężczyźni. A od niedawna w naszej piwnicy stoją dwie drewniane skrzynie zamknięte na kłódki...

-Tak?...

— Ojciec powiedział mi, że trzyma w nich Kartoffeln. Ale to nieprawda...

Brwi Krzepkiego uniosły się nagle w górę.

— ...zakradłam się dziś rano do piwnicy, tak, żeby Vati nie widział. Udało mi się zajrzeć przez szpary w deskach do środka. Janie... Wydaje mi się, że... że w tych skrzyniach jest broń...

Kapitan Krzepki odruchowo poderwał się w górę, ale natychmiast padł na poduszkę, rażony gromem bólu.

— Jesteś pewna? — wyszeptał.

— Tak mi się wydaje. Widziałam tylko równo leżące drewniane kolby. To wyglądało jak karabiny...

— Wika, to poważne oskarżenie. Jesteś absolutnie pewna, że chodzi o broń?

Dziewczyna zawahała się na moment, jakby dopiero teraz dotarło do niej, co jej świadectwo może oznaczać dla ojca i dalszych losów jej rodziny.

— Tak — wyszeptała drżącym głosem. — Nie wiem, w co się wplątał mój ojciec, ale wiem, że to coś złego. I że trzeba z tym skończyć.

241

Warszawa, sobota 5 sierpnia 1944, jedenasta

W jednej z reprezentacyjnych sal Zamku Królewskiego majestatyczny zegar ścienny wybił pełną godzinę. Echo tych uderzeń poniosło się wyściełanym purpurowym dywanem korytarzem w głąb zamkowych sal, nie oderwało jednak od ponurych myśli trzech dżentelmenów w przepastnych, obitych skórą fotelach. Dwóch z nich ubranych było w drogie fraki, lśniące nienagannie. Ich wytworne kapelusze spoczywały na ławie pomiędzy fotelami. Trzeci z mężczyzn miał na sobie efektowny mundur z równym rządkiem orderów na lewej piersi. Fantazyjne wężyki na kołnierzyku opinającym szczelnie jego szyję przydawały tysej głowie majestatu. Jego rogatywka leżała pomiędzy cylindrami, przykrywając fragment mapy Rzeczypospolitej.

Na szerokiej płachcie widać było naniesione mazakiem czerwone kółka we wschodnich województwach oraz u zachodnich rubieży kraju.

— Panowie — odezwał się w końcu najstarszy z mężczyzn, z przyprószonymi siwizną skrońmi i sarmackim wąsem. — Nie możemy zastanawiać się w nieskończoność. Musimy w końcu podjąć jakąś decyzję.

Najwyższy ze zgromadzonych zaczesał dłonią swoje ciemne włosy na tył głowy i założył nogę na nogę.

— Sytuacja jest beznadziejna — zauważył z miną pesymisty. — Oni nie ustąpią. Jesteśmy w kleszczach, a pomocy znikąd.

Wojskowy klepnął po głównej przytroczonej do boku szabli.

242

— Trzeba było bić się już wtedy, w trzydziestym dziewiątym — powiedział cierpkim głosem.

— Zawsze to powtarzasz! — parsknął najwyższy, wyraźnie rozeźlony. — Ale nigdy nie dodajesz, jaki byłby wynik tego starcia. To pachniało samobójstwem. Przecież wiesz, że Zachód nie ruszyłby nawet palcem w naszej obronie. Świętej pamięci Marszałek przewidział to już w trzydziestym trzecim...

— Marszałek wiedziałby, jak teraz postąpić.

— Zapewne. Ale przecież zawsze nam powtarzał: „Wy się w tę wojnę beze mnie nie pchajcie”...

— „...bo wy ją beze mnie przegracie” — dokończył za niego najstarszy. — Pamiętamy, panie ministrze. Wielka szkoda, że Marszałka nie ma dziś z nami. Ale nie cofniemy zdarzeń. I nie ma już czasu na kłótnie. Trzeba działać. Czy pańscy ludzie dzwoniли już do Poznania?

— Tak jak pan prosił, ekscelencjo — przytaknął najwyższy. — Magistrat i wojewoda już wiedzą, co mają robić.

— Szlag by to trafił! — syknął wojskowy i podrapał się po wygolonej skroni. — Jakby mało było problemów! Przecież oni mogą to wykorzystać jako casus bellii! Zaatakowany został członek ss!

— Poznań dostał już jasne instrukcje. — Najwyższy z dżentelmenów sięgnął po cygaro. — Jeszcze dziś winni tego incydentu udadzą się do tamtejszego konsulatu i przeproszą za to pożałowania godne nieporozumienie. A potem polecą głowy. Tak już to jest, nie tylko w polityce...

Syk zapalki i kółka dymu nad ławą rozładowały nieco wiszące w powietrzu napięcie.

243

Wojskowy wstał z fotela i podszedł do okna. Przed Zamkiem ćwiczyła musztrę kompania piechoty z nowego naboru. Równe rzędy piechurów obracały się sprawnie w rytm rzucanych przez dowódcę komend.

— Musimy maksymalnie przeciągać sprawę — powiedział, nie odwracając się do zebranych. — Ich garnizony są pod naszą obserwacją. Teraz potrzebujemy czasu na tajną mobilizację.

4

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, dwunasta

Kaczmarek wszedł do swojego gabinetu z przykrym wrażeniem, że jest tu po raz ostatni. Poczłł suchość w ustach i duszność w piersiach. Podszedł do okna i "otworzył je szeroko, wpuszczając do wnętrza suche, gorące powietrze.

Odbite w szybach „Arkadii” słońce połaskotało go po oczach.

— Naaaaaaapięcie na linii Berlin-Warszaaaawaaaa! Czy Niemcy opuszczą nasze Kreeeeesy?!... — usłyszał przeciągły, zawodzący krzyk nastoletniego gazeciarza, biegnącego w stronę ulicy Ratajczaka z naręczem „Kuriera Poznańskiego”.

Przechodnie zatrzymali go na skrzyżowaniu i otoczyli sporą grupką, wykupując na pniu wszystkie egzemplarze gazety.

Pisk opon pod gmachem Prezydium Policji odciągnął wzrok komisarza od rozemocjonowanych czytelników. Spojrzał w dół. Pod główne wejście zajechał z gracją czarny fiat z herbem miasta na drzwiach. Szofer wyskoczył z za kierownicy i wyćwiczonym przez lata ruchem otworzył tylne

244

drzwi auta. Widok wysokiej, sztywnej postaci w meloniku, która wychynęła z wnętrza, z miejsca podniósł Kaczmarkowi ciśnienie.

Wiceprezydent Konrad Bombka wbiegł do budynku, nie pozostawiając żadnych złudzeń, w jakim celu nawiedził policyjne progi. Za nim do Prezydium wpadł niski asystent z magistratu. Już wie, że to ja, przemknęło przez myśl Kaczmarkowi. Ale nie zrejterował. W blasku południa delektował się ostatnią chwilą spokoju.

Bombka pokonał schody w tempie godnym olimpiady w Berlinie. Trzask drzwi był sygnałem, że rozsierdzony zwierzchnik właśnie dopadł swoją biedną ofiarę w jej nędznej norze.

— Co za wstyd, komisarzu! — Urzędnik ściągnął swoje białe rękawiczki i teatralnym gestem rzucił je na blat stołu. — Co za wstyd! Żądam jak najszybszego przeproszenia szanownego konsula Rzeszy w Poznaniu, a potem natychmiastowej dymisji! To skandaliczne nieporozumienie nie może być dłużej kojarzone z naszym szacownym miastem!

Okragły asystent Bombki wtoczył się za szefem do pokoju i z wrażenia oparł się o drzwi. Pierwszy raz widział, jak jego szef ruga tak znanego policjanta.

— Pan milczy, komisarzu?! Pan nie ma prawa milczeć! Nie po takim afrontie wobec naszego miasta! — piał wiceprezydent, a na jego ustach pojawiły się bąbelki śliny. — Apeluję do pańskiego poczucia honoru i żądam bezwarunkowej dymisji! Natychmiast! Juuuż! Kaczmarek nabrał pełne płuca powietrza. Miał już dosyć połajanek i przytyków ze strony tego aroganckiego

245

imbecyla wyniesionego przedziwnym zrządzeniem polityki na wysoki stołek w magistracie.

— Na pana miejscu nie podnosiłbym głosu — zaczął spokojnie. — Tym bardziej, że jest pan potencjalnym świadkiem w tej sprawie i w każdej chwili któryś z moich przełożonych może się przyczepić, dlaczego dotychczas pana nie przesłuchałem...

— Coooo?!

— A może jest pan nie tylko świadkiem? Zresztą, bladeść pańskich lic, podkrążone oczy i charakterystyczne drżenie rąk mogą sugerować, że nadal bywa pan gościem nocnego lokalu... »

Asystent wiceprezydenta zrobił się bladej jak ściana. Za to łysa głowa wiceprezydenta spurpurowiała niczym arcybiskupia piuska.

— To skandal! — wyharczał. — Jak pan śmie!

— ...pańska szanowna małżonka, jak mniemam, mogłaby być nieco zaskoczona osobliwym charakterem pana nocnych, że tak powiem, obowiązków... — ciągnął Kaczmarek.

— To szantaż!

— ...tym bardziej, że sprawy obyczajowości publicznej nie leżą, jak mi się zdaje, w zakresie pańskiego decer-natu.

— To obrzydliwy szantaż! — zbulgotał Bombka.

Choć wspiał się na palce niczym kogut szykujący się do

ataku, z trudnej do pojęcia przyczyny nie potrafił wydobyć z siebie niczego więcej.

— Nie, szanowny panie. To tylko życie. Samo życie. — Komisarz z pogardliwą nonszalancją sięgnął po butelkę

246

i nalał sobie do szklanki wodę mineralną. — Czy my się dobrze rozumiemy, panie prezydencie?

Bombka wyglądał, jakby za chwilę miał dostać wylewu. Dyszał ciężko, szukając słów i konceptu. Jego asystent, udając, że nic nie słyszał, wybiegł z ogłupiałą miną na korytarz. Przez ciężkie sapanie Bombki przedarł się syk słabo zawołowanej groźby:

— Rozumiemy się, kochanieńki. Jeszcze mi za to odpo-wieszszszsz...

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, trzynasta

— Biniu, jesteś tam jeszcze? — Głos inspektora Kaysera w słuchawce był dziwnie nerwowy.

— Jedziemy do konsulatu?

— Jeszcze nie teraz. Smaruj tu do mnie! Natychmiast!

Niech to szlag! — Kaczmarek rzucił łyżką w talerz, aż

zadźwięczało. Parująca jeszcze kaszanka na jego biurku, usłudnie przyniesiona z bufetu przez Nowaka, a dodatkowo okraszona smażoną cebulką i płomykiem musztardy, znowu miała się

zmarnować. Być może to ostatni kaszak w tej służbie, wzruszył się w myślach. Na zewnątrz pozostał jednak twardy.

— Uprzątnij to! — rzucił do przodownika i wybiegł na korytarz.

Schody na piętro pokonał w niezłym tempie. Pozdrowił ręką sekretarkę Kaysera i wpadł do gabinetu szefa.

Kayser czekał już za stołem. Po obu jego stronach siedziało dwóch młodych mężczyzn. Ich włosy przylizane były

247

i nalał sobie do szklanki wodę mineralną. — Czy my się dobrze rozumiemy, panie prezydencie?

Bombka wyglądał, jakby za chwilę miał dostać wylewu. Dyszał ciężko, szukając słów i konceptu. Jego asystent, udając, że nic nie słyszał, wybiegł z ogłupiałą miną na korytarz.

Przez ciężkie sapanie Bombki przedarł się syk słabo zawołowanej groźby:

— Rozumiemy się, kochanieńki. Jeszcze mi za to odpo-wieszysz...

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, trzynasta

— Biniu, jesteś tam jeszcze? — Głos inspektora Kaysera w słuchawce był dziwnie nerwowy.

— Jedziemy do konsulatu?

— Jeszcze nie teraz. Smaruj tu do mnie! Natychmiast!

Niech to szlag! — Kaczmarek rzucił łyżką w talerz, aż

zadźwięczało. Parująca jeszcze kaszanka na jego biurku, usłużnie przyniesiona z bufetu przez Nowaka, a dodatkowo okraszona smażoną cebulką i płomykiem musztardy, znowu miała się zmarnować. Być może to ostatni kaszak w tej służbie, wzruszył się w myślach. Na zewnątrz pozostał jednak twardy.

— Uprzątnij to! — rzucił do przodownika i wybiegł na korytarz.

Schody na piętro pokonał w niezłym tempie. Pozdrowił ręką sekretarkę Kaysera i wpadł do gabinetu szefa.

Kayser czekał już za stołem. Po obu jego stronach siedziało dwóch młodych mężczyzn. Ich włosy przylizane były

247

brylantyną, a identyczny ubiór — szare marynarki i także meloniki, ustawione obok siebie na blacie stołu — przywołał w głowie Kaczmarka same najgorsze wspomnienia. Rozpoznał ich od razu. Lekki i Szkot!

— Panowie się już znacie, więc nie będę was sobie przedstawiał — powiedział inspektor, gdy Kaczmarek zajął wskazane mu miejsce na wprost szefa. — Panowie poprosili nas o pilne spotkanie.

Kaczmarek spojrzał chmurnie na przybyszów. Nie dowierzał, że przyszli tu z własnej i nieprzymuszonej woli. Mętny wzrok obu tajniaków zdawał się potwierdzać jego podejrzenia.

— Taaak — zagał kapitan Lekki. — Jesteśmy tu, bo wydaje się nam, że sprawa dojrzała do wyjaśnienia. Zwłaszcza po trzecim ataku...

— Naprawdę?! — nie wytrzymał Kaczmarek. — Może tego trzeciego ataku by nie było, gdybyście panowie raczyli już wcześniej uchylić rąbka tajemnicy!

— Biniu! — Kayser uniósł dłoń, jakby chciał samym ruchem palców uciszyć rozgoryczonego podwładnego. — Proszę cię, nie przeszkadzaj! To sprawa najwyższej wagi!

— Et tu, Brute, contra me? — zdziwił się Kaczmarek. Nie rozumiał, co tu jest grane.

— Chcę tylko zauważyć, że gdyby nie zabawy tych panów, Janek nie dostałby się być może pod bagnet tego dewianta!

— Bagnet — westchnął Lekki. — Tak, to by wyjaśniało te okropne rany...

— Panowie! — Kayser przywołał obie strony do porządku. — Przyszliście tu, by z nami współpracować. Więc współpracujmy, a nie obrzucajmy się żalami!

Lekki i Szkot spojrzeli po sobie, jakby uzgadniali coś w myślach.

— To sprawa objęta klauzulą całkowitej tajności... — zaczął Lekki.

— To już wiemy od środy — zachnął się Kaczmarek.

— ...ponieważ dotyczy bezpieczeństwa państwa — zignorował go oficer „Dwójki”. —

Dlatego nie powinniście mieć panowie żalu, że w początkowej fazie śledztwa nie mogliśmy wam pomóc, a w dodatku oczekiwaliśmy w zamian wszystkiego, co sami posiadacie. Ale do rzeczy. To, co teraz usłyszycie, panowie, nie może wyjść poza mury tego pokoju. Mógłbym zażądać od panów zaprzysiężenia, ale jestem przekonany, że rozmawiam z ludźmi honoru.

Kayser skinął przyzwalająco głową. Kaczmarek nie zareagował.

— Może to, co powiem, wyda się panom czymś niedorzecznym albo wręcz szaleństwem... — kapitan Lekki ściszył głos — ...ale to niestety prawda. Znajdujemy się u progu wojny.

«

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, kwadrans po trzynastej

— O cholera! — wyrwało się Kaczmarkowi.

Nie spodziewał się, że sytuacja polityczna wygląda tak źle. W ostatnich dniach nie miał czasu na wnikliwe studiowanie gazet i dopiero teraz uświadomił sobie, że to, co właśnie usłyszał, w gruncie rzeczy przebijało gdzieś spomiędzy prasowych nagłówków. Tyle że nikt nie potrafił nazwać

sprawy po imieniu. Mimo wszystko łudził się, że to tylko kolejna gra nerwów.

Kayser potarł zapalkę i rozniecił żar w swojej ukochanej fajce. Nim się odezwał, posłał ku niebu dwie identyczne chmurki dymu.

— Czego chce od nas tym razem Führer z Berlina? — zapytał tak spokojnie, jakby rozmawiał o wczorajszych lodach u Dobskiego.

Lekki poprosił o ogień i zapalił cygaro wydobyte z wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Składa nam kolejną wspaniałomyślną ofertę — wyjaśnił sarkastycznym tonem. —

Mówi wprost i bez ogródek: drodzy Polacy, przenieście się na wschód, najlepiej za Ural.

— Jak to, dlaczego? — Kaczmarek zabębnił nerwowo palcami po stole. — Po tym wszystkim, co zrobiliśmy dla Niemiec?!

— Adolf ma to w dupie — odezwał się milczący dotąd Szkot. — Pobił Sowietów, a teraz Polska przeszkadza mu w komunikacji z nową, tysiącletnią Rzeszą, którą buduje na okupowanych terenach Rosji. Adolf nie chce już więcej układać się z nami w sprawie takich drobiazgów jak kolejne korytarze, eksterytorialne autostrady czy inne tego typu ekstrawagancje. Chce mieć jedną zwartą Rzeszę od granic Hiszpanii po Ural. A my mu w tym po prostu przeszkadzamy.

Kaczmarek siedział zszokowany, trzymając głowę w dłoniach.

— Pan żartuje — bąknął bez przekonania.

— Ani trochę. — Szkot uśmiechnął się kwaśno. — Nie czyta pan prasy, nie widzi, co się wokół dzieje? Te nerwowe

negocjacje z Berlinem, wizyta Himmlera w Warszawie... Od tygodni naciskają na nasz rząd. Aż w końcu wczoraj dali nam czterdziestoośmiogodzinne ultimatum...

— To niemożliwe! — zerwał się Kaczmarek. — Tak się nie postępuje ze sprawdzonym sojusznikiem!

Twarz Lekkiego przeciął grymas nerwowego uśmiechu.

— Słabo pan zna nazistowską Rzeszę, komisarzu — powiedział. — A prawda jest taka, że wyspecjalizowała się w międzynarodowym szantażu. To ultimatum to znak, że również tym razem nie żartuje. Pamięta pan Czechosłowację?

— Oni nie chcieli walczyć — rzucił z przekąsem Kaczmarek. — Z nami będzie inaczej. Lekki zagryzł wargi.

— Zapewne ma pan rację — przytaknął. — Tyle że jesteśmy bez szans. Nasza sytuacja wygląda gorzej niż w trzydziestym dziewiątym.

— Nie rozumiem.

— To proste, komisarzu. Niemcy nie muszą szykować się do inwazji. Oni już u nas są. Cały kryzys rozpoczął się od sprawy niemieckich garnizonów na naszych Kresach. Rząd chciał Wynegocjować z Berlinem termin wycofania ich wojsk z terytorium Rzeczypospolitej. Ale Berlin powiedział „nie”. A Fihrer dodał, że Morze Czarne to także morze. Ciepłe morze, w sam raz dla Polaków...

Po tych ironicznych i gorzkich słowach w wysokim gabinecie Kaysera zapadła złowroga cisza.

Aż trudno było uwierzyć, że za uchylonymi oknami toczyło się zwykłe, nieco leniwe życie sobotniego Poznania. Stukot końskich kopyt przemieszany z dzwonkiem roweru,

251

miejskim gwarem i klaksonem samochodu docierał do uszu całej czwórki jak coś nierzeczywistego. Jak zdarta płyta z muzyką do dawno już niewyświetlanego filmu.

— Co ma z tym wszystkim wspólnego nasze śledztwo? — Kayser zafundował towarzyszom twarde lądowanie na ziemię.

Lekki jakby otrząsnął się z natłoku złych wrażeń.

— Oczywiście Adolf i kierownictwo Trzeciej Rzeszy nie wierzą, że karnie zegniamiem karki i ruszymy w exodus na wschód — powiedział. — Od miesiąca do naszej centrali napływają meldunki z Niemiec, że ich wywiad prowadzi intensywne przygotowania do operacji zajęcia Polski z możliwie jak najmniejszymi stratami własnymi. Dowody? Właśnie tu, w Poznaniu, wpadliśmy w końcu lipca na trop gigantycznej operacji niemieckiego wywiadu, której celem jest aresztowanie przez Wehrmacht setek, a może nawet tysięcy najwybitniejszych postaci naszego życia publicznego już w pierwszym dniu wojny.

— Niemożliwe... — jęknął Kaczmarek.

— Ustaliliśmy, że ta operacja nosi kryptonim „Posen”. Chodzi w gruncie rzeczy o listy proskrypcyjne — uściślił Szkot. — Podobne rozwiązanie Niemcy zastosowali w przypadku inwazji na Sowiety. W ciągu dwóch miesięcy zatrzymali najważniejszych działaczy partii komunistycznej na zajętych przez siebie terenach, a wszelki ślad po nich zaginęł.

Lekki zaciągnął się dymem i rozduśił cygaro w popielniczkę.

— Ich wywiad zorientował się, że wiemy o tajnych listach. Dlatego zaczął błyskawicznie likwidować naszych agen-

252

tów chodzących wokół tej sprawy. Najpierw zabili Wolskiego, potem Janusza Piórę...

— ...a na koniec próbowali zgładzić Janka — wszedł mu w słowo Kaczmarek. — Pewnie dlatego, że widzieli go z Januszem Piórą.

— Dokładnie — podsumował Szkot. — Pański kuzyn miał po prostu pecha.

— Ja myślę, że to jednak szczęście — prychnął Kaczmarek. — On żyje, panowie!

Przypominam wam! On żyje i będzie żył!

Agenci „Dwójki” spuścili głowy.

— Ma pan rację, komisarzu. To nasza wina — przyznał niechętnie Lekki. — Proszę nas jednak zrozumieć. Dopóki nie przemówią armaty i jest choć cień szansy na cudowne wyjście z tej całej awantury... Dyspozycje naszych przełożonych brzmiały jasno: działamy sami, nikogo nie wtajemniczamy. To zbyt delikatne sprawy, by wystawiać je na ryzyko...

— To był błąd, panowie. Duży błąd — odezwał się inspektor Kayser. — Ale nie żywimy urazy. To byłoby głupie w tak szczególnych okolicznościach. Co zatem możemy zrobić?

Wywiadowcy poruszyli się niespokojnie na krzesłach.

— Przede wszystkim trzeba jak najszybciej udobruchać konsulat. Nie możemy dostarczyć im nawet ćwierci pretekstu do inwazji. Ciągłe jest jeszcze cień szansy, że nie dojdzie do tej cholernej wojny.

Kaczmarek walnął pięścią w stół.

— To da się zrobić, ale co z mordercą?! Musimy go przecież znaleźć!

253

Oficerowie „Dwójki” zwrócili błagalne spojrzenia w stronę inspektora Kaisera.

— Opuśćcie sobie, panowie. — Głos kapitana Lekkiego drgał emocją. — Mam nadzieję, że i na niego przyjdzie kiedyś czas.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, przed czternastą

Wspinała się w górę ulicą Ogrodową, szukając wyciszenia emocji. Pstrokate barwy kwiatów w pootwieranych na oścież oknach kamienic nastroiły ją optymistycznie do życia. Jan będzie żył! Jest słaby, lekarz obiecał zbić mu wysoką pooperacyjną gorączkę, ale prędzej czy później z tego wyjdzie! Tylko to liczyło się w tej krótkiej, błogiej chwili. Tylko to miało dla niej sens. Życie znowu smakowało jej słodko.

Mimo że trzymała się cienistego wąwozu między budynkami, było jej gorąco i duszno. Lato w pełni, pomyślała. Ach, gdybyż tak wyskoczyć do Gdyni. Albo na Hel! Razem z Jankiem wiedzieliby, jak wykorzystać taki dar losu!

Na wysokości Półwiejskiej minęła mały komisariat policji. I nagle sobie przypomniała.

Muszę jak najszybciej pójść do komisarza Kaczmarka, postanowiła. Ojciec na pewno został wplątany w jakąś awanturę, o której nawet nie ma pojęcia. Na pewno wszystko da się spokojnie wyjaśnić...

Pochylona w przód, nie bez wysiłku doszła stromym chodnikiem do zakrętu z Piekarami.

Jeszcze kilka, kilkanaście kroków — i już była przed domem. Rzuciła okiem na witrynę zakładu ojca i mocno się zdziwiła. Za szybą wisiała tabliczka „Geschlossen”.

254

Zamknięte? Przecież dziś sobota, a w soboty Vati prowadzi zakład, przypomniała sobie.

Podeszła do drzwi, gdy nagle te otworzyły się gwałtownie i z warsztatu wypadło na ulicę kilku mężczyzn w różnym wieku. Wśród nich rozpoznała tylko starego Herr Schultze, Leitera organizacji partyjnej. Dopiero teraz zauważyła, że naprzeciw warsztatu, po drugiej stronie ulicy stoi ciężarówka firmy przewozowej Kruger&Weiss. Mężczyźni zanieśli do niej tobołki i wypchane czymś walizki.

— Was ist los? — dopadła do Schultze, szarpiąc go za ramię.

Leiter nie był jednak rozmowny. Delikatnie, acz stanowczo wyrwał się dziewczynie i wrócił do zakładu. Chwilę później w drzwiach stanęła matka Wilhelminy. Była blada i jakaś krucha. Wilhelmina zauważyła, że ma oczy zaczerwienione od płaczu.

— Mutti, co się dzieje? — przytuliła się do mamy, zaskoczona niespodziewanymi wydarzeniami.

Matka opanowała łkanie i spojrzała ze smutkiem w twarz córki.

— Musimy wyjechać... — powiedziała.

— Jak to? Dlaczego? — Wika nie wierzyła w to, co słyszy. — Kto nam każe?

Matka spuściła głowę.

— Ojciec. Nagle zdecydował, że musimy natychmiast wyjechać do ciotki Hildy pod Środę.

— Ale warum? Po co?

— Ach, żebym to ja wiedziała... Powiedział tylko, że to pilna sprawa. I że tam będziemy bezpieczne.

— Bezpieczne?

255

— Tak właśnie powiedział.

Przed oczyma Wiki stanęły nagle dwie drewniane skrzynie pełne broni.

— Czy to chodzi o...

— Nie wiem, córuś. Musimy jechać.

— Ale ja nie jadę. Mam jeszcze coś do załatwienia i...

— Wika. — Matka odezwała się do niej po raz pierwszy stanowczym głosem. — To poważna sprawa. Musimy posłuchać ojca. Czuję, że wie, co mówi.

Wilhelmina szarpnęła się nerwowo. Cały świat zawirował jej przed oczami. Nie może zawieść Janka. I nie może go zostawić w takim stanie w szpitalu!

— Mamo, ja nie jadę! — wykrzyknęła, ale nie zdążyła zrobić nic więcej, bo czyjeś mocne ręce chwyciły ją pod ramię i pchnęły w stronę samochodu.

— Mamo, tak nie można! — zaprotestowała, siłą ciągnięta do kabiny ciężarówki.

— Es tut mir sehr leid, meine Tochter! — W głosie ojca nie było cienia współczucia.

— Tato! — Nawet nie zauważyła, że po raz pierwszy zwróciła się do ojca po polsku. — Ja nigdzie nie jadę... Ja...

— Tut mir leid, meine Liebe. Es geht um deines Lebens.

Szewc Krantz bezpardonowo wepchnął córkę do auta, siadając obok niej — jakby pilnował, by nie uciekła. Do kabiny zmieściła się jeszcze jego żona. Kierowca odpalił silnik i ruszył wolno po garbach Ogrodowej w stronę Ratajczaka. Mężczyźni odczekali, aż auto z plandeką zniknie im z oczu, a potem wrócili do warsztatu szewca.

Tego dnia żaden z nich nie wyszedł już więcej na ulicę.

256

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, około czternastej

Szef siedział pod wielkim portretem Adolfa Hitlera, na którym skronie Fuhrera przyprószyła siwizna, wyraźnie dostrzegalna mimo prób retuszu. Marsowe oblicze wodza z hipnotycznym spojrzeniem wisiało na ścianie pokrytej czerwoną, narodowosocjalistyczną flagą ze swastyką, wpisaną ostrymi liniami w biały owal. Od tych dynamicznych ramion swastyki — i od nocnych wrażeń — przybyszowi nieco kręciło się w głowie. Starał się jednak skupić swój rozbiegany wzrok na twarzy przełożonego. Tym bardziej, że obwisłe jak u buldoga policzki szefa promieniały z radości.

Złożył w dwoje pisemny raport diabolicznego podwładnego i poklepał go swoją tłustą ręką po ramieniu.

— Dobrze się spisałeś — podsumował po niemiecku. — Wygląda na to, że akcja „Posen” nie zostanie zdemaskowana, a przynajmniej namierzona w ciągu najbliższych dni. I o to chodziło, Hans. To duży sukces! Nie zapomnę o tobie w meldunku do centrali.

— Heil Hitler! — Chudy jak szczapa, antypatyczny mężczyzna o twarzy lisa wyprężył się jak struna, strzelając obcasami. — Broń dotarła już do wszystkich miejsc przeznaczenia i w pełni zakonspirowana czeka na sygnał do akcji „Fali Weiss”.

Szef uśmiechnął się drapieżnie, a w jego pozornie łagodnym spojrzeniu odbił się nagle refleks szaleństwa.

— Chciałbyś już sobie postrzelać, Hans? Nieprawdaż? Już niedługo, meine Kamerade. Obiecuję ci, że to już niedługo...

Przełożony otworzył obitą skórą teczkę i wolnym, pedantycznym ruchem dłoni umieścił w niej ostatni meldunek

257

agenta. Przyłożył do niego pieczętkę ze swastyką i odczekawszy trzy sekundy, zamknął teczkę.

— Zostały już tylko godziny, Hans. I duża porcja satysfakcji. Musimy jeszcze tylko odegrać tę komedię. Lepiej jednak będzie, jeśli nacieszysz się sukcesem z dala od naszej

placówki. Skocz do „Moulin Rouge” albo do innej speluny z cypatypanienkami i zabaw się na koszt służby. Ja stawiam.

— Heil Hitler! — ucieszył się podwładny.

Wychodząc marszowym krokiem z gabinetu szefa, kątem oka zauważył policyjnego fiata podjeżdżającego pod budynek.

f

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, czternasta z minutami

Kayser i Kaczmarek wyszli bez cienia entuzjazmu z dusznego wnętrza auta. Kierowca wrzucił pierwszy bieg i odjechał na parking kilkanaście metrów dalej. Policjanci stali przez chwilę w chmurze spalin, jakby zapomnieli, co mają zrobić.

— Chodźmy, Biniu. Miejmy to już za sobą — odezwał się w końcu inspektor Kayser. Ciągnąc podeszwy po chodniku, ruszyli w stronę konsulatu Rzeszy. Położony w cieniu posadzonych gęsto topoli betonowy budynek z wywieszoną przez okno flagą nazistowskich Niemiec nie zachęcał do złożenia wizyty. Z ciężkim sercem weszli po granitowych schodach pod masywne, dębowe drzwi i zastukali kołatką.

Odpowiedziało im głuuche echo, które rozeszło się po niewidocznym wnętrzu. Za chwilę czyjeś ręce nacisnęły

258

klamkę i zobaczyli w drzwiach odzianego w czarną koszulę, wysokiego jak Herkules mężczyznę o atletycznej sylwetce i blond włosach, wygolonych krótko nad uszami i na karku. Jego oczy otaksowały policjantów odpychającym spojrzeniem.

— Inspektor Zygfryd Kayser i komisarz Zbigniew Kaczmarek z Prezydium Policji — przywitał się grzecznie Kayser. — Przyjechaliśmy w sprawie incydentu na Grobli.

— Ach 50... — Wielki blondyn raczej przytaknął, niż wyraził zdziwienie. — Bitte sehr. Weszli do ciemnego, sprawiającego nieprzyjemne wrażenie holu. Ich przewodnik wskazał ręką na drewniane schody w głębi pomieszczenia. Skwapliwie skorzystali z zaproszenia i po trzeszczących ze starości stopniach dotarli na pierwsze piętro.

Potężny Niemiec szedł za nimi krok w krok. Na górze zatrzymał się i zdecydowanym ruchem prawej ręki, przypominającym hitlerowski gest pozdrowienia, wskazał im właściwy kierunek. Ruszyli wąskim korytarzem w prawo, ku widniejącym na końcu drzwiom. Na swoich plecach czuli badawcze spojrzenie nieprzyjaznych oczu.

Drzwi miały mosiężną klamkę w kształcie głowy lwa. Zapukali w skrzydło i nacisnęli razem na odlaną z detalami grzywę króla zwierząt. Wiedzieli aż nadto dobrze, że idą na pożarcie. To była główna sala z doskonałym widokiem na podjazd pod konsulat, który umożliwiały trzy wysokie, choć wąskie okna. Po jednej stronie pomieszczenia, które swoją surowością przypomniało Kaczmarkowi zamkową komnatę

259

w średniowiecznym zamku, stał kominek. Po drugiej — mahoniowe biurko, nad którym rozpościerała się flaga Rzeszy.

Za biurkiem siedział mężczyzna o twarzy boksera, z cygarem w ustach. Widać było, że dopiero co je zapalił, z wolna rozniecając żar na końcu egzotycznego skręta. Strzepując domniemany pyłek z ramienia swojego błyszczącego garnituru, jakby od niechcenia przeniósł wzrok na mężczyzn, zbliżających się powoli.

— Inspektor Kayser i komisarz Kaczmarek — Kayser zachował zimną krew, nie reagując na wyraźnie wyczuwalną prowokację w zachowaniu gospodarza.

Przysiągł sobie w duchu, że ostentacyjne lekceważenie ze strony konsula nie wyprowadzi go z równowagi.

— Przyszliśmy w sprawie incydentu na Grobli, a ściślej rzecz biorąc, na ulicy Za Groblą... Konsul nadal milczał, z pogardą na twarzy rysując palcem kółka na błyszczącym blacie stołu.

— ...Chcielibyśmy złożyć oficjalne oświadczenie w sprawie tego pożałowania godnego incydentu. Na ulicy Za Groblą doszło niewątpliwie do przykładu nagannego nadużycia siły i środków ze strony...

— Za Grobla? — Dyplomata przerwał znieca monolog Kaisera. — Jak mi doniesiono, doktor Wiese został bandyczko napadnięty i poszbawiony przytomności na ulicy Franciszkańskiej...

— Najmocniej przepraszam, ekscelencjo. — Kayser powstrzymał nerwy na wodzy. — Oczywiście, ma pan absolutną rację...

— ...a potem porwany i uwięziony! I to jeszcze nie wszystko! Potem był bity i poniżany!

260

— To doprawdy karygodne nieporozumienie i zapewniam waszą ekscelencję, że funkcjonariusz winny tego incydentu doczeka się kary.

Konsul zmarszczył brwi. Przypominał teraz swojego wodza, spoglądającego z portretu nad jego głową w dal.

— Czy jusz wiecie, kto to był? — zapytał.

Kayser zmieszał się, a Kaczmarek poczerwieniał na twarzy, jakby dostał od kogoś na odlew w pysk.

— Będę wiedział do wieczora, panie konsulu — odparł wymijająco inspektor, nie patrząc w oczy dyplomaty.

Miał przykre wrażenie, że konsul dostrzegł nagle, niepokojącą przemianę Kaczmarka. Aby odwrócić jego uwagę, chrząknął i zmienił temat:

— Oczywiście, po wnikliwym zbadaniu sprawy zamierzamy wypłacić stosowne odszkodowanie szanownemu panu Wiese za wszelkie straty, zwłaszcza moralne, które poniósł na skutek nieprofesjonalnego zachowania naszego funkcjonariusza.

Oblicze oficjalnego przedstawiciela Rzeszy pokraśniało z zadowolenia.

— To bardzo dobra idee. — Wyszczerył swoje żółte od nikotyny zęby. — Nasza Kancelaria w Berlin musi oszacować te szkody. To musi potrwać...

Zapadła chwila kłopotliwej ciszy, w trakcie której Kayser otworzył trzymaną dotychczas pod pachą teczkę i wyjął z niej oficjalny dokument, w którym policja państwowa kajała się za błędy Kaczmarka, nie wymieniając wszakże winnego z nazwiska. Jednostronicowy dokument, podpisany przez komendanta wojewódzkiego policji, który miał trafić do Kancelarii Rzeszy w Berlinie, kończył się

261

sformułowaniem w jednoznacznym tonie zapewnieniem, że policja znajdzie winnych „incydentu o znamionach prowokacji” i bezzwłocznie usunie ich ze swoich szeregów.

Konsul przebiegł szybko wzrokiem po kilkunastu liniach druku. Widząc zamaszty podpis komendanta pod urzędową pieczęcią, raz jeszcze uśmiechnął się krzywo z poczuciem wyższości.

— Na ja — mruknął. — Das ist gut.

Gestem znamionującym znużenie odłożył dokument na półce pod biurkiem.

— Czego sie panowie napijecie? — zaproponował znieca. — Muszimy wypić za naszą pszyjaźn...

sformułowaniem w jednoznacznym tonie zapewnieniem, że policja znajdzie winnych „incydentu o znamionach prowokacji” i bezzwłocznie usunie ich ze swoich szeregów.

Konsul przebiegł szybko wzrokiem po kilkunastu liniach druku. Widząc zamaszty podpis komendanta pod urzędową pieczęcią, raz jeszcze uśmiechnął się krzywo z poczuciem wyższości.

— Na ja — mruknął. — Das ist gut.

Gestem znamionującym znużenie odłożył dokument na półce pod biurkiem.

— Czego sie panowie napijeczce? — zaproponował zniecierpliwiony. — Muszycy wypicz za nasza pszyjażn...

IO

tlONOROWA SPRAWA

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, około piętnastej

Do sali szpitalnej weszło dwóch mężczyzn w białych lekarskich kitlach. Skrzywienie drzwi wytrąciło Krzepkiego ze stanu półsnu, spowodowanego gwałtownie spadającą gorączką. Otworzył oczy i zauważył, że u jego łóżka stoją ordynator Lacki i drugi, znacznie wyższy lekarz. Stali od strony żarzących się popołudniowym słońcem okien, więc nie od razu dostrzegł rysy twarzy drugiego z gości. Dopiero gdy zmarszczył brwi, zauważył twarz mężczyzny po czterdziestce, którego skronie i grzywka pokryły się już srebrnym nalotem. Gość trzymał w ręku wojskową czapkę.

— Willi?... — jęknął z zaskoczenia i radości. — A co ty tu robisz?!

Siwiejący łapiduch klepnął ordynatora po ramieniu.

— Widzi pan, doktorze? Poznał mnie, tak jak mówiłem — powiedział twardą polszczyzną z obcym akcentem. — Czy możemy zamienić z Janem dwa słowa na osobności?
263

— Tylko pod warunkiem, że to potrwa nie dłużej niż pięć minut. — Ordynator, pełen poczucia winy z powodu kolejnych wizyt w sali 107, postanowił bezwzględnie zadbać o zdrowie ranne. — Ale myślę, że pan jako wojskowy wie,

0 czym mówię.

— Jawohl, Herr Doktor!

Lacki odwrócił się i pogwizdując pod nosem najnowszy przebój Kiepur, wyszedł na korytarz.

Krzepki wskazał wzrokiem krzesło stojące nieopodal jego szafki. Gość chwycił je ochoczo zamasztyjąc ruchem

1 przystawił obok łóżka. Krzepki przyglądał się w milczeniu, jak major Wilhelm Gottlieb, lekarz niemieckiej 135 Dywizji Zmechanizowanej, którego poznał na froncie wschodnim pod Winnicą, usadowił się na krześle, rozpinając na piersi nieco przyciasny fartuch.

Pod lekarskim kitem widać było mundur oficera Wehrmachtu. Pod szyją gościa błysnął krzyż żelazny.

— Gra-tu-lacje — wymamrotał Krzepki. Czuł się słabo, ale cieszył się z tej niespodziewanej wizyty.

— Ach, to nic takiego. — Gottlieb zbył wyrazy uznania lekceważącym machnięciem ręki. — Czego wielkiego może dokonać lekarz?

Krzepki uśmiechnął się niewyraźnie.

— Je-stem do-wo-dem na to, że du-żo. Bar-dzo du-żo...

Gottlieb również odpowiedział uśmiechem. Można w nim było jednak odczytać smutek.

— To prawda, macie tutaj świetnych chirurgów — przyznał. — Zdążyłem się zresztą osobiście przekonać. Dwa dni temu w tym szpitalu operowano generała Heinricha von Seldorfa. Leży na drugim piętrze.

264

— Tylko pod warunkiem, że to potrwa nie dłużej niż pięć minut. — Ordynator, pełen poczucia winy z powodu kolejnych wizyt w sali 107, postanowił bezwzględnie zadbać o zdrowie ranne. — Ale myślę, że pan jako wojskowy wie,

0 czym mówię.

— Jawohl, Herr Doktor!

Lacki odwrócił się i pogwizdując pod nosem najnowszy przebój Kiepur, wyszedł na korytarz.

Krzepki wskazał wzrokiem krzesło stojące nieopodal jego szafki. Gość chwycił je ochoczo zamaszystym ruchem

I przystawił obok łóżka. Krzepki przyglądał się w milczeniu, jak major Wilhelm Gottlieb, lekarz niemieckiej 135 Dywizji Zmechanizowanej, którego poznał na froncie wschodnim pod Winnicą, usadowił się na krześle, rozpinając na piersi nieco przyciasny fartuch.

Pod lekarskim kitlem widać było mundur oficera Wehrmachtu. Pod szyją gościa błysnął krzyż żelazny.

— Gra-tu-lacje — wymamrotał Krzepki. Czuł się słabo, ale cieszył się z tej niespodziewanej wizyty.

— Ach, to nic takiego. — Gottlieb zbył wyrazy uznania lekceważącym machnięciem ręki. — Czego wielkiego może dokonać lekarz?

Krzepki uśmiechnął się niewyraźnie.

— Je-stem do-wo-dem na to, że du-żo. Bar-dzo du-żo...

Gottlieb również odpowiedział uśmiechem. Można w nim było jednak odczytać smutek.

— To prawda, macie tutaj świetnych chirurgów — przyznał. — Zdążyłem się zresztą osobiście przekonać. Dwa dni temu w tym szpitalu operowano generała Heinricha von Seldorfa. Leży na drugim piętrze.

264

— Von Seidorf tu-taj? A co się mu sta-ło? — Krzepki przypomniał sobie, że von Seidorf dowodził jednostką Gottlieba.

— W drodze powrotnej z Rosji, niedaleko Posen, dostał ataku Blindarm, czy jak to tam jest po polsku...

— Śle-pej ki-szki...

— Genaul Stan Herr generała był bardzo niedobry, trzeba było sofort operować.

Ordynator Lacki i jego Kameraden wykonali dobrą robotę. Przyjechałem, żeby go osobiście odebrać i zawieźć do domu w Dresden. Zupełnym przypadkiem dowiedziałem się od doktora Lackiego, że mają tu jeszcze jednego oficera na pokładzie. A jak usłyszałem twoje nazwisko, od razu wiedziałem, że muszę cię zobaczyć. To był bandycki napad, nicht wahr?

Krzepki przyznał oczy. Lubił Gottlieba, wspólnie spędzili niejedną wieczór w okopach na Ukrainie, grając w karty i racząc się mołdawskim winem. Nie był jednak pewien, czy powinien go wtajemniczać w meandry swojej najnowszej historii.

— Tak, to jnu-siał być ja-kiś ban-dy-ta — wyszeptał.

— Mam nadzieję, że go złapią i powieszą. — Major przejechał palcem wskazującym po gardle i nagle spowaźniał. — Muszę powiedzieć ci coś sehr wichtig, Kamerad...

Niepokój w jego błękitnych oczach udzielił się Krzepkiemu. Niemiec pochylił się nad poduszką i przyłożył palec do ust.

— ..nie mogę ci powiedzieć tego, co wiem, a może raczej przeczuwam. Ale mogę ci poradzić, żebyś jak najszybciej wracał nach Hause.

— Nie rozumiem...

265

I

— Nieważne, Janie. Nie musisz alles verstehen. Po prostu zrób, co ci mówię.

— Ale...

— Jeszcze nie jest za późno, Kamerad. Wiesz, że dobrze ci radzę...

— Czy...

Do sali wszedł ordynator Lacki, machając gwałtownie rękoma.

— Koniec wizyty, panie doktorze! — wołał tonem nie znoszącym sprzeciwu. Major Gottlieb poderwał się z krzesła, nałożył czapkę i wyprężył pierś, salutując choremu.

— Alles Gute, Janie — powiedział i bez mrugnienia okiem wyszedł z sali.

Krzepki nie zobaczył go już nigdy więcej.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, kwadrans po piętnastej

Schodzili w milczeniu po dębowych stopniach, czując się sponiewierani moralnie. Sznaps z antypatycznym konsulem, wychylony wyłącznie dla dobra sprawy, palił ich wnętrzości i napawał niesmakiem. Zarówno Kayser, jak i Kaczmarek mieli wrażenie, że kieliszek z nazistą był jeszcze większym upokorzeniem niż wizyta w ponurym konsulacie.

— Szlag by ich trafił — syknął Kaczmarek, kiedy za zakrętem schodów otworzył im się widok na szeroki, pogrążony w półcieniu hol.

Schodząc po ostatnich stopniach, zauważyli atletycznego Niemca w czarnej koszuli, który wyszedł im naprzeciw.

266

'P

Kaysera stać było jeszcze na martwy uśmiech. Kaczmarek udał, że bardziej interesują go zakurzone czubki lakierów. Unikając pogardliwego spojrzenia przewodnika, rozglądał się na boki.

Nie zauważył niczego godnego uwagi, może poza zatopionym w głębokim mroku fotelem. Obrócony plecami do schodów, siedział w nim wysoki mężczyzna w kapeluszu, zaciągając się papierosem trzymanym w wychudłej dłoni.

Wypuszczony nosem dym ginał w ciemnościach zakamarka.

— Auf wiedersehen — rzucił do towarzyszącego im Niemca inspektor Kayser.

— Auf wiedersehen — odpowiedział postawny mężczyzna, zamykając za nimi drzwi.

Kaczmarek odniósł wrażenie, że słowa Niemca zabrzmiały dziwnie złośliwie. Ale nie dbał o to. Był szczęśliwy, że wizytę w konsulacie mają już za sobą.

— No, to po sprawie. — Kayser strzepnął wierzchem dłoni z marynarki niewidoczny kurz, jak gdyby chciał się natychmiast oczyścić z przygnębiających wspomnień.

Spojrzał smutno na podwładnego i nie próbował się nawet uśmiechnąć. Kaczmarek zrozumiał od razu.

— Wracamy do Prezydium — powiedział inspektor suchym, lekko drżącym głosem. — Przykro mi, stary. Przed naszym wyjazdem zadzwonili z ministerstwa. Muszę cię zwolnić dyscyplinarnie ze służby.

Schodząc po granitowych schodach ku ulicy, zaklął szpetnie.

267

f

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, kwadrans przed siedemnastą

Były komisarz policji państwowej Zbigniew Kaczmarek, nagrodzony w trakcie swojej ponad dwudziestoletniej, owocnej pracy na kryminalnej niwie trzema wysokimi odznaczeniami państwowymi, a nawet adresem honorowym od samego prezydenta RP, siedział załamany przy swoim służbowym biurku i nie potrafił sklecić w skołowanej, spoconej głowie ani jednego poprawnego zdania.

Na blacie przed nim leżała ostatnia kartka papieru. Kilka poprzednich, zgniecionych w kule, tkwiło już od dobrych kilku minut w koszu obok biurka. W prawicy Kaczmarka spoczywało pióro ze złoconą stalówką, niegdysiejszy dowód uznania wiceprezydenta Bombki za rozpracowanie szajki zbrojców pod wodzą Feliksa Piekuckiego. Od dłuższego czasu nie przelał na papier żadnej rozsądnej myśli.

Drętwy wzrok byłego policjanta przesunął się po wskazówkach zegara ściennego i wrócił ku kartce.

Miał napisać trzy zdania uzasadnienia swojej dymisji i nie potrafił się do tego zabrać. Kwadrans wcześniej inspektor Zygfryd Kayser złożył mu wielkoduszną propozycję: miał sam złożyć dymisję, w zamian za co Kayser nie wysłał do Warszawy gotowego już formularza dyscyplinarnej. To rozwiązanie miało dać Kaczmarkowi minimum komfortu psychicznego, względny spokój w jego resortowych papierach i rzecz nie do pogardzenia: szansę na minimalną choćby emeryturę.

Jednakże były komisarz nie potrafił napisać aktu samo-oskarżenia. Czuł się jak pisarz, który po niezwykle płodnej

268

karierze ma w trzech zdaniach przyznać się do tego, że znane wszem i wobec książki nie wyszły spod jego pióra. Albo że w ostatnim swoim dziele dopuścił się grubego, niewybaczalnego nadużycia...

Wściekły na siebie samego, na Ślepego Antka, utajnionych esesmanów, czarownice i wszystkich mniej lub bardziej winnych tej całej zawilej sytuacji grzmotnął dłonią w blat biurka, rozpryskując w drzazgi zdobne pióro od wiceprezydenta.

Poczuł, jak ciecz wlewa mu się wąskim strumyczkiem pod mankiet koszuli. Spojrzał w dół i zrozpaczony odkrył, że granatowy jak mundur posterunkowego atrament sforsował zapórę z rękawa i wdarł się w głąb odzienia, znacząc je błękitną smugą.

— Arystokrata, cholera jasna... — Zatrząsał się ze śmiechu nad własną głupotą.

Spojrzał na unurzany w atramencie kciuk, na rozchodzące się od niego strużki — i nagle poczuł ciarki na plecach. A może nawet dotknięcie opatrności.

Na jego blade czoło wystąpiły krople potu, a w oczach zagrało szaleństwo.

— To niemożliwe... — wymamrotał, próbując wytrzeć dłoń niezdarnie wydobytą z kieszeni chustką. — To niemożliwe... Na Boga, mamy go!

Przodownik Nowak ledwo uskoczył przed swoim byłym szefem, który w tempie godnym Jessego Owensa wypadł na korytarz, pożegnawszy się trzaskiem drzwi ze swoim gabinetem. Gruby komisarz bynajmniej nie gnał jeszcze do domu. Najpierw musiał załatwić coś ekstrapilnego piętro wyżej.

269

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, siedemnasta z minutami

Jak oni żałośnie wyglądali, myślał, idąc z ironicznym uśmiechem pod nosem ku placowi Sapieżyńskiemu.

Nie odmówił sobie chwili satysfakcji w konsulacie. Warto było, choć markotne twarze policjantów widział ledwie przez kilka sekund w odbiciu starego lustra. Trochę się zdziwił, że jednym z nich był osobnik cokolwiek podobny do menela, który napadł na doktora Wiese na wzgórzu zamkowym. Nie dbał jednak o to. Już nie dbał. Rozterki poznańskiej policji były mu zupełnie obojętne.

Stróże prawa! Parsknął śmiechem na wspomnienie tego górnolotnego epitetu. Jacy tam oni stróże, kiedy nawet nie potrafią upilnować swoich ludzi...

Przeciął Aleje Marcinkowskiego, zmierzając ku Pocztowej. Na rogu obu ulic, pod majestatycznym frontonem Urzędu Pocztowego, zauważył konny patrol dwóch policjantów. I znowu ogarnął go pusty śmiech. Już niedługo, panowie! Już niedługo!

Plac Sapieżyński był o tej porze opustoszały. Ostatni chłopci już dawno sprzątnęli swoje towary z drewnianych straganów, a jedynymi dowodami ich porannej obecności pozostały końskie pączki, schnące na obrzeżach placu.

Zdecydowanie tłoczniej było za to pod ponurą kamienicą numer 11, zaraz przy wejściu do lokalu „Pod Niedźwiadkiem”, który od lat cieszył się w pełni zasłużoną sławą jednej z największych mordowni w Poznaniu. Lubił tu zaglądać po akcji, by przepłukać gardło „Kozłakiem” z Kobylego Pola albo innym pośledniejszym piwem. Nie gardził też

- m

gorzałką. Bliskość placu Nowomiejskiego i ekskluzywnego „Trocadero”, wokół którego wieczorem kręciły się tabuny mniej lub bardziej ponętnych łatwych kobiet, czyniła położenie knajpy wyjątkowo atrakcyjnym. Nie raz kończył noc szybkim targiem z atrakcyjną „parkietówką” w jednej z bram Nowomiejskiego.

Przepchał się łokciami przez podchmielony tłumek okupujący wejście do lokalu i po schodkach zszedł do sutereny, w której mieściła się knajpa.

W ciasnym przejściu minął się z groźnie wyglądającym osobnikiem z wąsikiem a la Adolf pod nosem i czarną przepaską na oku.

Gdzieś go już widziałem, pomyślał. Tylko gdzie? Zastanawiając się nad tym, wszedł do zadymionego, cuchnącego tanim piwem podziemia. W bladym blasku piwnicznych okienek przedzierał się w tłumie ku barowi.

Nie zauważył, że olbrzym z opaską na oku odwrócił się za nim i przyglądał się mu z daleka z dziwnym wyrazem twarzy.

— Brat bliźniak, czy jak? — mruknął Ślepy Antek, skro-

4

biąc się kciukiem po wąsie. — Szpetny

rychtye* jak ten Niemiaszek, co to go .

' > ° * rychtyg — akurat,

wczoraj rąbnałem... dokładnie, w sam raz.

Kręcąc z niedowierzaniem głową, ruszył ku świeżemu powietrzu.

Jego słynna, acz nieco podchmielona intuicja podpowiadała mu, że trzeba działać.

Muszę powiadomić Binia, pomyślał. Może to właśnie ten apach**, którego **apach — oprych, szukał? opryszek.

271

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, siedemnasta trzydzieści

— To był on! Klnę się na moją matkę! — Kaczmarek biegał po przestronnym gabinecie byłego szefa jak opętany, wymachując rękoma niczym osobnik chory psychicznie. —

Pamiętasz, jak siedział do nas tyłem, paląc papierosa?! Pamiętasz, co miał na dłoni?!

— Jakiś sygnet, czy coś w tym rodzaju?

— Gówno, nie sygnet! Wykropkowany tatuaż! Ta-tu-aż! Rozumiesz, o co mi chodzi?!

Janeczek zeznał mi w szpitalu, że ten, który go napadł, miał na dłoni tatuaż!

Inspektor Kayser pokręcił przecząco głową.

— O nie, nie ma mowy! — oświadczył. — Nawet jeśli masz rację, a śmiem w to wątpić, to i tak nie dostaniesz ode mnie żadnego wsparcia. Zbyt dużo już napsułeś swoim gwałtownym zachowaniem, i to w dodatku na arenie międzynarodowej. Nie wciągniesz policji państwowej w kolejną awanturę w tak napiętej sytuacji politycznej! Po moim trupie! Spocony Kaczmarek z rozwichrzoną resztką włosów na głowie dopadł do Kaysera.

— Odmawiasz?! — zaskowyczał. — Odmawiasz mi w takiej chwili?! Teraz, kiedy w końcu możemy w końcu dopaść tego gnoja?!

— Odmawiam!

— Nie możesz!

— Mogę!

— Nie możesz!

— Muszę!

272

Były komisarz opadł ciężko na stojącą w kącie wersalkę. Dyszał jak tur, usiłując poluzować kołnierzyk. Kolejny atak dusznicy, i to w takim momencie!

Kayser podbiegł do niego i pomógł mu uporać się ze zbyt ciasną koszulą. Zaraz potem podał mu szklanekę zimnej wody.

Kiedy Kaczmarek znowu złapał głęboki oddech, Kayser przysiadł obok niego i objął go troskliwie ramieniem.

— Widzę tylko jedno wyjście, Biniu — powiedział łagodnym tonem. — Możesz działać sam. Przecież ci nie zabronię. Nie jesteś już policjantem... W obecnej sytuacji to nawet lepiej, że nie jesteś. Jednak w poniedziałek będę musiał popchnąć do stolicy ten paskudny formularz, który na zawsze zniszczy ci opinię w ministerstwie...

— Pal go licho!

— .. i który odbierze ci nędzny, ale pewny grosz na emeryturze.

— Do diabła z tym!

— Na pewno, Biniu?

— Na pewno. Muszę dopaść tego skurwysyna, który zamachnął się na Janeczka. Muszę! Wszystko inne jest nieważne, rozumiesz?!

— Rozumiem — uśmiechnął się Kayser. — Życzę powodzenia.

Warszawa, sobota 5 sierpnia 1944, tuż przed osiemnastą

— Panie marszałku, chyba się ruszyli — gruby pułkownik stał wyprężony przed szefem w oczekiwaniu na dyspozycje.

273

Choć na zewnątrz starał się nie okazywać zdenerwowania, w środku aż kipiał od emocji. Marszałek spojrział na oficera i z miejsca wiedział, że jego podwładny nadrabia miną. Obaj zdawali sobie sprawę, że sytuacja stała się napięta jak struna. Marszałek walczył z chwilą zwątpienia.

— Co konkretnego wiemy? — zapytał.

Pułkownik wyduł usta.

— Nasz wywiad w województwach tarnopolskim, wołyńskim i wileńskim melduje wzmożony ruch w niemieckich garnizonach. Słychać pracę silników. Jakby szykowali się do wyjazdu albo jakiejś akcji...

— Tak... — marszałek obrócił się na pięcie w stronę zawieszanej na haku mapy.

Pięć czerwonych obwódok przy wschodniej granicy Rzeczypospolitej od dawna spędzało mu sen z powiek. Wygląda na to, że nie wyśpię się również najbliższej nocy, pomyślał. Nie wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek zasnę. Chyba że od razu na wieczność...

Przekrwione źrenice Wodza omiotły krótkim spojrzeniem zdesperowaną twarz oficera sztabu.

— Może to tylko prowokacja — powiedział głosem pozbawionym wiary. — Tak czy owak, rozkazuję nadal prowadzić obserwację garnizonów. Jednocześnie możliwie dyskretnie ogłosić cichą mobilizację pierwszego stopnia na terenie całego kraju. Jeśli to coś więcej niż szantaż, musimy być gotowi, by odpowiedzieć całą siłą, jaką dysponujemy.

— Tak jest!

Stukot obcasów poprzedził wyjście pułkownika. Marszałek podniósł słuchawkę i wykręcił krótki numer. Po chwili

274

długo jak noc usłyszał po drugiej stronie głos starego, zniszczonego niepewnością człowieka.

— Panie prezydencie, zarządziłem cichą mobilizację — powiedział wojskowy. — Proszę przygotować orędzie do narodu.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, osiemnasta

Po raz pierwszy w życiu Zbigniew Kaczmarek opuścił gmach Prezydium Policji wolny od jakichkolwiek myśli

0 służbie. Czuł się dziwnie lekko, nieskrępowany niewidzialnym gorsetem urzędowych obowiązków, nakazów

1 zakazów. Wiedział, co musi zrobić, i cieszył się, że nic mu w tym nie przeszkodzi. Wręcz przeciwnie, wiedział, że tym razem może sobie pozwolić na wszystko. Wprost dyszał chęcią krwawej zemsty.

Los mu sprzyjał. Niemal przed samym wejściem stała taksówka, a siedzący za kierownicą łysy kierowca uśmiechał się do niego nad wyraz życzliwie.

Skorzystał z zachęty i wgramolił się na miękkie siedzenie z tyłu wozu.

— Pod konsulat Rzeszy! — rzucił do szofera, wsuwając mu w kieszonkę na piersi banknot dwudziestozłotowy. — Zatrzymaj się pan sto metrów wcześniej, jeśli łaska.

— Już się robi, panie szanowny! — uszczęśliwiony kierowca wychylił się do hojnego klienta. — Pan w interesach?

Kaczmarek chrząknął, zaskoczony nietypowym pytaniem.

— W pewnym sensie — odparł wymijająco. — Jedź już, panie...

275

— Już się robi!

Ruszyli w stronę Jeżyc. Słońce wisało już na tyle nisko, że jego promienie ledwie muskały szczyty kamienic. Świat poznańskich ulic przybrał urokliwy kolor sepii, wygaszający wszelkie jaskrawości i krzykliwe kontrasty. Barwne przed południem witryny sklepów przy 3 Maja i wieńczące je, zdobne w fantazyjne wzory markizy zdawały się teraz wypłowieć i spokojne.

Co robić? — rozmyślał gorącz-* EKA - paczka kumpli, kowo Kaczmarek. Przydałby się ten grupa łobuzów huncwot z Chwaliszewa i jego eka *!

Gdzie on teraz może być? Pewnie siedzi w którejś z knajp o podejrzaney reputacji i żłopie tanie piwo...

Ścisnął skronie swoimi pulchnymi dłońmi i próbował się skupić. Zaraz, zaraz... Mamy sobotę, więc o tej porze Ślepy Antek na pewno już nie pracuje. Zapewne zostawił wóz w bramie swojego podwórza i popędził do „Grubego Jasia”. Albo na plac Sapieżyński, bo tam mają „Kozłaka”...

Nagle szofer przyhamował tak gwałtownie, że głowa Kaczmarka pochyliła się ku przodowi i pacnęła z całą mocą w oparcie fotela.

— Jak jedziesz, baranie?! — zirytował się, zaskoczony niemiłą niespodzianką.

— Szanowny pan wybaczy, ale jakiś osioł wlaź mi prosto pod maskę! O-ooo! Widzi go pan?! Ten baran się jeszcze śmieje!

Kaczmarek rzucił gniewne spojrzenie przez szybę taksówki... i szarpnął za klamkę. W jednej chwili zrozumiał, że opatrność mu jednak sprzyja.

276

— Antek, pacanie jeden! — zawołał przez uchylone drzwi. — Chodź tu, pierdoło saska, zanim ktoś cię naprawdę przejedzie!

Ogromna, nieco niezdarna sylwetka Ślepego Antka zaskakująco szybko wślizgnęła się do auta, które wyraźnie osiadło w dół na trzeszczących resorach.

— A niech to! — Olbrzym ciężko dyszał, zionąc piw-skiem. — Właśnie biegłem do ciebie, Biniu!

— Do mnie?! Po co?!

— Jak to, po co? Zdarzyło mi się coś dziwnego. Bardzo dziwnego.

Kaczmarek pociągnął kilka razy nosem.

— Wcale się nie dziwię. Śmierdzisz piwem na kilometr, więc o cuda łatwo.

— Kiedy to naprawdę był cud! — upierał się Ślepy Antek, a w jego jedynym oku pojawiły się nerwowe błyski.

Szofer spoglądał na obu znajomych z przejętą miną.

— A co, Matkę Boską szanowny pan zobaczył? — zagadnął z jowialnym uśmiechem.

— Te, dryndziorz*! Jedź i nie delibe-

.. _ , „ , * DRYNDZIORZ
rui! — Rozzłoszczony Kaczmarek sztur- „ „ „ „
' ' taksówkarz

chnął palcem kierowcę, przynaglając go do dalszej jazdy.

Ślepy Antek westchnął ciężko i nachylił się ku uchu byłego policjanta. Im dłużej mu coś opowiadał, tym większe robiły się oczy słuchacza.

— ...więc pomyślałem, że to może być on... — dosłyszał ostatnie słowa draba dryndziarz.

— Stój! — ryknął Kaczmarek do kierowcy, kiedy ten łagodnym ruchem kierownicy wyprowadził auto z placu

277

Nowomiejskiego i skierował je w ulicę Cieszkowskiego. — Zmiana planów! Jedziemy na plac Sapieżyński! Ale szybko!

— Tak jest! — odrzyknął po wojskowemu szofer.

Taksówka zgrabnie skręciła w Działyńskich, by za chwilę skierować się w stronę lokalu „Pod Niedźwiadkiem”.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, osiemnasta trzydzieści

Wieczne życie w mordowni „Pod Niedźwiadkiem” nabierało rumieńców. Przed wejściem kłębił się spory tłumek wciąż tych samych, obszarpanych właścicieli zapijaczonych mord, od lat doskonale znanych okolicznym dozorcóm. Z kuflami poóledniego piwa, z których opadała na bruk blada piana, gardłowali o polityce i dziwkach.

— A ja ci mówię, że Adolf to „ciepły brat”! — ryczał na cały plac tęgi jegomoóć w obcisłych spodniach z odzysku, którego jedyną ozdobą był staromodny binokl, zawieszony przy prawym oku. — Idę o zakład, że nigdy nie miał kobiety!

— Jak to nie miał?! — polemizował z nim chwiejący się z nadmiaru piwa brunet, zaczesany w grzywkę przypominającą nieco fryzurę wodza iii Rzeszy. — A ja słyszałem, że taka jedna to się dla niego zabiła!

Gruby pociągnął łyk piwa i zlizał pianę, która osadziła mu się pod nosem.

— Co ty tam wiesz, penerze z Wildy! — przygadał chudemu. — Pod pierzynę Adolfowi zagładałeś, czy jak?!

278

Pijacki rehot rozweselonego towarzystwa dotarł do uszu dwóch mężczyzn, ukrytych w pobliskiej bramie. Jeden z nich, niższy i zdecydowanie szerszy w pasie, właśnie odbierał coś od tego wyższego, jako żywo przypominającego miejscowych żuli.

— A tu są wszystkie naboje — powiedział Ślepy Antek, przekazując Kaczmarkowi jego ukochanego browninga. — Masz pięknego gnata... — nie omieszkał się podmó-wić.

— Będzie twój, jak złapiemy tego gnoja — obiecał mu Kaczmarek.

Jako były stróż prawa, przestał się krepować jakimikolwiek skrupułami.

— Dorwiemy go. Na pewno! — Jedyne oko Ślepego Antka rozbłysło nadzieją. — Ale może najpierw zajrzę do „Niedźwiadka”, żeby mieć pewność?

— Wykluczone. — Kaczmarek ze zniecierpliwienia kopnął czubkiem buta w zgniętego ziemniaka w rogu bramy. — On już cię widział dwa razy. To cud, że cię nie rozpoznał. Nie ryzykujmy. Musimy czekać.

— Ma sięTozumieć — mruknął bez przekonania juchta z Chwaliszewa.

Gdyby to zależało tylko od niego, wpadłby do „Niedźwiadka” i wytargał tego szpetnego faceta za mordę! Przecież nikt by nie stanął w jego obronie...

— Aaaaanteeeeek! — Kaczmarek czytał w jego myślach jak w Piśmie Świętym. Za długo go znał, by nie mieć złudzeń, że męczy się czekaniem i najchętniej rozwiązałby całą sprawę

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, kwadrans po dziewiętnastej

Przy czwartym piwie poczuł, że zadymione i śmierdzące potem wnętrze lokalu lekko zakołysało mu się przed oczyma. Miał tak zawsze, gdy był mocno zmęczony. W normalnych warunkach alkohol nie działał na niego tak szybko. Mógł wypić dwa razy tyle, nie martwiąc się o to, że nagle odpłynie. Tym razem jednak za sobą zostawił emocjonującą, nieprzespaną noc i bezsenny, intensywnie spędzony poranek z Gudrun. Miał prawo do słabości.

Znad stolika zerknął zamglonym wzrokiem ku przesłoniętemu kotarą wejściu, szarzejącemu w słabym świetle kończącego się dnia. Do lokalu „Pod Niedźwiadkiem” wszedł właśnie przysadzisty osobnik. Jego nos zaświecił pokazową krzywizną. Rozejrzał się wokół, jakby wypatrując wolnego miejsca, a potem wolnym krokiem ruszył ku barowi, nadal uważnie przyglądając się otoczeniu.

Kiedy spotkali się wzrokiem, gość przystanął na ułamek sekundy, jakby onieśmielony jego zainteresowaniem. Ale natychmiast poprawił krok i doszedł do kontuaru.

— „Kozłaka”! — rzucił niedbale do barmana.

I usiadł bokiem do wejścia, jakby koniecznie chciał widzieć całą salę.

Coś tu nie gra, dotarło do jego stępionej wrażliwości. Ale co?

Leniwym ruchem, przypominającym chęć podrapania się pod pachą, namacał pod koszulą długie ostrze. Jest!

Stara, rodzinna pamiątka odziedziczona po ojcu sprawiła, że od razu poczuł się swobodniej.

Pamiętał doskonale,

282

jak mroźną zimą 1919 roku musiał uciekać z ojcem z tego cholernego miasta. Skrzywił się mimowolnie na to bolesne wspomnienie. To nic, pomyślał. To tylko historia, która na szczęście już nigdy więcej się nie powtórzy...

Osuszył kufel i podniósł się z drewnianego, obszarpanego na bokach stołka.

Odniósł wrażenie, że ten, który wszedł właśnie do knajpy, drgnął wraz z nim. A może to tylko złudzenie?

Wolnym krokiem powlókł się ku ubikacji. Z wielką ulgą rozkraczył się nad zarzyganą muszlą.

Kiedy wrócił na miejsce, faceta z krzywym nosem nie było już przy barze.

No widzisz, brachu. Starzejesz się, pomyślał. Nerwy cię zjadają. Ale już niedługo odpoczniesz. Już niedługo...

— Jeszcze jedno! — krzyknął w stronę baru.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, dwudziesta pierwsza trzydzieści i

Plac Sapieżyński pogrążał się w mroku. Efektowne, secesyjne fasady kamienic poszarzały, tracąc piękne detale i zamieniając się z wolna w czarne, zwaliste monstra o poszarpanych konturach. Gwarne życie na podwórzach domów zamarło w oczekiwaniu na kompletną ciemność.

Tłumek przed lokalem przeredził się znacznie. Poza kilkoma nieźle już zaprawionymi bywalcami uczepionymi pobliskiej latarni i wiodącymi specyficzny dialog z osobami, których alkohol pozbawił elokwencji, na placu nie było nikogo. Z drobnym wyjątkiem pięciu par oczu czujnie wyglądających z pobliskiej bramy.

283

Kwadrans wcześniej eka z Chwaliszewa zaczęła zdradzać objawy znużenia.

— Może wyszedł z innej strony? — zasiał ziarenko wątpliwości Edzio.

Ślepy Antek spiorunował go spojrzeniem swojego jedyne go oka.

— Tu nie ma innego wyjścia — wycedził przez zęby, uciszając na moment wątpliwości kompana.

Ale eka zaczęła się niecierpliwic.

— Może dał sobie ganc w gnyk* i leży *ganc w gnyk — uchachany, a my tu stoimy jak jakieś ge-zupełnie się upić mylorze** — prychnął pogardliwie jeden
** gemylorz - z kolegów Edzia. nędzarz, włóczęga Ślepy Antek już był przy nim, dociska-
*** bajtlować_ jąc go do wilgotnej ściany. >

pleść bzdury, — Jak ci wymaluję, to matkę zapo-
plotkować mnisz! Rychtuj się do roboty, a nie baj-tluj*** jak baba! — syknął ze złości.

— Ciiiiii! — Kaczmarek aż podskoczył z wrażenia, wciskając się mocniej w ciemną
wnękę bramy. — Ciiiiii! Iiii-dzieeeeeee...

Odruchowo skryli się w głębokim mroku, wychylając z niego jedynie głowy.

Z lokalu „Pod Niedźwiadkiem” wytoczył się wysoki, żyłasty mężczyzna po trzydziestce. Jego
zacięta twarz miała w sobie coś demonicznego. Kaczmarek zrozumiał od razu: to przez
wilcze, nienaturalnie świecące oczy, które czujnie omiotły okolicę. Mijając pijacków przy
wejściu do knajpy, nieznajomy wyraźnie chwiejnym krokiem skierował się

284

w stronę Alej Marcinkowskiego, ku iluminowanemu gmachowi Poczty.

— Za nim!

Wyskoczyli z bramy jak drużyna świeżych rekrutów, próbujących niezdarnie ustawić tyralierę
do ataku. Chaotyczny trzepot ich obcasów po bruku zmusił nieznajomego do obejrzenia się.
Zrobił to tak szybko, jakby błyskawicznie otrzeźwiał.

Z miejsca rozpoznał dwa spośród pięciu cieni dybiących na jego życie i zrozumiał, że sam nie
da im rady.

W mgnieniu oka podjął decyzję: zamiast ku Poczcie, skreślił ku Staremu Rynkowi. Szybkość,
z jaką wystartował w kierunku Kramarskiej, zaskoczyła całą piątkę.

— Gonić gibasa*, bo mu ujdzie na sucho! — zapiął rozpaczliwie Ślepy Antek.

*GIBAS _

Eka z Chwaliszewa zerwała się do pościgu. dragal, osilek

Berlin, sobota 5 sierpnia 1944, o tej samej porze

Mężczyzna w szarym, prostym mundurze wpatrywał się obsesyjnie w sam środek mapy
Europy. Jego oczy śledziły czerwone wektory naniesione na kartę, które cięły ze wszystkich
stron kraj o dziwnych, nienaturalnie rozciągniętych granicach.

Co za bękart, pomyślał z pogardą i splunął do spluwaczki. Tyle lat czekałem na tę chwilę.

Tyle lat...

Po wymuskanej posadzce z marmuru zadudniły podkute metalem buty. Długim jak Unter den
Linden korytarzem

285

szedł ku wodzowi adiutant w odświętnym, czarnym uniformie. W dłoni niósł zalakowaną
kopertę.

Gdy stanął przed biurkiem, zasalutował zamaszystym wymachem prawej dłoni, a lewą podał
wodzowi przesyłkę.

Mężczyzna w szarym mundurze z obłędem malującym się w źrenicach rozerwał kopertę i
rozłożył papier na biurku. Z szuflady wyjął pióro o złotej stalówce i bez zwłoki podpisał
dokument.

Złożył kopertę i wręczył z powrotem adiutantowi.

— Wykonać! — rozkazał chrapliwym głosem.

— fawohl!

Lodowate spojrzenie wodza odprowadziło oficera do drzwi. Kiedy adiutant opuścił
monumentalny gabinet, mężczyzna w szarym mundurze zaczesał dłonią swoją siwiejącą,
czarną grzywę i wolnym krokiem podszedł do osiemnastowiecznego portretu Fryderyka

Wielkiego.

— No, Friedrich... — zagadnął pruskiego króla. — Który z nas jest teraz większy?

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, tuż przed dwudziestą drugą

W bladym świetle gazowych latarni na Kramarskiej rozgrywała się akcja na sześć cieni. Do przodu zdecydowanie wysunął się najdłuższy i najsmuklejszy z nich, mknąc po lekko pochyłym bruku w stronę Żydowskiej. W pewnym oddaleniu pędziły za nim cztery cienie o stanowczo większych gabarytach. Krótkie, zwaliste sylwetki ich właścicieli poruszały się o wiele wolniej, ale za to z ogromną determinacją — potwierdzoną mało wybrednymi epitetami pod

286

adresem uciekającego. Tyły ubezpieczał cień na kształt wielkiej, dmuchanej piłki plażowej, jakie niesforne dzieci kopią każdego lata na bałtyckich plażach.

Kaczmarek już po kilkunastu krokach zdał sobie sprawę, że jego ociężałe ciało musi podołać nadzwyczajnemu wyzwaniu. I wcale nie był pewny, czy to się uda.

— Łapcie gnoja! — pokrzykiwał tym głośniejszym głosem, im wolniej biegł po krzywym trotuarze.

— Łapcie go, na miłość boską!

— Już go mamy! — odkrzyknął raz Ślepy Antek, bardziej dla dodania sobie animuszu niż dla opisanego faktycznego stanu pościgu.

Nieznajomy był bowiem coraz dalej. Jeszcze dwie sekundy — i zniknął za załomem

Żydowskiej. Zdrowską później na Żydowską wpadła zziębnięta eka z Chwaliszewa.

Sapiąc ciężko jak nowoczesny parowóz, juchta zerknął swoim bystrym okiem na widoczny po prawej skrawek Starego Rynku i intuicyjnie zdecydował:

— Na Wielką!

Nie pomylił się. Gdy obiegli kościół Najświętszej Krwi Jezusa i wypadli na szeroką, opustoszałą ulicę prowadzącą ku Warcie, zauważyli samotnego mężczyznę pokonującego w sprinterskim tempie metry dzielące go od Garbar.

— Ucieka na Chwaliszewo! — krzyknął Ślepy Antek do swoich kamratów i roześmiał się triumfalnie. — Już jest nasz!

Gwizdnął w pełnym biegu, wzbudzając zachwyt kompanów. Czwórka ejbrów przyspieszyła kroku, jakby dostała nową szprycę energii.

Kaczmarek, zmagając się z objawami potężnej zadyszki i potworną kolką w prawym boku, osiągnął skraj Wielkiej

287

adresem uciekającego. Tyły ubezpieczał cień na kształt wielkiej, dmuchanej piłki plażowej, jakie niesforne dzieci kopią każdego lata na bałtyckich plażach.

Kaczmarek już po kilkunastu krokach zdał sobie sprawę, że jego ociężałe ciało musi podołać nadzwyczajnemu wyzwaniu. I wcale nie był pewny, czy to się uda.

— Łapcie gnoja! — pokrzykiwał tym głośniejszym głosem, im wolniej biegł po krzywym trotuarze.

— Łapcie go, na miłość boską!

— Już go mamy! — odkrzyknął raz Ślepy Antek, bardziej dla dodania sobie animuszu niż dla opisanego faktycznego stanu pościgu.

Nieznajomy był bowiem coraz dalej. Jeszcze dwie sekundy — i zniknął za załomem

Żydowskiej. Zdrowską później na Żydowską wpadła zziębnięta eka z Chwaliszewa.

Sapiąc ciężko jak nowoczesny parowóz, juchta zerknął swoim bystrym okiem na widoczny po prawej skrawek Starego Rynku i intuicyjnie zdecydował:

— Na Wielką!

Nie pomylił się. Gdy obiegli kościół Najświętszej Krwi Jezusa i wypadli na szeroką, opustoszałą ulicę prowadzącą ku Warcie, zauważyli samotnego mężczyznę pokonującego w sprinterskim tempie metry dzielące go od Garbar.

— Ucieka na Chwaliszewo! — krzyknął Ślepy Antek do swoich kamratów i roześmiał się triumfalnie. — Już jest nasz!

Gwizdnął w pełnym biegu, wzbudzając zachwyt kompanów. Czwórka ejbrów przyspieszyła kroku, jakby dostała nową szprycę energii.

Kaczmarek, zmagając się z objawami potężnej zadyszki i potworną kolką w prawym boku, osiągnął skraj Wielkiej

287

i rozejrzał się w sytuacji. Ludzie Ślepego Antka przecięli właśnie Garbary i biegli w stronę mostu Chwaliszewskie-go. Między tonącymi w mroku gardami jego metalowych przęsł dostrzegł znieawidzoną sylwetkę, która była już w połowie długości mostu.

— Cholera jasna! Zwieje nam! — zapał żałośnie i poderwał się do ponownego wyczynu. Nie może mu się udać! Nie może! — tłukło mu się w głowie, gdy biegnąc przyciężkim truchtem w stronę mostu, ślizgał się lekko obłąkanym wzrokiem po brukowych kostkach. Był bliski hysterii i nerwowego załamania, ale wiedział, że teraz albo nigdy.

Podniósł głowę i dostrzegł, że ścigany był już na wyspie. Zdecydował się na ucieczkę najprostszą drogą — ku katedrze. Jeszcze chwila i zniknął Kaczmarkowi z oczu za łagodnym łukiem ulicy, skręcającej nieznacznie ku północy.

— Aaaantek! Łapcie go, do kurwy nędzy! — wydał z siebie straszny pisk i ostatnim wysiłkiem woli przyspieszył biegu.

Juchta usłyszał dramatyczną komendę Binia i równie dosadnie popędził swoją kompanię. Czterech dryblasów, potykając się o tramwajowe koleiny, przebiegło przez most i kłaniając się nisko Chrystusowi rozpiętemu na złotym krzyżu po lewej, zostawiło za sobą pałacyk Engla, nieudolnie naśladujący renesansową fasadę Ratusza. Eka z Chwaliszewa, nie zważając na architektoniczne cuda, popędziła w głąb miejskiej wyspy za wychudłym mężczyzną. Kaczmarek starał się dotrzymać im kroku, ale nie potrafił. Sterane w ciągu tylu lat służby nogi odmawiały mu

posłuszeństwa. Coraz wolniejszym biegiem wpadł na most Chwaliszewski, objając się bokami o jego zimne, masywne przęsło. Kątem oka zobaczył w dole smołowatoczarne lustro wody. Po lewej, w oddali, rozblęsnął właśnie nocnymi światłami port rzeczny.

Przed oczyma miał czarne plamy, kiedy pokonał most i zatrzymał się pod dwuramienną latarnią na wprost złotego krzyża. Sprowadzona niegdyś z Monachium, wypucowana figura Zbawiciela była teraz niemyym świadkiem jego słabości.

Boże, pomóż, pomyślał, wznosząc wzrok ku Chrystusowi. Boże, on nie może uciec...

Dyszac jak astmatyk podczas ataku duszności, rozejrzał się wokół. Przed sobą miał restaurację wdowy Binertowej. Zza podświetlonych arkad parteru dobiegł jego uszu radosny gwar zabawy. Po prawej tonęła w mroku najzaciejsza na Chwaliszewie apteka Pyszkowskiego.

Paniczny łomot serca i dziki puls w skroni przywiodły go do porządku. Musiał znowu zmusić się do wysiłku.

I zrobił to.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, kwadrans po dwudziestej drugiej

Przy owalnym stole Sali Sądowej Ratusza siedziało w milczeniu kilkunastu mężczyzn.

Dominowały garnitury, spod których wystawały elegancko wykrochmalone, nienagannie czyste koszule, zwieńczone pod szyją czarnymi muszkami. Na tę chwilę zjechał się cały kwiat urzędniczego Poznania. Wiceprezydenci i naczelnicy miejskich wydziałów byli

289

poważni i skupieni. Pośród nich na palcach jednej ręki można było policzyć wojskowych w mundurach. Wszyscy nerwowo spoglądali na drzwi.

Blady jak kreda wiceprezydent Konrad Bombka ścisnął mocno chustkę pod zielonym obrusem. Wiedział, co się święci, i był przerażony. Spanikowanym wzrokiem błędził pomiędzy zdobnymi łukami sklepienia, łacińskimi sentencjami wypisanymi na ścianach, które dziwnym trafem nic mu tym razem nie mówiły, a stojącym w rogu posągiem króla Poniatowskiego. Z każdą chwilą niepokój zżerał go coraz bardziej.

Nagle drzwi zaskrzypiały dyskretnie i do Sali Sądowej wszedł krępy mężczyzna z wygoloną głową i niewielkim, nieco rachitycznym wąsem. >

Prezydent miasta podszedł do stołu i z przyzwyczajenia, po wojskowemu stuknął obcasami swoich eleganckich lakierów.

— Panowie — powiedział głosem łamiącym się od emocji. — Jestem po naradzie z dowódcą korpusu. Mobilizacja jest już w toku, a to oznacza, że również na odcinku cywilnym musicie od tej chwili podporządkować się w pełni instrukcji mobilizacyjnej. Czy są jakieś pytania?

Ktoś chrząknął, ale nie zabrał głosu. Zaraz potem wstał jeden z naczelników. Bombka rozpoznał w nim szefa de-cernatu komunikacyjnego.

— Panie prezydencie, melduję, że wszystkie tramwaje, busy i trolejbusy są od godziny do dyspozycji wojska — oznajmił gromkim, wojskowym rytmem.

— Dziękuję, panie naczelniku. — Prezydent powiódł po zebranych szybkim spojrzeniem.

— Czy jeszcze coś?

290

Odpowiedziała mu cisza, przez którą przebiło się dźwięczne uderzenie ratuszowego zegara.

— A więc na stanowiska, panowie. — Prezydent mimo całego opanowania nie potrafił ukryć wzruszenia. — Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, o tej samej porze

U wylotu ulicy zamajaczył mu w ciemnościach przysadzisty obrys katedry. Czuł, że gwałtownie słabnie i dlatego widok wypiętego w nieznacznym łuku mostu Chrobrego dodał mu otuchy. Za sobą słyszał zdyszane, coraz bliższe odgłosy pościgu. Zgubię charty na Ostrowiu Tumskim, pomyślał i po raz pierwszy tego wieczoru uśmiechnął się cynicznie. Pal licha „parkietówki” spod „Trocadero”! Za pół godziny będę w objęciach Gudrun i zapomnę o tej całej błazenadzie!

Podbiegał właśnie pod niewielkie wzniesienie prowadzące do mostu, gdy nagle uświadomił sobie, że jego plan spalił na panewce.

Całą szerokością mostu Chrobrego ciągnął ku miastu szwadron ułanów z lancami u strzemion. Od lekko pochylonych jeźdźców z karabinami na plecach niosła się smętna, melancholijna pieśń.

„... że za tobą idą, że za tobą idą chłopcy malowani...” — usłyszał i zrozumiał, że musi natychmiast zawrócić.

Zawsze pogardzał tymi strojnymi pajacami na chuder-lawych konikach i z szabelkami. Nie mógł teraz wpaść im prosto w ręce.

291

Odwrócił się, by zlokalizować pogoń. Czterech potężnych mężczyzn o nieprzejednanych zamiarach zbliżało się w szybkim tempie do mostu. Zawahał się, czy nie skrócić w Nadrzeczną, ale nagle przypomniał sobie o Wenecjań-skiej. Znał tam pewien zaułek. Przy odrobinie szczęścia...

Nie zastanawiając się ani chwili, rzucił się ku karłowatym domkom po północnej stronie wyspy.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, dwudziesta druga trzydzieści

— Gdzie on jest?! Gdzie on jest, do jasnej cholery?!

Pytanie ledwie zipiącego Kaczmarka zawisło w mroku spowijającym wąską przestrzeń między niskimi nędznymi zabudowaniami Wenecjańskiej. Od kwadransa nie mogli zrozumieć, co się stało z bandytą, którego gonili. Jakby się zapadł pod ziemię!

— Widziałem, jak tu biegł! — zaklinał się Edzio, ocierając wierzchem dłoni spoconą twarz.

— Musi tu gdzieś być! Bawi się w szukanego, czy jak?!

Od strony rzeki po wąwozie uliczki ścieliła się ku nim gęsta mgła. Stali rozstawieni w kilku miejscach i pokrzykiwali do siebie, ciężko przeżywając porażkę.

Cholera, za dużo tu różnych podwórek i zaułków, myślał gorączkowo Kaczmarek. Bardzo łatwo się tu ukryć. Przecież nie będziemy wdzierać się na posesje i po kolei je kontrolować! Nie wiedział, co robić, i ta niepewność go dobijała. Cholerny Szwab! Musiał być szkolony do takich zadań, inaczej nie byłby taki biegły w sztuce ucieczki!

292

Rozejrzał się po najbliższych mizernych domkach i kilku drewnianych bramach znaczących granice pomiędzy małymi posesjami. Siwa mgła zacierała z wolna ich kształty, przenosząc wszystko w nierzeczywisty świat imaginacji.

„Wojenko, wojenko, cóżes ty za pani...” — przez mgłę przebijała się jedynie ułańska pieśń, zaświadczająca o pochodzie wojska.

Cholera jasna, muszę coś zrobić, mamrotał Kaczmarek. Jeszcze chwila i niczego nie będzie widać!

Od strony magazynu mebli Baranowskiego podbiegł do niego Ślepy Antek. Jego zacięta mina zdradzała równie wielkie rozczarowanie.

— Musi tu gdzieś być! Przecież zagroiliśmy mu drogę — syknął.

— Tylko jak go wykurzyć?

— Właśnie, jak?

Antek gwizdnał na swoich ludzi. Zbiegli się jak nocne mary przebijające gęstniejącą ścianę z mleka. Sapali jak tury, zawiedzeni klęską. Nie mogli uwierzyć, że zostali przechrzteni na swoim własnym terenie.

— A może by... — zaczął Edzio, ale nie dokończył. Od wnęki jednego z niższych domów oderwał się nagle wysoki, wąski cień i po krótkim biegu w stronę katedry utonął we mgle.

Po poszarpanym bruku niósł się tylko tępy odgłos jego podeszew.

— Jest! — wyrwało się Kaczmarkowi. — Za nim! Łapać go!

Cała piątka poderwała się znowu do pościgu. Kaczmarek

błyskawicznie zdał sobie sprawę, że ścigany nie zaryzykuje ucieczki przez most pełen ułanów.

293

— Antek! Na Chwaliszewo! — wrzasnął, bo zrozumiał, że tylko w ten sposób odetnie Szwabowi drogę ucieczki.

Juchta czytał w jego myślach. Bez szemrania przeskoczył na szeroką ulicę równoległą do Wenecjańskiej i pognął w kierunku mostu Chrobrego.

Kaczmarek pędził, jakby mu lat ubyło. Teraz dotrzymywał kroku kompanom.

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, kwadrans przed dwudziestą trzecią

Co robić?

Odgłosy pościgu były coraz bliżej, a jego pole manewru kończyło się niemiłosiernie. U wylotu Wenecjańskiej przez chmury mgły dostrzegł dobrze mu znaną sylwetkę, którą widział już w ostatnich godzinach kilkakrotnie. Zbliżała się doń szybko i nieubłaganie.

Zrozumiał, że znalazł się w potrzasku.

Omiótł spojrzeniem najbliższą okolicę. Po lewej zauważył metalowe ogrodzenie z osadzoną na ceglanych murkach bramą. Nad jej sklepieniem wisiał żeliwny napis: „Polski Monopol Zapalczany”.

Fabryka! Tu się ich pozbędę!

Pod pachą namacał smukłe ostrze, które dodało mu pewności. Wilcze oczy uciekiniera rozbłysły determinacją i nienawiścią. Zrobił trzy szybkie kroki, jak skoczek, który podbiega do wysoko zawieszanej poprzeczki, chwycił metalowe pręty i wybijając się dynamicznie, przerzucił swoje wysportowane ciało nad bramą.

294

Kiedy zniknął w ciemnościach fabrycznego dziedzińca, do furty dopadła pogoń.

— Widziałeś to, tej?! — Edzio nie mógł wyjść z szoku, w jaki wprowadził go ekwilibrystyczny skok ściganego.

— Też mi coś! — parsknął Ślepy Antek. — Każdy głupi to umie!

Litościwie nie spojrzał na okrągłego Kaczmarka, który właśnie przytruchtał pod bramę.

— Otoczyć teren fabryki! — W Kaczmarku odezwały się natychmiast policyjne instynkty. — Nie możemy pozwolić, żeby wymknął się nam nabrzeżem Warty!

— Się robi, szefie. — Edzio po raz pierwszy uśmiechnął się do Kaczmarka.

Trójka gibasów rozplynęła się we mgle, otaczając teren fabryki od strony rzeki.

— Teraz my — zakomenderował były komisarz.

Ślepy Antek usłużnie złożył dłonie w siodełko i podstawił je Kaczmarkowi.

4

Poznań, sobota 5 sierpnia 1944, około północy

Wiedział, że Szwab wpadł w sidła, ale musiał być czujny. Teren fabryki miał mnóstwo ciemnych zaułków, w których łatwo się było ukryć. W każdej chwili może dać dyla, myślał Kaczmarek, analizując na gorąco sytuację.

Otynkowany na szaro, pozbawiony oświetlenia budynek fabryki zapalek sprawiał ponure wrażenie. Dwukondygnacyjna bryła zakładu zbudowana była w kształcie litery I. Jej nieduży dziedzińiec zamykały od południa dwa baraki:

295

mniejszy drewniany i większy — postawiony w tym samym stylu, co fabryka. Pod barakiem stał drewniany wóz, podstawiony zapewne do poniedziałkowego załadunku.

Kaczmarek stał oparty o wóz i uważnym spojrzeniem lustrował ciemny gmach. Obok usłyszał szmer i za chwilę z ciemności wyłoniła się groźna twarz z przepaską na oku.

— Ani chybi jest w fabryce — szepnął Ślepy Antek i uśmiechnął się zbójcecko. — Można go łatwo wykurzyć.

— Niby jak? — zdziwił się Kaczmarek.

— Całkiem ajnfach*, Biniu. — Ślepy * ajnfach — prosto, Antek zanurkował dłonią w kieszeni ob-łatwo, zwyczajnie szarpanych portek i wyciągnął z niej coś błyszczącego.

W jego rozpostartej dłoni spoczywała srebrna zapalniczka.

— Skąd to masz?! — Policyjny dryg nie opuszczał Kaczmarka. — Chyba nie powiesz, że to ta sama, którą miał Wiesie?

— A czy to tera ważne, Biniu? — wzruszył ramionami „Duma Chwaliszewa”.

— Ani mi się waż niczego podpalać! — warknął zwolniony komisarz. — Ta fabryka to własność państwowa!

— Dobra, dobra. Żartowałem tylko... — westchnął juch-ta i z wyraźnym żalem schował srebrne cacko.

Przez chwilę nasłuchiwali dźwięków nocy, starając się wyłowić z nich cokolwiek, co zdradziłoby kryjówkę ściganego. Ułani już dawno przeciągnęli przez Chwaliszewo w stronę zachodnich dzielnic miasta i wokół panowała względna cisza, przerywana tylko od czasu do czasu jakimś pijackim okrzykiem z pobliskich melin.

296

Z wnętrza fabryki nie dochodził jednak żaden sygnał.

Nic. Zupełnie nic.

Kaczmarek namacał zimną kaburę Browninga i wycelował broń w ciemność wokół fabryki.

— Wchodzimy — zdecydował i ruszył ku słabo widocznym drzwiom, ukrytym w mroku pod daszkiem z papy.

— Uważaj, Biniu. On ma scyzoryk — przypomniał mu Ślepy Antek.

Dopiero teraz Kaczmarek zorientował się, że jego kompan dzierży w lewej dłoni wzbudzający należyty respekt nieco zagięty łom.

Kocim krokiem zakradli się do metalowych drzwi fabryki. Kaczmarek chwycił za metalowe uszy, napał na nie swoim grubym barkiem i z zadowoleniem stwierdził, że drzwi są otwarte. Zgrzyt dawno nieoliwionych zawiasów poniósł się po wnętrzu hali, demaskując ich ostatecznie.

Poznań, niedziela 6 sierpnia 1944, tuż po północy

Dyletanci, pomyślał z dziką schadenfreude. Dyletanci i amatorzy! Słysząc ich na kilometr!

Już ja ich nauczę!

Siedział za jedną z wielkich, wysokich na dwa metry skrzyń. W całej hali stało ich chyba ze dwadzieścia. Spomiędzy desek wystawały ściśle ułożone obok siebie wielkie tekturowe pudła. Nie musiał sprawdzać, co w nich jest. Zapach siarki niósł się po całej hali, wyostając jego węch. Był wszędzie.

297

Z wnętrza fabryki nie dochodził jednak żaden sygnał.

Nic. Zupełnie nic.

Kaczmarek namacał zimną kaburę Browninga i wycelował broń w ciemność wokół fabryki.

— Wchodzimy — zdecydował i ruszył ku słabo widocznym drzwiom, ukrytym w mroku pod daszkiem z papy.

— Uważaj, Biniu. On ma scyzoryk — przypomniał mu Ślepy Antek.

Dopiero teraz Kaczmarek zorientował się, że jego kompan dzierży w lewej dłoni wzbudzający należyty respekt nieco zagięty łom.

Kocim krokiem zakradli się do metalowych drzwi fabryki. Kaczmarek chwycił za metalowe uszy, napał na nie swoim grubym barkiem i z zadowoleniem stwierdził, że drzwi są otwarte. Zgrzyt dawno nieoliwionych zawiasów poniósł się po wnętrzu hali, demaskując ich ostatecznie.

i

Poznań, niedziela 6 sierpnia 1944, tuż po północy

Dyletanci, pomyślał z dziką schadenfreude. Dyletanci i amatorzy! Słysząc ich na kilometr!

Już ja ich nauczę!

Siedział za jedną z wielkich, wysokich na dwa metry skrzyń. W całej hali stało ich chyba ze dwadzieścia. Spomiędzy desek wystawały ściśle ułożone obok siebie wielkie tekturowe pudła. Nie musiał sprawdzać, co w nich jest. Zapach siarki niósł się po całej hali, wyostając jego węch. Był wszędzie.

297

W bladej poświacie księżycy wlewającej się do wnętrza zauważył dwie niezgrabne sylwetki przekraczające próg metalowych drzwi. Pierwsza z nich trzymała w wyciągniętej dłoni rewolwer, druga — długi drag. Obława była tuż, tuż, ale on wcale nie czuł się zwierzyną

łowną. Przeciwnie, czał się do skoku niczym drapieznik, który właśnie zwąchał świeże mięso.

Zacisnął dłoń na rękojeści bagnetu. Jego ząb studził emocje i wyciszał niepotrzebne myśli. Teraz liczyło się tylko jedno: szybkość.

Dopadnie ich i zabije.

Błyskawicznie.

Bez litości.

Wychylił się zza skrzyni i serce uderzyło mu mocniej.

*

Byli naprawdę blisko.

Trzy skrzynie dalej.

Skradali się na ugiętych nogach jak średniowieczni skrytobójcy, którzy wdarli się na zamkowe komnaty, by zgładzić króla.

Nie dopadną mnie, pomyślał i raz jeszcze * winkiel — zerknął zza winkla*...

narożnik, róg Kaczmarek dostrzegł kątem oka jakiś ruch

po prawej. Tłumione emocje w ułamku sekundy znalazły ujście. Nie do końca świadom tego, co się dzieje, pociągnął za cyngiel.

Sterylną ciszę wewnątrz fabryki przeszył huk wystrzału.

Wybuch najbliższej skrzyni cisnął komisarzem na przeciwległą ścianę, osmalając mu brwi i włosy na skroniach. Zaraz potem ogień przerzucił się na kolejne skrzynie, tworząc z nich w oka mgnieniu gigantyczne pochodnie.

298

Spomiędzy żywych stosów zerwał się wysoki, rozpaczliwie machający rękoma płomień.

Wijąc się i rycząc z bólu, rzucił się ku drewnianym schodom prowadzącym na piętro. Gonila go wściekła fala płomieni liżących suchą konstrukcję stopni.

W niespełną minutę hala fabryki zapalek zamieniła się w gigantyczny piec, w którym buzowało czyste szaleństwo płomieni.

— Biniu! Uciekajmy! — Ślepy Antek szarpał Kaczmarka za spalony rękaw, starając się za wszelką cenę odciągnąć go od schodów. — Uciekajmyyyyyy!

Oszołomiony Kaczmarek stał przez chwilę pośród wzbierającego na sile żywiołu, podziwiając imponującą ścianę ognia wdzierającą się z potężną mocą na piętro. Płomienie w mig uchwyciły solidne przyczółki na drewnianych belkach wiążących podłogę piętra i z impetem posuwały się w głąb budynku, odcinając jedyną drogę ucieczki w dół. *

— Idziemy — powiedział Kaczmarek. — Nic tu po nas.

Podparty pod ramię przez juchtę, wybiegł z rozżarzonego do czerwoności piekła.

Gdy szeroko otwartymi ustami łapał świeże powietrze, gdzieś z górnych kondygnacji fabryki wydobył się przerażający krzyk żywcem palonego człowieka.

— Idź do diabła! — splunął Kaczmarek. — Tam twoje miejsce!

Przez następną godzinę stał pod płonąca halą, wpatrując się zimnym wzrokiem w postępującą katastrofę.

Dopiero kiedy ogień we wnętrzu hali był już tak wysoki, że od żaru zaczęły pękać szyby, odwrócił się na pięcie i z rę-

299

koma w kieszeniach ruszył spacerkiem w stronę Starego Rynku.

Dopadłem go, pomyślał. Janeczek pomszczony.

I Tej nocy, której spłonęła fabryka na Wenecjańskiej, Jan

Krzepki miał dziwny sen. Śniło mu się wielkie, zbombardowane i wypalone do ruin miasto.

Przypominało mu Warszawę. Pomiędzy jego gruzami biegali nastoletni chłopcy z białoczerwonymi opaskami na ramionach. W zbyt dużych, niemieckich hełmach na głowach wyglądali na poły groteskowo, na poły tragicznie. W dłoniach nieśli butelki z benzyną,

którymi próbowali powstrzymać czołgi. Gęsty ogień z broni maszynowej położył ich wszystkich...

Obudził się nad ranem, zlany zimnym potem i odetchnął z ulgą.

Był szczęśliwy, że to tylko sen.

EPILOG

Warszawa, niedziela 6 sierpnia 1944, kwadrans przed piętę

Radiostacje w Sztapie Naczelnego Wodza rozszalały się tak nagle, jakby jakiś zły duch opętał na co dzień chłodne i martwe przedmioty. Albo jakby, nagły powiew porannej sierpniowej burzy obudził je do życia. Niczym fontanny zaczęły wypływać z siebie dziesiątki meldunków, wykrzykiwanych przez radiotelegrafistów. Każdy następny był gorszy.

— Bombardują Westerplatte!

— Zajęli Stanisławów!

— Lwów otoczony!

— Pancerne czołwki na warszawskiej Pradze!

— Walki o Wilno!

— Kolumna tygrysów posuwa się na Łódź!

— Starcia z dywersantami w Poznaniu i Bydgoszczy! Marszałek oparł się łokciem o framugę i oddychał ciężko, przytłoczony skalą inwazji.

301

A więc wojna, pomyślał. To już koniec. Od pięciu lat dzień w dzień męczyło go przecucie, że flirt z Rzeszą skończy się kiedyś zapaścią. Ale teraz, gdy wszystko stało się jasne, wcale nie odczuwał ulgi.

Poznań, marzec 2010

KILKA STÓW OD AUTORA

Zawsze intrygowało mnie, co by było, gdyby wiosną 1939 roku Polska odpowiedziała iii Rzeszy „tak”, godząc się na status wasala Niemiec.

To pytanie — wbrew pozorom — wcale nie jest teoretycznym rozważaniem. W mojej powieści nie darmo pojawia się na przykład anegdota o kasiarzu Grubberze, który znalazł schronienie na eksterytorialnej autostradzie przez polskie Pomorze. Mało kto wie, że w końcu 1938 roku polskie władze całkiem realnie rozważały niemiecką propozycję zbudowania takiej drogi. Między sobą konsultowały się kolejne ministerstwa, a wstępny projekt zakładał nawet postawienie autostrady... nad polskim terytorium — na specjalnej, wielokilometrowej estakadzie. Ostatecznie rząd polski porzucił te bardzo wstępne projekty (m.in. z powodu negatywnej opinii władz wojskowych). Historia ta pokazuje jednak, że na przełomie lat 1938-1939 nie wszystko jeszcze było przesądzone...

303

Tym bardziej, że do Polski intensywnie pielgrzymowali wówczas kolejni nazistowscy dygnitarze, przekonując kierowników naszej nawy państwowej, że „Morze Czarne to też morze” (Joachim von Ribbentrop), czy przypominając, że przecież skoro niemiecki Ren uchodzi do morza na terenie Holandii, więc polska Wisła mogłaby wpadać do Bałtyku w niemieckim Gdańsku (Heinrich Himmler), iii Rzeszy niewątpliwie bardzo na pozyskaniu Polski zależało. Dopiero w końcu marca 1939 roku Niemcy zorientowali się, że aliansu z Rzeczpospolitą nie będzie.

Gdybyśmy poszli Niemcom na rękę, zapewne nie byłoby tragicznego Września - musielibyśmy natomiast przystąpić do Paktu Antykominternowskiego, a Wojsko Polskie prędzej czy później pomaszerowałoby wraz z Wehrmachtem na wschód, biorąc udział w niechcianej wojnie o niepewnym finale. Zapewne musielibyśmy „gościć” na naszym terytorium wojska niemieckie, przystając na stopniowe ograniczanie naszej niezależności. I wiele wskazuje na to, że uległość wobec Niemiec w 1939 roku byłaby tylko odroczeniem

wyroku. Gdyby Niemcy — przy wsparciu Polski — pokonały Związek Radziecki, Polska prędzej czy później zaczęłaby Hitlerowi zawadzać w jego planach budowy prawdziwie aryjskiej Rzeszy na zdobytym wschodzie Europy. Polskie terytorium oddzielałoby przecież III Rzeszę od ziem opanowanych w zwycięskiej wojnie z ZSRR...

Pytaniem pozostaje, czy wódz III Rzeszy rzeczywiście postawiłby Polakom „wspaniałomyślne” ultimatum: przenieście się na wschód, najlepiej za Ural. Ten scenariusz wcale nie wydaje się jednak taki niedorzeczny. Józef Beck miał po klęsce wrześniowej powiedzieć, że gdyby Polacy

304

ustąpili Niemcom bez walki, za jakiś czas „wypasaliby Hitlerowi krowy za Uralem”. Beck miał okazję poznać Hitlera osobiście, więc zapewne wiedział, co mówi. Wódz III Rzeszy do końca 1938 roku pozorował dobre stosunki z Polską wyłącznie z wyrachowania. W jego wizji germańskiej Europy nie było miejsca dla słowiańskiej Polski, w której w dodatku mieszkało kilka milionów obywateli pochodzenia żydowskiego. Wszystko wskazuje więc na to, że w 1939 roku polskie kierownictwo podjęło słuszną decyzję, by bić się z Niemcami. Inna sprawa, że dobrego wyjścia wtedy przed Polską nie było.

Większość postaci występujących w tej powieści jest fikcyjnych. Choć nie wszystkie. Ślepy Antek istniał naprawdę. Nazywał się Antoni Gąsiorowski i przed wojną rzeczywiście był juchtą eki z Chwaliszewa. Pracował jako woźnica. W młodości stracił prawe oko, choć — jak wynika z zachowanego zdjęcia — nie nosił czarnej przepaski.

Ślepy Antek zginął śmiercią bohatera. Jego eka odegrała ważną rolę w podpaleniu niemieckich magazynów nad Wartą w nocy z 20 na 21 lutego 1942 roku, podczas słynnej akcji „Bollwerk”. Aresztowany przez gestapo, podczas przesłuchania rzucił się ze związanymi rękoma na gestapowca i przegryzł mu gardło. Niemcy zabili go na miejscu. Inspiracją przy kreśleniu postaci Wilhelminy Krantz była dla mnie historia poznańskiej Niemki Wilhelminy Giinther. Jej ojciec, znany na Piekarach krawiec, w czasie wojny był przeciwny związkowi córki z Antonim Jagłą, Polakiem z sąsiedztwa. Według nielicznych przekazów zadenuncjował więc Antoniego, który za zakazane kontakty z Niemką trafił do obozu koncentracyjnego. Przypłacił to życiem.

305

Wilhelmina, która straciła również córeczkę — dziecko Antoniego — nigdy tego ojcu nie wybaczyła. Aby zemścić się na III Rzeszy, z pomocą swoich szkolnych polskich koleżanek wstąpiła do Armii Krajowej. W jej mieszkaniu nocowały łączniczki AK (wśród nich słynna Zofia Rapp), a ona sama — pracując w policyjnym biurze — zdobywała informacje o nastrojach wśród niemieckich policjantów. Aresztowana przez gestapo, została skazana na karę śmierci. Na nic zdały się błagalne listy do Adolfa Hitlera, pisane przez ojca Wilhelminy i jej matkę. 9 czerwca 1944 roku Wilhelmina została ścięta gilotyną w berlińskim więzieniu. Prawdziwa w tej powieści jest „scenografia” — Poznań znany nam z końca lat trzydziestych. Wątpliwej reputacji lokal „Pod Niedźwiadkiem” istniał naprawdę na placu Sa-pieżyńskim (dziś Wielkopolskim). Na Wenecjańskiej, która — w co trudno dziś uwierzyć — była niegdyś ładnym zakątkiem, rzeczywiście stała fabryka zapalek. Jej nieznany z nazwiska kierownik został we wrześniu 1939 roku aresztowany przez okupantów za to, że w kawiarni na placu Wolności udzielał informacji włoskim korespondentom wojennym. Jego dalsze, zapewne tragiczne losy skrywa niestety mrok historii. A co się stało z fabryką zapalek na Wenecjańskiej? Rzeczywiście spłonęła — tyle że zimą 1945 roku, podczas walk o Poznań. Prawdziwa jest też historia esesmanów zbierających dla Heinricha Himmlera na całym świecie szczegółowe dane o torturowanych kilkaset lat wcześniej kobietach posądzanych o czary. Te osobliwe dowody minionego okrucieństwa Himmler zamierzał wykorzystać do „ostatecznej rozprawy” z Kościołem katolickim. W poznańskim Archiwum Pań-

306

Wilhelmina, która straciła również córeczkę — dziecko Antoniego — nigdy tego ojcu nie wybaczyła. Aby zemścić się na III Rzeszy, z pomocą swoich szkolnych polskich koleżanek wstąpiła do Armii Krajowej. W jej mieszkaniu nocowały łączniczki AK (wśród nich słynna Zofia Rapp), a ona sama — pracując w policyjnym biurze — zdobywała informacje o nastrojach wśród niemieckich policjantów. Aresztowana przez gestapo, została skazana na karę śmierci. Na nic zdały się błagalne listy do Adolfa Hitlera, pisane przez ojca Wilhelminy i jej matkę. 9 czerwca 1944 roku Wilhelmina została ścięta gilotyną w berlińskim więzieniu. Prawdziwa w tej powieści jest „scenografia” — Poznań znany nam z końca lat trzydziestych. Wątpliwej reputacji lokal „Pod Niedźwiadkiem” istniał naprawdę na placu Sa-pieżyńskim (dziś Wielkopolskim). Na Wenecjańskiej, która — w co trudno dziś uwierzyć — była niegdyś ładnym zakątkiem, rzeczywiście stała fabryka zapalek. Jej nieznany z nazwiska kierownik został we wrześniu 1939 roku aresztowany przez okupantów za to, że w kawiarni na placu Wolności udzielał informacji włoskim korespondentom wojennym. Jego dalsze, zapewne tragiczne losy skrywa niestety mrok historii. A co się stało z fabryką zapalek na Wenecjańskiej? Rzeczywiście spłonęła — tyle że zimą 1945 roku, podczas walk o Poznań. Prawdziwa jest też historia esesmanów zbierających dla Heinricha Himmlera na całym świecie szczegółowe dane o torturowanych kilkaset lat wcześniej kobietach posądzanych o czary. Te osobliwe dowody minionego okrucieństwa Himmler zamierzał wykorzystać do „ostatecznej rozprawy” z Kościołem katolickim. W poznańskim Archiwum Pań-

stwowym zachował się dowód na to, że pseudonaukowcy ze specjalnego komanda Himmlera „tropili” czarownice również w Poznaniu. Tyle że działo się to jeszcze przed wojną — i nie przeszkadzał im w tym żaden polski policjant. A Reichs-führer SS nigdy nie pofatygował się osobiście do Poznania po odbiór tych niezwykle zajmujących materiałów...

Piotr Bojarski

-

»

SPIS TREŚCI

PROLOG / 7

1. ŚLAD / 11

2. MELDUJE SIĘ „DWÓJKA” / 47

3. OGIEŃ W BRAMIE / 75

4. ROBAKI NA STOLE / 95

i

5. PRZEBUDZENIE MAGISTRATU /

6. STRASZNE OBRAZKI / 159

7. TWARZĄ W TWARZ / 185

8. ODDECH KOSTUCHY / 205

9. SZOK I UPOKORZENIE / 233 10. HONOROWA SPRAWA / 263

EPILOG / 301

KILKA SŁÓW OD AUTORA / 303

SPIS TREŚCI / 309

Tego samego autora
18 zaskakujących opowieści z Wielkopolską w tle
w Gazeta Cafe, księgarniach
i na kulturalnysklep.pl